ŚMIERĆ IZABELI
Życie matki bez ochrony

CZARNEK TRACI WŁADZĘ
Już co dziesiąty uczeń w płatnej szkole

DOLA RENIFERÓW
Zielony przemysł szkodzi Północy

STEFAN CHWIN
Mroczna strona romantyków

CO WIDZI NOS
Pierwsza polska Biblioteka Zapachów

Kraków 14 listopada 2021 nr 46 (3775) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Nie macie prawa

ADAM BODNAR NA DZIEŃ NIEPODLEGŁOŚCI

W WYDANIU DODATEK
WOLNOŚĆ KOCHAM I ROZUMIEM

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

Fot. Paweł Jaroszewski

Zapraszamy do udziału w Gali wręczenia
Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

czwartek | 25 listopada | godz. 18.00
Scena NCK Kraków, Al. Jana Pawła II 232

Rozmowę z laureatami:
ks. Tomášem Halíkiem,
Łukaszem Lamżą,
dyrektorem Hospicjum Domowego
ks. Władysławem Dudą

poprowadzą:
Dominika Kozłowska i ks. Adam Boniecki

Więcej info na:
www.nagrodatischnera.pl

bezpłatne zaproszenia do odbioru w kasie NCK

Informacje i rezerwacja:
Biuro Organizacji Widowni
telefon: 12 644 02 66 w. 55
rezerwacja@nck.krakow.pl

Organizatorzy Nagrody: znak, ERGO HESTIA

Współorganizator Gali: nowohuckie centrum kultury

fb.com/JozefTischner
fb.com/dni.tischnerowskie

KS. ADAM

Boniecki: *Nic o nim nie wiedzieliśmy*

W telewizji był tak niepodobny do poprzedników, że trudno było się przyzwyczaić. Na krótkim konklawe został wybrany papieżem 26 sierpnia 1978 r. W sobotę. „Tygodnik" wtedy się drukowało we wtorek. Proces technicznego przygotowania numeru był dłuższy niż dziś. Przypomnę, że nie było internetu, że zagraniczna prasa była trudno dostępna i docierała z opóźnieniem. Jerzego Turowicza akurat nie było, księdza Andrzeja Bardeckiego też nie. Spora część redakcji na urlopach. Przedstawienie nowego papieża czytelnikom przypadło mnie, a ja nic o nim nie wiedziałem. Kiepski wyszedł tekst, dobrze, że nie był podpisany.

Zamieszczone w „Tygodniku" wypowiedzi kilku katolickich i nie tylko katolickich osobistości też nie świadczyły o wcześniejszej jego znajomości. Fakt, kard. Albino Luciani nie miał „parcia na szkło", nie dbał o rozgłos. Na Soborze tylko raz się odezwał, a i to na piśmie. Polscy kardynałowie (Wyszyński i Wojtyła) przysłali z Rzymu komunikat. Eksponowali w nim datę wyboru – dzień Matki Boskiej Częstochowskiej.

Papież Jan Paweł I zmarł po 34 dniach. Dwadzieścia dni później papieżem został wybrany kardynał Wojtyła, a Jan Paweł I, nim zagościł w polu naszej uwagi, znalazł się na jego peryferiach – o ile w ogóle się znalazł.

Wszczęcie procesu beatyfikacyjnego papieża Lucianiego (23 listopada 2003 r., 25 lat po jego śmierci) potraktowaliśmy – być może podświadomie – jako pontyfikalny gest kurtuazji wobec poprzednika. A teraz, kiedy do beatyfikacji pozostaje tylko wyznaczenie jej daty przez papieża Franciszka, zaczynamy odkrywać, kim był Jan Paweł I. Podobno, żegnając krakowskiego metropolitę opuszczającego Rzym po inauguracji pontyfikatu, JPI miał mu przepowiedzieć, że niedługo on zostanie następnym papieżem. Może dlatego Wojtyła tak był poruszony nagłą śmiercią JPI. Na poprzednim konklawe wybór raczej mu nie groził.

O JPI wiedzieliśmy, że jest „papieżem uśmiechniętym", że to pierwszy papież z podwójnym imieniem, że nie używa papieskiego *pluralis maiestatis*, że zamiast koronacji po prostu odbył inaugurację pontyfikatu, rezygnując z tiary, a po kilku próbach także z *sedia gestatoria* (lektyki noszonej przez *sediari pontifici*). Nie wiedzieliśmy o tym, o czym w dokumentalnym filmie powiedział ktoś, kto go dobrze znał, że był upartym góralem, który kiedy coś postanowi, to tego łatwo nie odpuści. Nie wiedzieliśmy, że jego ojciec był socjalistą, robotnikiem, który za pracą jeździł do innych krajów, że kiedy ojciec „dmuchał szkło" w jakiejś (pewnie weneckiej) wytwórni, dmuchał z nim młody Albino. Nie wiedzieliśmy, że jako biskup, a także jako patriarcha Wenecji, jeździł na rowerze, chodził do dentysty i nosił pocerowaną sutannę, że tak jak Jan XXIII, widział wielką potrzebę odnowy Kościoła. Nie bardzo nas interesował program, który chciał realizować jako następca Piotra. Wiedzieliśmy tylko, że kiedy na konklawe padło pytanie, czy wybór przyjmuje, odpowiedział, że przyjmuje, i dodał: „Niech wam Bóg wybaczy to, coście uczynili".

Teraz Watykan poinformował, że Franciszek zaaprobował dekret o uznaniu cudu za wstawiennictwem Sługi Bożego Albina Lucianiego. Rychła z pewnością beatyfikacja będzie okazją do poznania człowieka, który na 34 dni pokazał się światu. Pisze o nim w tym numerze „Tygodnika" Edward Augustyn: „Jedni mieli go za liberała albo komunistę, bo troszczył się o robotników i angażował w mediacje między związkowcami a przedsiębiorcami: »Nie każdy robotnik, który walczy o uznanie swoich praw, jest komunistą, co z taką łatwością nieraz twierdzimy« – mówił. (...) Dla innych, zwłaszcza młodych, był uosobieniem tego, co w Kościele tradycyjne i konserwatywne. Gdy w 1974 r. katoliccy studenci z Wenecji opowiedzieli się za referendum w sprawie prawa rozwodowego, z miejsca rozwiązał najbardziej aktywne organizacje – nie za poglądy, jak tłumaczył, ale za publiczne wystąpienie przeciwko stanowisku biskupów". Czy był więc „wersją demo" papieża Franciszka? ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Łukasz Lamża z Nagrodą im. Tischnera!

Z radością informujemy, że nasz autor Łukasz Lamża został tegorocznym laureatem Nagrody Tischnera.

Lamża został nagrodzony w kategorii publicystyki na tematy społeczne, która uczy Polaków przyjmować „nieszczęsny dar wolności", za książkę „Światy równoległe. Czego uczą nas płaskoziemcy, homeopaci i różdżkarze".

Gratulujemy!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. GRAŻYNA MAKARA

20 Nieobecność usprawiedliwiona
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Już niemal co dziesiąty polski uczeń jest w prywatnej bądź społecznej szkole. To dobrze, bo z roku na rok margines wolności się poszerza. To źle, bo rosną nierówności.

42 W stronę totalitaryzmu
WOJCIECH KONOŃCZUK
System rządów na Białorusi ewoluuje w kierunku, dla którego określenia „autorytaryzm" czy „dyktatura" są już zbyt słabe.

30 Pierwszy
EDWARD AUGUSTYN
Zrezygnował z formy „My, papież", zmienił uroczystość koronacyjną w skromną inauguracyjną mszę, nie chciał orszaku prałatów i asysty gwardii szwajcarskiej. Proces beatyfikacyjny Jana Pawła I właśnie dobiegł końca.

34 Jesteśmy nieumarli
ROZMOWA Z O. TARSYCJUSZEM KRASUCKIM, FRANCISZKANINEM:
Ludzie często myślą: sprawca molestowania zmarł, po co wam ten wyrok? A właśnie jest potrzebny – nie dla zemsty, ale po to, żeby przywrócić sprawiedliwość.

72 Czerwona nić
ROZMOWA ZE STEFANEM CHWINEM, PISARZEM:
Rdzeń „polskości narodowej" wykuty w romantyzmie jest odporny na polityczne perturbacje. Obecna władza pokazuje, że można bez problemu łączyć nowoczesne podejście do ekonomii z zupełnie archaiczną świadomością.

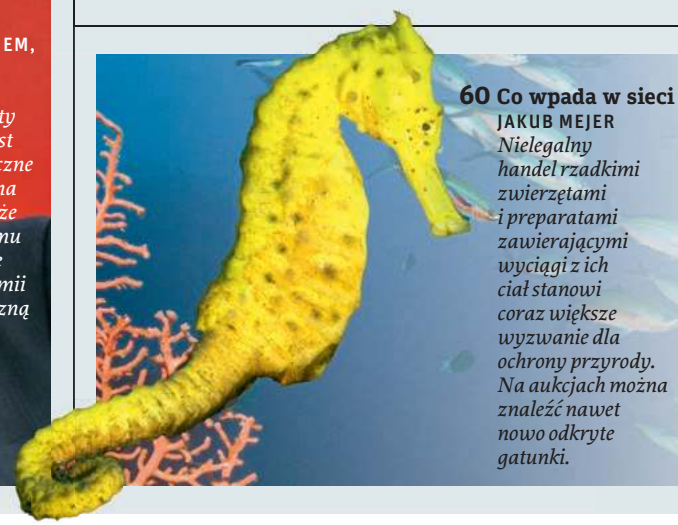

60 Co wpada w sieci
JAKUB MEJER
Nielegalny handel rzadkimi zwierzętami i preparatami zawierającymi wyciągi z ich ciał stanowi coraz większe wyzwanie dla ochrony przyrody. Na aukcjach można znaleźć nawet nowo odkryte gatunki.

ANNA LEWAŃSKA / AGENCJA WYBORCZA // DOMINIKA ZARZYCKA / NURPHOTO / GETTY IMAGES // JAKUB HALCEWICZ / WIĘŹ // FIVESPOTS / ADOBE STOCK // COLIN MCPHERSON / GETTY IMAGES // WELTBILD / INTERFOTO / FORUM

6 Umieranie w majestacie prawa
MAŁGORZATA NOCUŃ

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Nieobecność usprawiedliwiona
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

25 Szeryf pośród ubogich
MAREK RABIJ:
Dla PiS z jego socjalnymi programami idą ciężkie czasy

27 W chórze z Del Piero
ROZMOWA Z NINĄ PATALON, SELEKCJONERKĄ REPREZENTACJI POLSKI KOBIET W PIŁCE NOŻNEJ

WIARA

30 Pierwszy
EDWARD AUGUSTYN

34 Jesteśmy nieumarli
ROZMOWA Z O. TARSYCJUSZEM KRASUCKIM, FRANCISZKANINEM

38 O nas bez nas
PIOTR SIKORA: *Wizyty biskupów ad limina w Rzymie niewiele mogą zmienić. Są wydarzeniami o charakterze bardzo klerykalnym*

ŚWIAT

42 W stronę totalitaryzmu
WOJCIECH KONOŃCZUK

45 Sezon na Zemmoura
SZYMON ŁUCYK: *Jeśli wierzyć sondażom, ultraprawicowy publicysta i polityczny nowicjusz może wejść do drugiej tury wyborów prezydenckich we Francji*

47 Wszyscy wrogowie reniferów
ULA IDZIKOWSKA: *Tradycjom norweskich Saamów zagrażają nie tylko zmiany klimatyczne, ale czasem także proces przechodzenia na odnawialną energię*

TEMAT TYGODNIKA

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

12 Adam Bodnar na Dzień Niepodległości:
Rząd mówi „dialogujmy", a idzie w kierunku państwa niedemokratycznego. Nie ma dziś ważniejszego pola starcia niż praworządność, może poza zmianą klimatu.

DODATKI SPECJALNE

40 Międzynarodowa Konferencja „Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej"

65 Wolność kocham i rozumiem

FELIETONY

29 JACEK PODSIADŁO **39** WOJCIECH BONOWICZ
70 HANNA KRALL **84** JAN KLATA
85 PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ADAM BODNAR, listopad 2021 r.
FOTO: MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

50 Raj z widokiem na Mordor
MAŁGORZATA PROCHAL I AGNIESZKA ZIELIŃSKA:
O dwie trzecie mniej lotów: dla La Palmy, żyjącej w cieniu aktywnego wulkanu, to dramat

HISTORIA

56 Koniec ziemiańskiego świata
ANNA WYLEGAŁA:
„Byliśmy jak obuchem rażeni. Jak drzewa, którym podcięto korzenie..."

NAUKA

60 Co wpada w sieci
JAKUB MEJER

63 Związek skonsumowany
ŁUKASZ KWIATEK:
Nowe badania pozwalają lepiej zrozumieć występujący u niektórych gatunków kanibalizm seksualny

KULTURA

72 Czerwona nić
ROZMOWA ZE STEFANEM CHWINEM, PISARZEM

77 Tam, gdzie zaczyna się kraj
WOJCIECH ENGELKING:
Dawid Grossman nie pozwolił sobie na rozpacz po śmierci syna na wojnie. Owo niepozwolenie przenika całą jego nową powieść

80 Ucieczka od wolności
DOROTA KOZIŃSKA: *W dobie pandemii jedyna opera Beethovena stała się manifestem przetrwania, wyjścia w światło po nocy lockdownu*

82 Kobieta do zjedzenia
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Spencer"

84 Zoologia alternatywna
LEKTOR *o „Bestiariuszu" Michała Komara*

ZMYSŁY

86 Wszystkie zapachy ciemności
MARIUSZ SEPIOŁO
Niewidomi i niedowidzący „słyszą" przestrzeń, czują ją dotykiem – a teraz uczą się jej także przez zapach

Strona świata
Afrykański Kongres Narodowy rządzący w RPA trzecie dziesięciolecie odniósł wyborcze zwycięstwo. Ale uznano je za przegraną – o początku końca panowania partii Mandeli pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Własny pokój [Podkast Powszechny]
Do schroniska może trafić każdy – czy jesteś pisarką, jak ja, czy adwokatką, jak moja szefowa. Ona przez 20 lat walczyła z przemocą domową, aż przyszła tu w nocy z dzieckiem – opowiada **WIOLETTA GRZEGORZEWSKA** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

UMIERANIE W MAJESTACIE PRAWA

„Ta ustawa pachnie śmiercią" – tak w minionym tygodniu komentowali zaostrzenie prawa aborcyjnego cieszący się międzynarodowym autorytetem ginekolodzy-położnicy.

MAŁGORZATA NOCUŃ

Cichy protest przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Pszczyna, 6 listopada 2021 r.

Śmierć pani Izabeli, ciężarnej 30-latki z Pszczyny, to pierwszy przypadek poświęcenia życia matki w imię „ratowania" życia płodu.

Nie mamy wglądu w dokumentację medyczną ciężarnej. Wiele możemy wywnioskować z faktów przedstawionych przez jej matkę. Pani Izabela wiedziała, że jej ciąża nie rozwija się prawidłowo. Badania prenatalne wykazały duże prawdopodobieństwo wystąpienia u płodu zespołu Downa i poważnych wad kardiologicznych (najprawdopodobniej letalnych, z powodu których dziecko umiera zaraz po urodzeniu). Mając tego świadomość, kobieta nie zdecydowała się (jak 34 tys. Polek w 2020 r.) na terminację ciąży umożliwianą przez organizacje *pro-choice*. Postanowiła urodzić chore dziecko. W 22. tygodniu ciąży odpłynął płyn owodniowy. To naturalny proces – organizm „zorientował się", że nosi uszkodzony płód, postanowił go usunąć. SMS-y wysyłane przez panią Izabelę do matki i opowieść innej pacjentki hospitalizowanej w pszczyńskim szpitalu brzmią jak świadectwo z sali więziennej – nie szpitalnej.

Temperatura ciała pani Izabeli rosła, zaczęły się dreszcze. Kobieta wymiotowała, odchodzące wody przybrały zielony kolor (świadectwo rozwijającej się sepsy). Pani Izabela napisała do matki: „Tragedia. Moje życie zagrożone". W kolejnych wiadomościach informowała, że „dzięki ustawie aborcyjnej"

lekarze muszą czekać, aż serce płodu samoczynnie przestanie bić. Dlatego ginekolog-położnik nie zdecydował się na indukcję porodu, czyli podanie leków wywołujących skurcze i późniejsze wyczyszczenie jamy macicy.

Płód określany jest w medycynie „życiem zależnym". Lekarze mówią, że w pierwszej kolejności liczy się życie, które „już jest", czyli matki. Zdarza się, że płód obciążony ciężkimi wadami wrodzonymi może spowodować zagrożenie życia ciężarnej. Np. poród naturalny dziecka bez czaszki doprowadza niekiedy do uszkodzenia kanału rodnego i krwotoku. Cięcie cesarskie nie jest prostym rozwiązaniem – to nie „zabieg", lecz poważna operacja, której komplikacje mogę utrudnić ponowne zajście w ciążę. Decyzję o kontynuowaniu bądź terminacji ciąży wiążącej się z zagrożeniem życia kobiety powinna podejmować więc jedynie ona sama.

Ginekolodzy-położnicy pracujący w szpitalach o trzecim, najwyższym stopniu referencyjności prawie codziennie stają przed skrajnie trudnymi dylematami. Ratują życie matki, ale nie mogą uratować życia dziecka. Wiedzą, że kobieta urodzi zdrowe dziecko, ale sama może umrzeć w wyniku krwotoku spowodowanego odklejeniem łożyska. W dużych miastach lekarze mają świadomość swoich kompetencji i podejmują trudne z medycznego punktu widzenia decyzje. W mniejszych ośrodkach medycznych mogą powtarzać się sytuacje analogiczne do tej z pszczyńskiego szpitala. Zamiast rekomendacjami Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników personel medyczny będzie kierować się strachem.

W Sejmie złożono już projekt przepisów o całkowitym zakazie aborcji. Ta ustawa nie ocali ani jednego życia poczętego (kobiety wiedzą, jak dokonać bezpiecznej aborcji za granicą). Zaprowadzi tylko większy lęk w środowisku lekarzy i przyczyni się do zwiększenia odsetka śmierci ciężarnych. Sytuacja demograficzna w Polsce przypomina już tę po II wojnie światowej – nigdy nie rodziło się tak mało dzieci. W ciążę zachodzą kobiety coraz starsze. Hasło: „Martwe rodzić nie będziemy" wybrzmiewa podczas demonstracji przeciwniczek zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej. Polki z lęku nie decydują się na macierzyństwo. ©

JAKUB MORKOWSKI / FORUM

Furtka z węglem dla Skamieliny Dnia

AGATA KAŹMIERSKA

WIADOMOŚĆ BRZMIAŁA SENSACYJNIE: Polska podczas szczytu klimatycznego COP w Glasgow zobowiązuje się do odejścia od węgla już w następnej dekadzie. Gdyby tylko to była prawda.

Tymczasem zamiast przełomu politycznego mamy wykorzystywanie prawnych nieścisłości i dokument, który – poza tym, że pięknie brzmi – może wnosić niewiele.

Rząd w Warszawie konsekwentnie unika deklaracji dotyczących neutralności klimatycznej. Brukseli udało się jedynie kilka miesięcy temu, i to z trudem, wynegocjować z naszymi władzami, by nie sprzeciwiały się deklaracji osiągnięcia „net zero" w 2050 r. przez całą Unię. Ale w jaki sposób nasz kraj miałby się do tego celu przyłożyć, wciąż nie wiadomo. Szczególnie że ostatnia kopalnia węgla w Polsce ma zostać zamknięta dopiero w 2049 r. Niespodziewanie 4 listopada Brytyjczycy (gospodarze tegorocznego COP) poinformowali, że już ponad 40 państw, w tym Polska, podpisało się pod deklaracją, która zobowiązuje do „szybkiego zwiększenia skali wdrażania czystej energetyki" i odejścia od węgla. „Państwa rozwinięte" mają to uczynić w latach 30., a „reszta świata" w latach 40.

Oczywistym mogłoby się wydawać, że nasz kraj, który od ćwierć wieku należy do Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (jesteśmy 23. gospodarką świata), znajduje się w gronie „państw rozwiniętych". Nic z tego. Rzecznik Ministerstwa Klimatu napisał na Twitterze, że Polska będzie odchodzić od węgla w latach 40. Z informacji uzyskanych przez „Tygodnik" od osób związanych z polską delegacją w Glasgow wynika, że nasi negocjatorzy przyjęli, iż „państwa rozwinięte" to grupa G20, do której Polska nie należy. Czyli nasze plany się nie zmieniają, a podpis pod deklaracją nie kosztował Warszawy nic, bo potwierdziła jedynie to, co w planach już miała. Jedyny przełom to fakt, że 4 listopada Polska otrzymała tytuł „Skamieliny Dnia" (antynagroda przyznawana codziennie podczas COP).

Czy niejednoznaczne zapisy deklaracji to przeoczenie, które Warszawa – możliwe, że nie jako jedyna – wykorzystała, czy może Brytyjczycy celowo zostawili tę furtkę, by ogłosić łatwy sukces? Na pewno nie jest to pierwszy taki dokument, którego podpisanie ogłoszono w Glasgow. Kilka dni temu zawarto „bezprecedensowy sojusz" rządów, inwestorów, przedsiębiorstw, organizacji i ludów tubylczych na rzecz ochrony lasów. Podpisała się pod nim także Polska. Dokument z naszą obietnicą miałby taką samą wagę, gdyby Polska obiecała, że nie będzie więcej karczować lasu deszczowego pod palmy olejowe.

Wygrzewający się w blasku takich pięknych deklaracji politycy zapewne mogą na tym coś ugrać. Przegra klimat, a my razem z nim. ©

Warszawska giełda pobożnych życzeń

GDYBY SZANSE na powstrzymanie katastrofy klimatycznej szacować wyłącznie na podstawie stosunku polskiego biznesu do tego problemu, można by już dziś ogłosić klęskę. Spośród 140 spółek notowanych w głównych indeksach warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych zaledwie 13 przyjęło do tej pory jakiś cel klimatyczny – wynika z opublikowanego właśnie raportu fundacji Instrat. Spośród wymienionej trzynastki cztery firmy nie opracowały żadnej strategii. W przypadku zapewnień o ograniczeniu emisji dwutlenku węgla tylko połowa deklaracji zawiera choćby zarys planu, w jaki sposób firma chce realizować to założenie. Ani jedna nie uwzględnia za to najnowszych ustaleń naukowców na temat tempa zmian klimatycznych.

„W dobie rosnącej uwagi, jaką inwestorzy przykładają do działań spółek publicznych na rzecz redukcji emisji gazów cieplarnianych, ograniczona aktywność notowanych na GPW firm w zakresie ustalania celów i strategii klimatycznych może ciążyć ich wycenom" – stwierdzają kategorycznie autorzy raportu, ale polscy akcjonariusze raczej nie podzielają takich obaw. Od początku roku tylko dwie spółki z GPW przyjęły strategię klimatyczną, podczas gdy w Londynie ich liczba w tym czasie uległa podwojeniu i ma je już ponad 50 proc. firm z indeksu FTSE 100. Z kolei na giełdzie we Frankfurcie (DAX 30) aż 86 proc. notowanych spółek opracowało strategie klimatyczne. ©℗ MR

Bierni wobec pandemii

MACIEJ MÜLLER

NOWYCH OBOSTRZEŃ ANTYCOVIDOWYCH NIE BĘDZIE. Mimo ogromnych wzrostów zakażeń Rządowy Zespół Zarządzania Kryzysowego nie podjął żadnych decyzji. Zostajemy przy obecnej strategii, czyli monitorowaniu sytuacji i zwiększaniu liczby łóżek covidowych.

Odrzucono postulat wprowadzenia paszportów covidowych, czyli utrudnień dla niezaszczepionych w korzystaniu z usług publicznych, restauracji itp. „Widzimy, jak mało skuteczne na zachodzie Europy są różne restrykcje" – argumentował premier Morawiecki, dodając, że rząd chce uniknąć „tłumnych protestów" przeciw obostrzeniom. Jednak porównanie liczby nowych zakażeń we Włoszech i Francji (fala opada) z Polską (dramatycznie wzrasta) każe postawić pytanie, co właściwie widział premier. W tych dwóch krajach wprowadzono w lecie paszporty covidowe. Zachęciło to wielu ludzi do poddania się szczepieniom, co ograniczyło rozprzestrzenianie się wirusa, a w przypadku zakażeń – liczbę ciężkich przebiegów covidu i zgonów. W Austrii, gdzie od poniedziałku funkcjonują nowe utrudnienia dla niezaszczepionych, liczba zapisów na szczepienia gwałtownie skoczyła.

„Chcemy (...) przejść przez tę falę jak najmniejszym kosztem ekonomiczno-społecznym" – powiedział minister zdrowia Adam Niedzielski. Coraz głębsze ukłony władzy w kierunku elektoratu antyszczepionkowego wydają się mieć przyczyny głównie polityczne. ©℗

Wniosek tylko symboliczny

TRZEJ ADWOKACI – wśród nich Roman Giertych – ogłosili, że przygotowują wniosek do Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze przeciwko ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze i prokuratorowi krajowemu Bogdanowi Święczkowskiemu. Chcą pociągnięcia ich do odpowiedzialności za masową, ich zdaniem, kampanię zatrzymań przeciwników PiS. Określają je jako krótkotrwałe porwania – chodzi o zatrzymania uczestników demonstracji przeciwko zmianom w sądownictwie oraz protestów po wyroku TK w sprawie ustawy o aborcji. We wniosku mają być też wymienione tzw. areszty wydobywcze i zatrzymania znanych postaci, np. samego Giertycha.

Wbrew publicznym deklaracjom prawników ich gest ma charakter raczej symboliczny. Przypomnijmy, że w sprawie zbrodni związanych z wojną w Afganistanie, obejmującej m.in. domniemane więzienie CIA w Kiejkutach, Trybunałowi zajęło ponad dwa lata udzielenie zgody prokuratorce, by zaczęła prowadzić sprawę – a od tego czasu minęło kolejne półtora roku bez postępów. ©℗ PB

KRAJ W SKRÓCIE

TROCHĘ DROGO

Ceny paliw na polskich stacjach notują historyczne rekordy: na większości z nich za litr benzyny 95 trzeba zapłacić powyżej 6 zł, a eksperci spodziewają się dalszych podwyżek.

I TAK TANIO

„Jeśli wzrost wynagrodzeń jest dużo szybszy niż inflacja, to jest to w porządku. Ludzie mają więcej pieniędzy. Jeśli ktoś zarabia o 20 proc. więcej, a inflacja jest 6 proc., to mu 14 proc. zostaje w kieszeni" – powiedział w Radiu Zet wicepremier Henryk Kowalczyk, w rozmowie z dziennikarką pokazując również, że nie rozumie związku między wysokością stóp procentowych a ratą kredytów.

NBP

NA BOGATO

Z okazji Dnia Niepodległości NBP wydał kolekcjonerski banknot z Lechem Kaczyńskim – oprócz twarzy, autografu i cytatu z nieżyjącego prezydenta, a także godła i flagi, znalazły się na nim też, w dość jaskrawych barwach: Pałac Prezydencki i Order Orła Białego, budynek Muzeum Powstania Warszawskiego, dzwon przy Murze Pamięci, cmentarz w Katyniu, żurawie gdańskiej stoczni i tłum u jej bram, logo Solidarności i symbol wiktorii.

PO MĘSKU

Jakub Kulesza, Robert Winnicki, Artur Dziambor, Grzegorz Braun i Paweł Szramka – parlamentarny Zespół ds. Opieki Okołoporodowej tworzy czterech posłów Konfederacji i jeden z PSL.

URSZULA NOWAKOWSKA,
SZEFOWA CENTRUM PRAW KOBIET:

Przemoc ma płeć

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Zamiana „przemocy w rodzinie" na „domową" – to jedno z założeń rządowego projektu nowelizacji prawa antyprzemocowego. Korzystne?

URSZULA NOWAKOWSKA: Z jednej strony to ideologiczny zabieg PiS, by zdjąć stygmat z rodziny. Z drugiej ta korekta może poszerzyć katalog objętych ochroną – o osoby niebędące formalnie rodziną. Zgodnie z nowelizacją za pokrzywdzonych uznaje się m.in. dzieci będące świadkami przemocy, ale i osoby, które nie zamieszkują wspólnie i nie prowadzą wspólnego gospodarstwa. Mam nadzieję, że dzięki zmianie dzieci będące świadkami przemocy nie będą pozostawały pod opieką sprawców.

Kolejna zmiana to wprowadzenie pojęcia przemocy ekonomicznej. Chodzi np. sytuację, gdy partner pozbawia partnerkę dostępu do konta.

To dobry sygnał, choć korekta na poziomie definicji jest jedynie symboliczna. Potrzebna jest jeszcze penalizacja tego typu zachowania poprzez np. zmianę art. 207 kodeksu karnego, który mówi o znęcaniu.

Marcin Wiącek, nowy rzecznik praw obywatelskich, krytykuje nowelizację za nieuwzględnianie w zjawisku przemocy kategorii płci.

Chodzi nie tylko o to, że kobieta jest zwykle pokrzywdzoną, a mężczyzna sprawcą, ale też o wskazanie, gdzie tkwią korzenie zjawiska. Przeciwdziałanie przemocy nie może być prowadzone bez działań na rzecz równouprawnienia płci, a ich ważną częścią musi być zwalczanie stereotypów płciowych. Marzą mi się prace nad ustawą, która uwzględniałaby standardy konwencji stambulskiej. ©℗

URSZULA NOWAKOWSKA *jest szefową Centrum Praw Kobiet.*

EPA / PAP

ZAOSTRZA SIĘ kryzys w Afganistanie. Rządzący od trzech miesięcy talibowie zakazali właśnie używania walut obcych. W komunikacie podali, że sytuacja wymaga, by „wszyscy Afgańczycy podczas każdej transakcji handlowej używali afgańskiej waluty"; za złamanie zakazu grożą kary. Na afgańskich targowiskach chętnie posługiwano się dolarami, a w regionach przygranicznych walutą państw sąsiednich. Od objęcia władzy przez talibów kraj cierpi na brak płynności finansowej, z banku można podjąć tylko niewiele gotówki. ONZ ocenia, że Afganistanowi wkrótce zagrozi głód. Na zdjęciu: pracownicy kantoru na targu w Kabulu, 7 listopada 2021 r. ©℗ WP / AFP

Covid bije rekordy na Ukrainie

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

W SOBOTĘ 6 LISTOPADA ODNOTOWANO niemal 800 zgonów z powodu zachorowania na covid – to najwyższy dobowy wskaźnik od początku pandemii na Ukrainie. W Kijowie zajętych jest ponad 70 proc. łóżek w szpitalach i 80 proc. łóżek z podłączeniem do tlenu. „Do kijowskiego krematorium karawany stoją w kolejce po dwie godziny" – alarmował już dwa tygodnie temu przewodniczący parlamentarnej komisji ds. zdrowia.

Aby skłonić obywateli do szczepień, władze zaostrzyły regulacje epidemiologiczne. W tzw. czerwonej strefie, gdzie sytuacja jest najgorsza, znalazło się 15 obwodów i stolica. Z restauracji i centrów handlowych mogą korzystać tam tylko w pełni zaszczepieni, a z transportu miejskiego tylko osoby mające certyfikat szczepienia, aktualny wynik testu lub zaświadczenie lekarskie o przebytym covidzie.

Choć szczepionki są już powszechnie dostępne i w ostatnim tygodniu przyjmowało je po 300 tys. osób dziennie, w pełni zaszczepionych jest niecałe 20 proc. obywateli. Z badań opublikowanych przez UNICEF wynika, że niemal 55 proc. Ukraińców nie chce się szczepić i nie planuje tego zrobić. Mimo stałych apeli ministerstwa zdrowia wiele osób wciąż jest przekonanych, że szczepienie może im zaszkodzić. Sprzyja temu kampania dezinformacyjna tzw. antyszczepionkowców. Według Służby Bezpieczeństwa Ukrainy większość kanałów na popularnym komunikatorze Telegram straszących zgubnymi skutkami ubocznymi szczepionek jest administrowana z Rosji.

Problemem w kraju są też fałszywe certyfikaty potwierdzające szczepienia. W sieciach społecznościowych pojawia się jednak także wiele wypowiedzi osób, które kupiły taki certyfikat, a teraz chciałyby się zaszczepić, lecz nie mogą tego zrobić, bo już figurują w systemie jako zaszczepione. Minister zdrowia ogłosił, że ze względu na masowość tego procederu rozważa „amnestię" dla posiadaczy fałszywych zaświadczeń, a wyrażających chęć szczepienia.

Od początku pandemii na Ukrainie zmarło na covid ok. 71,6 tys. osób. Według oficjalnych danych aż 93,2 proc. osób hospitalizowanych nie było zaszczepionych. ©

Zimny prysznic w Waszyngtonie

WYŚCIG O FOTEL gubernatora stanu Wirginia wygrał Republikanin Glenn Youngkin. To ostrzeżenie dla Joego Bidena i jego partii przed wyborami do Kongresu w 2022 r.

Biznesmen i nowicjusz polityczny Glenn Youngkin zwyciężył w stanie, gdzie w wyborach prezydenckich w 2020 r. Biden pokonał Donalda Trumpa różnicą aż 10 punktów procentowych. Sukces Youngkina był możliwy dzięki zdystansowaniu się od Trumpa i skupieniu na ważnych dla jego elektoratu kwestiach, jak edukacja, gospodarka i sprzeciw wobec nakazu noszenia maseczek. Wybory, w których wielkim przegranym jest Demokrata Terry McAuliffe (wg niepełnych wyników zdobył 48,5 proc.), są złym prognostykiem dla partii Bidena. Demokraci, pragnący utrzymać przewagę w obu izbach parlamentu USA, boją się powtórki scenariusza z 2009 r. – wówczas zdobycie fotela gubernatora Wirginii przez Republikanina było zapowiedzią ich porażki w wyborach do Kongresu.

Tegoroczny wyścig w Wirginii interpretowany jest jako potwierdzenie kiepskich notowań Bidena. Popiera go dziś 42,9 proc. Amerykanów – niższy wynik na tym etapie prezydentury miał jedynie Trump (37 proc.). Na taką ocenę wpływa inflacja, chaotyczny odwrót z Afganistanu, napływ imigrantów na południową granicę USA oraz impas ws. pakietu reform społecznych i klimatycznych.

Prezydent kwestionuje pogląd, że porażka w Wirginii to wyraz niezadowolenia z jego rządów, i zrzuca winę na rosnące ceny paliwa, pandemię i elektorat Trumpa. Przed wyborami do Kongresu stało się jednak jasne, że Demokratom nie wystarczy już opieranie strategii na byciu „alternatywą dla Trumpa" i muszą jak najszybciej przyjąć obiecane przez Bidena reformy (już po wyborach w Wirginii Izba Reprezentantów uchwaliła pakiet inwestycji w infrastrukturę).

Jak bowiem ocenia cytowana przez „New York Times" kongresmenka z Wirginii Abigail Spanberger: „Wielu wyborców głosowało w 2020 r. na Bidena z dwóch powodów: chcieli, by Trump zniknął z ekranów telewizorów, i pragnęli powrotu Ameryki, w której normalny prezydent opanowuje chaos". Bidenowi nie wychodzi to ostatnio najlepiej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POMOC

W niedzielę 21 listopada odbędzie się w całej Polsce zbiórka pieniędzy na rzecz imigrantów na granicy polsko-białoruskiej – zapowiedział przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki. Zebrane środki zostaną przeznaczone na finansowanie działań Caritas Polska oraz na integrację uchodźców, którzy zdecydują się pozostać w Polsce.

PROMOCJA

Franciszek mianował s. Raffaellę Petrini (na zdjęciu) sekretarzem generalnym Państwa Watykańskiego. To po prezydencie drugie najważniejsze stanowisko w administracji Watykanu, do tej pory tradycyjnie zarezerwowane dla biskupa. 52-letniej franciszkance podlegać będą m.in. Muzea Watykańskie, poczta i policja. Papież realizuje swój postulat, by kobiety piastowały w Kościele wysokie stanowiska niezwiązane ze święceniami.

YOUTUBE / ISTITUTO CAMILLIANUM

KONSEKWENCJA

Katoliccy biskupi Francji, zebrani na zgromadzeniu plenarnym w Lourdes, uznali „systemowy wymiar przemocy seksualnej" w Kościele. Ich zdaniem nie jest ona „jedynie dziełem pojedynczych osób" – była możliwa dzięki „ogólnemu kontekstowi". Hierarchowie omawiają także kwestię odszkodowań dla ofiar. To efekt niedawno ogłoszonego przez niezależną komisję raportu na temat nadużyć w Kościele.

Nuncjatura apostolska poczty nie uznaje

ARTUR SPORNIAK

Bohaterowie filmu „Zabawa w chowanego" bracia Pankowiakowie domagają się od Kościoła miliona złotych zadośćuczynienia za krzywdy, jakie wyrządził im ks. Arkadiusz H., gdy byli dziećmi. Sąd poprosił kurię kaliską o teczkę księdza pedofila. Jednak biskup kaliski Damian Bryl odmówił. Prawnik diecezji odpisał, że kościelne dokumenty są poufne, a „wezwanie do dostarczenia dokumentów wykracza poza dotychczasową praktykę kontaktów z władzami świeckimi".

Wygląda na to, że biskup kaliski stawia się ponad prawem: państwowym i kościelnym. Podany argument odmowy brzmi kompromitująco, oznacza bowiem: do tej pory nie współpracowaliśmy z państwowymi organami w ujawnianiu kościelnych pedofilii, i niech tak zostanie. Tymczasem do takiej współpracy zobowiązuje punkt 50. Vademecum wydanego w lipcu 2020 r. przez Kongregację Nauki Wiary: „Jeżeli władze państwowe wydadzą zgodne z prawem postanowienie podlegające wykonaniu z żądaniem wydania dokumentów dotyczących spraw lub postanowienie o ich zabezpieczeniu (zajęciu), ordynariusz lub hierarcha powinien współpracować z władzami państwowymi".

Sąd odbił się także od drzwi nuncjatury. Ponieważ ks. H. był wielokrotnie przenoszony przez swojego ówczesnego przełożonego – bp. Edwarda Janiaka – i wykorzystywał kolejne dzieci, za co biskupa kaliskiego ukarał Watykan, sąd chce mieć wgląd w dokumentację tego procesu. Nuncjatura odpowiedziała, by zwrócić się do niej poprawną drogą, czyli przez MSZ (tak jakby procedury były tu najistotniejsze!).

Warunki formalne zostały podobno już przez sąd kaliski spełnione. Zobaczymy zatem, na ile serio watykańscy urzędnicy potraktują niedawne słowa Franciszka skierowane na kościelną konferencję w Warszawie o prewencji: „Zachęcam was, byście byli pokornymi narzędziami Pana w służbie ofiarom wykorzystania". ©℗

Wiara na własnej skórze, od starożytności

TATUAŻ nie jest sprzeczny z chrześcijaństwem – pisze watykański dziennik „L'Osservatore Romano". Zdobienie ciała trwałymi znakami o motywach religijnych było „świadectwem wiary już w czasach starożytnych" i stało się tradycją wielu sanktuariów – Jerozolimy, Santiago de Compostela, Loreto. Prawdopodobnie zwyczaj ten przetrwał dzięki franciszkanom, którzy widzieli w nim nawiązanie do chrztu lub stygmatów swojego założyciela. Księga „Świętych i świeckich tatuaży Świętego Domku w Loreto" z 1889 r. zawiera opisy i ilustracje misternych wzorów, jakie artyści, wywodzący się z pięciu-sześciu rodzin w Loreto, wykonywali na ciele pielgrzymów w pracowniach ulokowanych wzdłuż drogi do sanktuarium.

Gazeta opisuje też całkiem współczesną akcję tatuowania w jednym z kościołów w Trewirze (Niemcy). Poprzedziło ją pobłogosławienie i pokropienie święconą wodą sprzętu, artysty i 30 oczekujących klientów (200 innych zapisało się na kolejny termin). „L'Osservatore Romano" przypomina też odpowiedź papieża Franciszka dla jednego z kleryków Międzynarodowego Kolegium Maria Mater Ecclesiae, który pytał, jak duszpasterze powinni podchodzić do nowej mody. „Nie bój się tatuaży – powiedział papież. – Erytrejczycy od lat robią sobie krzyż na czole. (...) Tatuaż oznacza przynależność" (19 marca 2018 r.).

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Taizé w Turynie

PIERWSZE od początku pandemii Europejskie Spotkanie Młodych odbędzie się w Turynie od 28 grudnia 2021 r. do 1 stycznia 2022 r. Brat Alois, przełożony Wspólnoty z Taizé, zapowiedział je we Wrocławiu w grudniu 2019 r. na następny rok, zostało jednak przełożone ze względu na pandemię COVID-19.

W ramach 44. spotkania z cyklu „Pielgrzymka Zaufania przez Ziemię" odbędą się wspólne modlitwy, śpiew, medytacje oraz warsztaty na tematy religijne, ekumeniczne, artystyczne, a także dotyczące tematu migracji. Program poranny będzie się odbywał w parafiach, a popołudniowe spotkania tematyczne w różnych częściach miasta; część wydarzeń będzie transmitowana w sieci. Organizatorzy spodziewają się 6 tys. uczestników, którzy skorzystają z gościnności ośrodków parafialnych i szkół, ale przede wszystkim – turyńskich rodzin. „Otwarcie drzwi nieznajomemu nigdy nie jest rzeczą oczywistą – podkreślał we Wrocławiu brat Alois. – Ludzka troska o innych, braterstwo, należą do najważniejszych wartości".

©℗ MAM

KULTURA W SKRÓCIE

CARAVAGGIO I INNI MISTRZOWIE

„Chłopiec gryziony przez jaszczurkę" Caravaggia, a także ponad czterdzieści płócien innych artystów, głównie kontynuatorów i naśladowców włoskiego malarza, można oglądać na Zamku Królewskim w Warszawie. Prezentowana kolekcja jest własnością Fundacji Roberta Longhiego z siedzibą we Florencji.

PRZE(T)RWANIE

Już 19 listopada we wrocławskiej pracowni 66P wernisaż wystawy retrospektywnej Twożywa (1994-2011). To pierwsza od dekady ekspozycja prac legendarnej grupy artystycznej i próba uchwycenia jej fenomenu. Metody i media, jakimi posługiwało się Twożywo, skierowane były do przechodniów i internautów – osób przypadkowych, przemieszczających się po systemach komunikacyjnych i informacyjnych. Artyści tworzyli m.in. murale, bilbordy, plakaty, naklejki, animacje i ilustracje prasowe.

DZIEŃ MATKI

Wyprodukowany w Szkole Filmowej im. Krzysztofa Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach film „Dzień Matki" Patryka Kaflowskiego znalazł się na tzw. długiej liście oscarowej doceniającej krótkie metraże. Obraz opowiada o młodej, ciężarnej kobiecie, która musi się zmierzyć z komplikacjami podczas porodu.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI porozmawia z Agnieszką Lichnerowicz o szkolnictwie prywatnym w Polsce (tekst na s. 20). Słuchaj „Światopoglądu" Radia TOK FM w środę 10 listopada o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

NASA

KOSMICZNE PAPRYCZKI. Pakowana próżniowo wołowina, liofilizowane pomidory i karczochy oraz chili prosto z orbitalnej grządki – przyrządzone przez astronautkę Megan McArthur tacos zwieńczyły eksperyment Plant Habitat-04 na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Służy on badaniom upraw roślin na potrzeby długich misji kosmicznych, np. na Marsa. Po sukcesach z sałatą i rzodkiewką, uprawa chili – zasadzonego 12 lipca – była jednym z najdłuższych i najtrudniejszych eksperymentów na pokładzie. Papryczki dobrze rokują przyszłym misjom: zawierają dużo witaminy C, są samopylne, jadalne na surowo, a ostrość kapsaicyny stymuluje otępiały w nieważkości smak. Na zdjęciu od lewej astronauci Mark Vande Hei, Shane Kimbrough, Akihiko Hoshide i Megan McArthur, ISS, 29 października 2021 r. ©℗ MK / NASA / CNN

Myszak w pełni sprawny

ZAŁOŻENIE, że w naturalnym środowisku kalectwo oznacza mniejsze szanse na przeżycie, jest dość powszechne. Okazuje się jednak, że nie musi ono być prawdziwe w stosunku do wszystkich zwierząt. Francesca Rubino z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis ze współpracownikami przeanalizowali dane z trwających ćwierć wieku obserwacji 27 tys. myszaków białostopych – gryzoni o wysokiej odporności na obciążenie pasożytami, patogenami i zmiennymi warunkami środowiska. Stwierdzili, że osobniki z brakującymi lub zdeformowanymi ogonami, kończynami lub oczami (było ich ok. 500) wcale nie żyły krócej niż pozostałe.

Inne wskaźniki poziomu funkcjonowania także pozostawały w normie – osobniki kalekie osiągały nieco większą masę ciała i poruszały się po co najmniej tak dużym obszarze, jak te zdrowe. Częściej zmagały się natomiast z larwami kleszczy lub muchówek, czemu może towarzyszyć zmniejszona aktywność reprodukcyjna. Jednak także kontakt z pasożytami nie obniża ich zdolności przetrwania. © KATARZYNA DZIADOWICZ

Wielka Brytania: sukces szczepień przeciwko HPV

U KOBIET urodzonych w Wielkiej Brytanii po 1 września 1995 r. niemal wyeliminowano raka szyjki macicy – wynika z danych opublikowanych w „The Lancet". To efekt programu szczepień przeciwko wirusowi brodawczaka ludzkiego (HPV).

Zakażenie HPV jest najczęstszą chorobą przenoszoną drogą płciową. Czasem do infekcji dochodzi także podczas porodu. Istnieje ponad sto typów tego wirusa. Część wywołuje łagodne zmiany skórne, ale inne sprzyjają rozwojowi chorób nowotworowych – takich jak rak szyjki macicy (w Polsce notuje się ponad 3 tys. zachorowań rocznie).

1 września 2008 r. w Wielkiej Brytanii wprowadzono rutynowe szczepienia przeciwko HPV z wykorzystaniem szczepionki Cervarix. Podawano ją dziewczynkom w wieku 12-13 lat, a w latach 2008-10 uruchomiono program dla 14-18-latek. Szczepionka okazała się bardzo skuteczna, o ile podano ją wcześnie. W grupie kobiet, które zostały zaszczepione w wieku 12-13 lat, w porównaniu do tych niezaszczepionych, spadek zachorowań wyniósł 87 proc. Nie jest jednak jasne, czy preparat gwarantuje ochronę na całe życie – na raka szyjki macicy najczęściej chorują kobiety po czterdziestce, w badaniu zaś obserwowano populację do 30. roku życia. © MICHAŁ ŚWIĄTEK

TEMAT TYGODNIKA

NIE MACIE PRAWA

ADAM BODNAR:

Rząd mówi „dialogujmy", a idzie w kierunku państwa niedemokratycznego. Nie ma dziś ważniejszego pola starcia niż praworządność, może poza zmianą klimatu.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

DR HAB. ADAM BODNAR jest wieloletnim działaczem ruchu praw człowieka. Rzecznik praw obywatelskich od 2015 do lipca 2021 r., obecnie dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu SWPS w Warszawie.

MICHAŁ OKOŃSKI: Potrzebuję na wstępie zadać jedno pytanie.
ADAM BODNAR: Niech pan zadaje.

Myślał Pan o kandydowaniu na prezydenta?
I do czego miałaby się panu przydać odpowiedź?

To się wkrótce wyjaśni, obiecuję.
Dobrze, zatem odpowiem. Taki pomysł pojawił się w przestrzeni publicznej, ale nie brałem go poważnie pod uwagę ze względu na powierzony mi urząd rzecznika praw obywatelskich.

Nie jest już Pan rzecznikiem.
Otrzymałem inne zadania. Koncentruję się na działalności akademickiej, jestem dziekanem Wydziału Prawa Uniwersytetu SWPS.

Niedawno mówił Pan, że ma przed sobą jakieś 30 lat aktywności w życiu publicznym, czy to w kraju, czy za granicą. Prezydent powinien być aktywny i tu, i tu.
Faktycznie powiedziałem o 30 latach, ale jak będą przebiegały, nie wiem. Ledwo co zacząłem się zbierać po zakończeniu intensywnej kadencji rzecznika i ledwo co podjąłem pracę tutaj.

W sumie to myślałem, że będzie Pan mocniej dementował.
Jestem konsekwentny. Mówiłem, że nie wykluczam zaangażowania politycznego, działalności międzynarodowej, pracy naukowej. Różne opcje są na stole, ale za wcześnie na nadawanie im kształtu.

Rzeczywistość polityczną i tak Pan komentuje.
Ja bym powiedział raczej: prawno-polityczną. Staram się nie komentować wewnątrzpartyjnych sporów, nie wchodzić w grę frakcji.

Bardzo prezydenckie.
Ale się pan uparł. Po prostu uważam się za osobę kompetentną w kwestii praworządności i chcę odgrywać rolę popularyzatora. Opublikowałem właśnie w portalu NaTemat felieton, w którym piszę o zbliżającej się rozprawie przed Trybunałem Konstytucyjnym, mogącej doprowadzić do podważenia Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Zastanawia mnie, że prokurator generalny kwestionuje Konwencję i znaczenie Trybunału w Strasburgu, choć jedną ze spraw przed tym Trybunałem prowadzi jego mama. Jest beneficjentem systemu, który atakuje.

Sprawa dotyczy okoliczności śmierci ojca Zbigniewa Ziobry – wchodzi Pan w kolejne zwarcie z rządzącymi.
Nie ma dziś ważniejszego pola starcia niż praworządność, może poza zmianą klimatu. Dlatego wchodziłem w te zwarcia jako rzecznik i także dlatego wszędzie, gdzie się da, mówię dziś o kryzysie migracyjnym. Do czego nas doprowadzi ta sytuacja na granicy...

Nas?
Polskę. Geopolitycznie, w relacjach ze światem, ale także w sensie społecznym, ludzkim.

Bo z jednej strony na granicy cierpią konkretni ludzie, a z drugiej toczy się wojna hybrydowa, w której Putin i Łukaszenka grają na wywołanie w Europie kolejnego napięcia związanego z napływem migrantów.
Poszukiwanie wyjścia z tego kryzysu musi być akceptowalne z punktu widzenia praw człowieka. Na razie daleko nam do tego. Dostałem dopiero co alarmujące wiadomości od mojej byłej zastępczyni, dr Hanny Machińskiej. Pisała, że nasz kolega z biura Rzecznika na własnych rękach wynosił dziecko z lasu. Wyobraża pan to sobie? Zamiast za biurkiem przyjmować skargi i przygotowywać prawnicze interwencje, jedzie tam i wynosi dzieci ze świadomością, że jeśli tego nie zrobi, Straż Graniczna przeprowadzi kolejny pushback?

Wraz z prof. Agnieszką Grzelak opublikowaliśmy też tekst w „Politico". Przyglądamy się w nim polityce UE, a zwłaszcza działalności Fronteksu. Tę służbę powołano, by pomagać państwom członkowskim w strzeżeniu granic, ale nadużycia, jakich się dopuściła w przeszłości, doprowadziły do stworzenia mechanizmu kontrolującego jej działania. Istnieje grupa tzw. *fundamental rights officers*, urzędników powołanych do patrzenia na ręce zarówno agencji, jak państwom członkowskim w kwestii ewentualnych naruszeń praw człowieka. Twierdzimy, że powinni przyjrzeć się temu, co dzieje się na naszej granicy.

Wie Pan dobrze, że Unia nie chce tych ludzi. Z punktu widzenia Fronteksu wszystko jedno, przez którą granicę idą.
Wiem. Doświadczamy na własnej skórze tego, co przed kilkoma miesiącami było udziałem Litwy, a przed kilkoma laty Grecji czy Włoch. Wtedy zamykaliśmy oczy na kryzys. Nasze władze odmawiały wykonania jakiegokolwiek gestu solidarności, nie chciały przyjąć nawet niewielkiej grupy uchodźców, lekceważąc także starania Kościoła, który wzywał do tworzenia korytarzy humanitarnych.

↦

Pan widzi wyjście z sytuacji?

Nie uciekniemy przed ustaleniem wspólnej polityki migracyjnej i tworzenia racjonalnych zasad kontrolowanej migracji, porównywalnych do tych, które wprowadziły Kanada, Australia czy USA. Takich, które pozwalają w przewidywalny sposób przyjmować jakieś grupy migrantów. I takich, które opierają się na współpracy z państwami, gdzie dochodzi do oszukiwania ludzi i przedstawiania im fałszywych obietnic na temat europejskiego raju.

A może to faktycznie nie nasz problem, skoro oni wszyscy chcą jechać do Niemiec i Francji?

Nic nas nie zwalnia z obowiązku poszanowania ich praw podmiotowych. Musimy przyjąć i rozpatrzyć ich dokumenty. Jeśli nie spełniają kryteriów ochrony międzynarodowej, mamy prawo ich odesłać. Ale przede wszystkim musimy im udzielić pomocy humanitarnej. No i nie możemy stosować przemocy, na której opierają się pushbacki.

Nie wystarczy miejsca w ośrodkach dla uchodźców, żeby przeprowadzić te procedury.

Specjaliści mówią, że nasz system był przygotowany na potężną falę migracyjną w apogeum konfliktu ukraińsko-rosyjskiego. Istnieją plany, jest infrastruktura.

Rozumiem, że Pan nie pyta, czy ci ludzie są omamieni, czy nie, i czy są rzeczywistymi uchodźcami, czy nie.

Taką mam rolę. Po to studiowałem prawo, po to się zaangażowałem w działania Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, po to przyjąłem funkcję RPO, żeby taki zestaw wartości prezentować. Nie jest to, dodam, zestaw pięknoducha, bo wynika z obowiązującego systemu prawnego.

Przecież tam, na granicy, dochodzi do naruszenia prawa do życia, ze względu na pozostawianie ludzi w lasach i odstawianie ich w miejsca, gdzie może im grozić śmierć. Do naruszenia zakazu nieludzkiego, poniżającego traktowania, a wręcz tortur. Do naruszenia praw dzieci i osób w sytuacjach szczególnych, np. kobiet w ciąży. Do naruszenia zakazu tzw. zbiorowego wydalenia – bo wniosek każdej z osób przekraczających granicę i zgłaszających chęć ubiegania się o status uchodźcy powinien być traktowany oddzielnie. Już nie mówię o tym, że prawdopodobnie wśród tych osób są ofiary handlu ludźmi, i że mamy do czynienia z naruszaniem tymczasowych postanowień Trybunału Praw Człowieka w sprawie udzielenia im pomocy humanitarnej. Naprawdę chce pan mówić jeszcze o wojnie hybrydowej?

GRZEGORZ DĄBROWSKI / AW

NA GRANICY:

Poszukiwanie wyjścia z kryzysu migracyjnego musi być akceptowalne z punktu widzenia praw człowieka. Na razie daleko nam do tego, a mój kolega z biura RPO musiał na własnych rękach wynosić dziecko z lasu.

Mam poczucie, że rząd również może szermować ustawami i przepisami, żeby uzasadnić swoje działania. Wprowadzenie na terenach przygranicznych stanu wyjątkowego dodatkowo zwiększyło ich katalog.

Rząd ma obowiązek dbać o bezpieczeństwo obywateli i strzec granic. Jeśli ktoś je nielegalnie przekracza, musi się liczyć z tym, że będzie izolowany w ośrodku strzeżonym, a następnie deportowany. Procedury deportacyjne mogą zostać przyspieszone. Ale to zawsze muszą być działania zgodne ze standardami praw człowieka. Nie może być tak, że ktoś po przekroczeniu granicy staje się przedmiotem obławy, a następnie jest fizycznie wypychany z powrotem. Albo że z obawy przed takim traktowaniem ukrywa się, koczuje na zimnie, a w końcu umiera bez pomocy.

Problem w tym, jak rozmawiać o przestrzeganiu prawa i kto ma dbać o jego standardy. W ciągu ostatnich lat, mam wrażenie, o prawnikach w Polsce nie mówi się już jak o stróżach pewnego fundamentalnego porządku. To raczej, by użyć słowa z propagandy rządowej, „kasta", która jest w stanie uzasadnić wszystko.

Nie przesadza pan?

Dam przykład zakazu manifestacji 11 listopada. Można mieć wrażenie, że tu się odbywa bój na kruczki prawne, którego skutkiem jest utrata zaufania obywateli do prawa jako takiego.

Niestety, od paru lat idziemy w stronę świata dualizmu prawnego. Pojęcie jest znane od lat 30. XX wieku, kiedy mówiło się o państwie prerogatyw, czyli państwie władzy politycznej, i państwie normatywnym. Po prostu w tym pierwszym z góry wiadomo, że pewne rzeczy są polityczne.

Trudno tu wyznaczyć granicę. Koncesja dla telewizji, inwestowanie przez koncern paliwowy w media regionalne nie muszą być polityczne.

Ano właśnie: nie wiadomo, gdzie leży granica między tym, co polityczne, a tym, co z polityki wyjęte. Kiedy wiosną minister zdrowia, korzystając z przepisów ustawy covidowej, wprowadził do Szpitala Południowego pełnomocnika, odbierając nadzór nad placówką rządzonej przez polityka PO Warszawie, to kierował się racjami politycznymi czy merytorycznymi?

Decyzja sądu administracyjnego w tej sprawie była miażdżąca dla ministerstwa. Ale nie wiadomo, czy sędziowie nie chcieli zrobić na złość rządowi, który wziął ich na celownik.

Nasz system prawny jest rozwibrowany. Nic nie jest pewne, każda decyzja może zostać podważona albo przy użyciu narzędzi prawnych, albo metod politycznych, albo przez narrację propagandową. Jeżeli mówimy o Marszu Niepodległości: niezależnie od tego, co w jego sprawie orzekną sądy, Robert Bąkiewicz i jego przyjaciele prawdopodobnie i tak się zgromadzą, a władza – w zależności od tego, czy bardziej będzie się jej opłacało pokazanie narodowcom, kto tu rządzi, czy ich kokietowanie – będzie reagować na prowokacje albo umyje ręce.

Elementem rozwibrowania systemu jest również stosunek do skargi nadzwyczajnej, którą mogą stosować prokurator generalny i RPO. Miał to być stosowany w ostateczności wentyl bezpieczeństwa, no ale jeśli prokurator generalny składa skargę nadzwyczajną w sprawie podziału majątku między niepokornym sędzią Żurkiem a jego byłą żoną...

Efektem jest utrata wiary w bezstronność ludzi wymiaru sprawiedliwości. Kiedy słucham wyroku w jakiejś sprawie publicznej, zastanawiam się, na kogo głosował wydający go sędzia. A kiedy słyszę o zgłoszeniu do prokuratury przypadku śmierci kobiety w szpitalu w Pszczynie, mam wrażenie, że to i tak do niczego nie doprowadzi, bo prokuratura jest politycznie sterowana.

Sprawy dla władzy potencjalnie niewygodne – a do takich zaliczam tę z Pszczyny, w której zmiana prawa, za którą stało Ordo Iuris, wybija się na pierwszy plan – są albo umarzane, albo przenoszone między jednostkami prokuratury tak długo, że temperatura wokół nich wygasa. Tylko że dziś widzimy nie błąd, a jego konsekwencje: błąd został popełniony w 2016 r., kiedy połączono prokuraturę z ministerstwem sprawiedliwości.

W przeszłości tak już było.

Ale tym razem poszerzono kompetencje władcze prokuratora generalnego-ministra sprawiedliwości. A do tego jeszcze doszedł nadzór tegoż ministra nad sądami i wpływ na Krajową Radę Sądownictwa czy pośrednio na Trybunał Konstytucyjny. Efektem jest poczucie, że władza za nic nie odpowiada, nie można jej rozliczyć ani skontrolować. Bo cóż z tego, że wygram przed sądem, skoro później będzie skarga nadzwyczajna, o medialnym linczu nie wspominając.

Wróćmy jednak do tego, że sędziowie mają poglądy polityczne. Niektórych widuję nawet na wiecach.

Muszą chronić swój zawód i wpisaną w jego etos niezależność i bezstronność. Oni czują szczególną odpowiedzialność za przyszłość tego kraju.

Wielkie słowa.

Używam ich z pełnym przekonaniem. Co więcej, taki jest standard praw człowieka: sędziowie mogą protestować na ulicy w obronie własnej niezależności. Tym bardziej że ci sędziowie orzekają zgodnie z własnym sumieniem, a wyroki, które wydają, wymykają się politycznemu kluczowi. Pamiętam, jak w mediach rządowych atakowano sędziego zajmującego się zarzutami korupcyjnymi wobec senatora i działacza KOD Józefa Piniora – bo również uczestniczył w demonstracjach KOD-u. Tylko że ów sędzia skazał Piniora.

ARTUR ZAWADZKI / REPORTER

11 LISTOPADA:

Dopóki nie zostanie zaproponowany nowy sposób opowieści o naszej niepodległości, będzie dochodziło do zadym. W Marszu nie uczestniczą wyłącznie awanturnicy, ale także całe rodziny, które naprawdę chcą świętować.

Problem w tym, że nie chodzi tylko o personalne ataki na sędziów Tuleyę, Juszczyszyna, Żurka, Morawiec, Rzeplińskiego czy Biernata. Chodzi o rozmontowanie całego systemu, ograniczenie roli sądów jako trzeciej władzy. Bo przecież jeśli one znikną, tylko partia i podległe jej media będą oceniać, co dobre, a co złe. Parę dni temu zdecydowały np., że Bodnar jest zły.

Rozumiem, że mówi Pan o komentarzach po Pańskim wystąpieniu w Getyndze, gdzie odbierał Pan nagrodę Federalnego Związku Towarzystw Polsko-Niemieckich. Zabolało?

Siłą rzeczy musi zaboleć coś, co jest niesprawiedliwe i co powoduje falę skoordynowanego hejtu. Pokażę panu wiadomości, jakie otrzymuję na Facebooku.

Michał Janeczko: „Folksdojcz zdrajca tfuu", Marek Piasecki „Posrany kmiocie", Wiesław Jasek: „Co u ciebie skundlony Niemcu", Leszek Gackowski: „Za te chaniebne słowa powinno się...". Dalej już nie mogę.

Media proszą mnie o komentarz, a ja odmawiam, bo się już nauczyłem, że cokolwiek bym powiedział, napędzałbym ten seans nienawiści. Nawet na słowa Marka Suskiego, że należy palić świeczki pod moim domem, nie reagowałem. A przecież to czysta mowa przemocowa.

No to może powiem, jak zrozumiałem Pana wystąpienie.

Proszę.

Zrozumiałem, że Pan faktycznie wzywa Niemców do podjęcia zdecydowanych działań względem polskich władz. Że tak fundamentalne wartości jak praworządność nie pozwalają na przymykanie oka na to, co się tu dzieje, nawet jeśli biznes naciska na kontynuowanie współpracy i jak najszybsze uruchomienie środków z Funduszu Odbudowy.

Momentów na dialog było w ciągu ostatnich lat wiele. Polski rząd mówił za każdym razem „dialogujmy", a jednocześnie szedł w kierunku państwa niedemokratycznego i zdobywał kolejne przyczółki w wymiarze sprawiedliwości. Mamy ostateczny, prawomocny wyrok TSUE, wydany 15 lipca. O czym tu jeszcze dialogować?

Czytałem „Małego księcia" i rozumiem, skąd wziął Pan metaforę o odpowiedzialności za zwierzątko, które się oswoiło. Nie mówię, jak dziennikarze TVP, że porównuje Pan rodaków do zwierząt hodowanych przez Niemców, ale mam skojarzenia z dyskursem kolonialnym.

Chodziło mi o to, że wybitni niemieccy profesorowie uczyli nas standardów państwa prawa. Skąd niby mieliśmy czerpać wzorce po 1989 roku? A druga rzecz to odpowiedzialność Niemiec za los całej UE wynikający z historii: przecież to Niemcy spowodowały największą tragedię XX wieku.

Być może mogłem użyć innej metafory. Tylko że, jak pan sam zauważył: to była metafora. Każdą metaforę można spłycić tak, żeby wyszła karykatura. Mam zakładać, że każde moje słowo w każdym wystąpieniu może być odczytywane ze złą wolą?

Szczerze? Ma Pan zakładać. Jest Pan osobą publiczną, pozostającą na celowniku władz, którym parę razy zalazł Pan za skórę.

Ale nie jestem politykiem!

Rozumiem, że dostałem nauczkę i powinienem każdą publiczną wypowiedź tak wyjaławiać z treści, żeby nigdy już nie powiedzieć nic konkretnego. ↦

Po prostu zgódźmy się, że to było niefortunne. I niech Pan nie wyjaławia dalszej części rozmowy.

Nie zgodzimy się. Dlaczego zmasowana propaganda oparta na zmanipulowanej wypowiedzi ma każdą osobę wypowiadającą się publicznie prowadzić do samokrytyki?

Żeby było jasne: ja nie uważam, że za użycie niefortunnej metafory można kogokolwiek hejtować.

Premier Morawiecki powiedział w wywiadzie dla „Financial Timesa" o III wojnie światowej, którą UE może rozpocząć z Polską. Myśli pan, że dostaje hejterskie wiadomości za niefortunną metaforę?

Myślę, że dostaje, bo hejterzy są po obu stronach. Co mówię ze smutkiem, bo tęsknię za światem, w którym polityczni przeciwnicy zakładają swoją dobrą wolę.

Dawno temu był taki świat.

To mi przypomina, że redakcja zamówiła wywiad na 11 listopada.

I mówi mi to pan po godzinie rozmowy.

Naczelny poprosił, żebym zapytał o Polskę ostatecznie podzieloną na pół. Może to są pobożne życzenia, to całe mówienie o jedności, wspólnocie ponad podziałami, sklejaniu?

Podczas tej samej wizyty w Niemczech mówiłem w debacie z posłem SPD Dietmarem Nietanem, że polityka Niemiec w sprawie NordStream 2 jest błędna i że myślę w tej sprawie dokładnie to, co polski rząd. I wytykałem jeszcze Gerharda Schrödera w zarządzie Rosneftu.

Po sześciu latach rządów partii, której politycy straszą uchodźcami i dehumanizują osoby LGBT, popiera ją prawie 40 proc. głosujących Polaków. Co Pana z nimi łączy?

Np. to, że 1 listopada spotykaliśmy się na cmentarzach. Język. Tradycja. Doświadczenia historyczne. Życie na Snyderowskich „skrwawionych ziemiach". Ale też poczucie sukcesu – uzasadnione, kiedy porównujemy osiągnięcia Polski po 1989 roku z tym, co udało się zrobić w innych krajach regionu. I jeszcze duży poziom egalitaryzmu społecznego – w czym PiS ma zresztą wielkie zasługi, bo redystrybucja majątkowa i godnościowa,

KONRAD KOZŁOWSKI / POLSKAPRESS

HEJT:

Cokolwiek bym powiedział, napędzam seans nienawiści. Ale nie godzę się na to, że zmasowana propaganda oparta na zmanipulowanej wypowiedzi ma każdą osobę wypowiadającą się publicznie zmuszać do samokrytyki.

jaką uruchomił choćby dzięki programowi 500 plus, podobnie jak dowartościowywanie Polski lokalnej, to wielce sensowne rzeczy. Właśnie za rządów PiS stało się oczywiste, że obywatel mieszkający na wsi czy w małym miasteczku jest tak samo ważny jak obywatel miasteczka Wilanów.

No to powiem Panu wreszcie, skąd to pierwsze pytanie o prezydenturę.

Po ponad godzinie rozmowy.

Wyobraziłem sobie, że 11 listopada przed Grobem Nieznanego Żołnierza orędzie do Polaków wygłasza prezydent Bodnar.

Ma pan bujną wyobraźnię.

Niech Pan się zabawi w prezydenckiego ghostwritera. O czym powinien mówić? Czas jest pełen burz i niepokojów.

Zacznijmy więc od tych burz i niepokojów. Wydaje mi się, że tak długo, jak nie zostanie zaproponowany jakiś nowy sposób opowieści o naszej niepodległości, tak długo będzie dochodziło do zadym 11 listopada. Marsz Niepodległości stał się symboliczny dla środowiska... nazwę je ostrożnie narodowym.

Faktycznie ostrożnie, skoro prezydent Warszawy chciałby delegalizacji organizatora, m.in. za publiczne promowanie totalitarnego ustroju państwa.

Jednak w Marszu nie uczestniczą wyłącznie awanturnicy o poglądach skrajnych, którzy obrzucili racami okno z flagą LGBT, ale także całe rodziny, które faktycznie chcą świętować odzyskanie niepodległości. A poza tym Polska jest większa od Warszawy. Pikniki, zabawy, biegi itp. mogą się odbywać i faktycznie się odbywają w wielu miejscach. Zawsze wspominam w tym kontekście norweski patriotyzm konstytucyjny: oddolne, pokojowe świętowanie pod wspólną flagą różnych tradycji i pokoleń.

W tym roku jednak szczególnie ważne w takim „prezydenckim" przemówieniu powinno być akcentowanie naszej obecności w UE. Polska niepodległość się z nią nie kłóci, co więcej: obecność w UE tę niepodległość wzmacnia. Dzięki Unii możemy mieć poczucie wpływu na sprawy globalne, możemy wspólnie stawiać czoło kryzysowi klimatycznemu czy uczestniczyć w popandemicznej odbudowie, nie mówiąc już o poczuciu bezpieczeństwa związanego z zagrożeniami geopolitycznymi nie tylko ze strony Rosji, ale także Chin.

O tym ostatnim mało się u nas mówi.

A chodzi nie tylko o zagrożenie ekonomiczne, ale także kulturowe. O model państwa, który polega na podporządkowaniu jednostki jego celom i ścisłą kontrolę nad tym, co ta jednostka robi. Nowe technologie mogą sprawiać, że życie staje się łatwiejsze, ale tworzą też doskonałe narzędzia kontroli społecznej.

Kaczyński jest wpatrzony w Pekin, nie w Moskwę?

Nie wiem, w co jest wpatrzony. Ale wiem, że ma szereg narzędzi, by zmierzać w tę stronę. Dziś już nie trzeba więzić obywateli, wystarczy przewidywać ich ruchy i sprawdzać, co planują. Nowoczesne technologie, którymi dysponuje władza, dają wielkie możliwości, a my nie mamy możliwości sprawdzenia, do jakiego stopnia z nich korzysta.

Miałem jednak pisać „prezydenckie" przemówienie. Myślę, że powinno się w nim znaleźć słowo o pandemii: o szacunku dla jej ofiar i o społecznej solidarności, która wyraża się dziś przez szczepienie. No i myślę, że powinno być wymierzone w przyszłość i dotykać takich kwestii, jak wielokulturowość. Czy tego chcemy, czy nie, nasze społeczeństwo jest coraz bardziej zróżnicowane religijnie, etnicznie i kulturowo. A zadaniem

prezydenta jest wyznaczanie horyzontów debaty w takich kwestiach.

Chciałbym, żeby z takiego przemówienia wynikało, że Polacy mają prawo wierzyć w ideały. Realizacja tych ideałów jest w ich zasięgu, tylko trzeba ich zachęcać dobrymi przykładami. Zamiast mówić o naszym strachu przed uchodźcami, można pokazać Władysława Grochowskiego z firmy Arche, który chce się dzielić swoim sukcesem i przyjmować ludzi w potrzebie.

Tomasz Stawiszyński powiedział mi niedawno, że tacy politycy jak Kaczyński wygrywają, bo mówią ludziom: jesteście OK. Wasze jedzenie jest OK, wasza muzyka jest OK.

No bo jest OK.

Pan słucha rapu, nie disco polo.

Ale jak gdzieś na weselu natrafiam na disco polo, to się nie obrażam, tylko się bawię. „Ona tańczy dla mnie" zespołu Weekend to świetnie zrobiony kawałek. Jednak na co dzień słucham najczęściej Taco Hemingwaya – polecam „Toskania Outro" z ostatniej płyty. A ludzie naprawdę są OK. Nie chodzi o to, żeby rządzący ich poprawiali i wytykali palcem, tylko potrafili ich inspirować.

Wie Pan, co mnie naprawdę zaciekawiło w przemówieniu z Getyngi? Opowieść o Pana dzieciństwie. O ojcu, który w ramach akcji „Wisła" został wysiedlony z pod Sanoka i trafił do PGR-u w okolice Gryfic, które przed wojną nazywały się Greiffenberg.

Trochę mnie zdziwiło, że nikt tego nie podjął. Objeżdżał mnie np. Krzysztof Ziemiec, który sam napisał kiedyś książkę o akcji „Wisła". Może nie przeczytał moich słów w całości i skupił się tylko na fragmencie, który był od niego oczekiwany?

Z takiego miejsca, jak Gryfice, rozmowa o Polsce naprawdę może zabrzmieć inaczej. Pamiętam Pana wywiad w „Naszym Słowie" – opowieść o historii rodziny, która de facto zaczyna się od dziadków. O tym zerwaniu ciągłości, które wojna przyniosła nie tylko Bodnarom.

Wie pan, co było dla mnie ważne w tym przemówieniu? Powiedzenie, że przy całej tej antyniemieckiej retoryce, której tyle dziś w rządowych mediach, w Polsce są możliwe inne postawy. Wielu z nas poszukuje nie tyle nawet własnej tożsamości, co tożsamości ziem, na których mieszka. Efektem takiego poszukiwania jest np. książka Karoliny Kuszyk „Poniemieckie". Niesamowitym człowiekiem jest Zbigniew Mieczkowski, emerytowany pułkownik z okolic Złocieńca (przed wojną Falkenburga), który wydaje albumy przypominające historię jego regionu. Brałem udział we wręczeniu Nagrody im. księżnej Anny Wazówny pani Angelice Babuli, która odnawiała cmentarz ewangelicki w Gostkowie koło Wałbrzycha. Zwyczajny, nienadęty szacunek do przeszłości jako metoda szukania porozumienia przekraczającego traumy, które się wydarzyły i których przecież nie lekceważę, bo np. odmówiłem przyjęcia niemieckiej nagrody Rolanda Bergera po tym, jak się okazało, że ojciec jej fundatora, a zarazem jej patron, był nazistą.

Wychodzi na to, że do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi.

Nie bez przyczyny angażuję się w inicjatywę (Nie)zapomniane Cmentarze. Kiedy jeżdżę w swoje rodzinne strony, widzę zapomniane cmentarze niemieckie. W rodzinnych stronach mojego ojca widzę zapomniane cmentarze ukraińskie, łemkowskie czy bojkowskie. Wszędzie w Polsce widzę zapomniane cmentarze żydowskie albo cmentarze poległych w obu wojnach światowych. Pod Bornem Sulinowem widziałem cmentarz jeńców wojennych, którzy zmarli w tamtejszym oflagu: rząd brzozowych krzyży, z których wiele miało już tabliczki z nazwiskami, bo ktoś odnalazł tu swoich przodków. Tych zapomnianych cmentarzy w Polsce jest 20 tysięcy.

Tylko że tu nie chodzi wyłącznie o nasze niezaleczone rany, o świadomość, co się na naszych ziemiach działo i jak to wpływa na naszą tożsamość. Chodzi też o to, jak będziemy działali na rzecz budowania społeczeństwa wielokulturowego i wyciągającego wnioski z historii. Żebyśmy się nie zamknęli w nacjonalizmie i ksenofobii, z czego nie wyjdzie ani integracja europejska, ani społeczeństwo, które potrafi ze sobą żyć i współpracować. ©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Żadne wielkie mecyje*

Pramatka Sara, dożywszy pięknego wieku 127 lat, żegna się z tym światem. Efron Chetyta wpierw deklaruje, że odda Abrahamowi jaskinię grzebalną dla Sary za darmo, a ostatecznie rzuca niebagatelną kwotę: „czterysta szekli w srebrze – co to [hebr. *ma hi*] dla nas [dosł. między mną a tobą]?" (Rdz 23 ,15). Żydowska tradycja uczy, że jeśli ciąg wyrazów, lub nawet pojedyncze słowo, powtarza się w Biblii Hebrajskiej, to istnieje związek między wszystkimi kontekstami, w jakich pojawia się ten ciąg wyrazów. Dwa słowa z naszego wersu, *ma hi*, znajdują się obok siebie jeszcze w dwóch miejscach w Biblii. Kiedy Mojżesz wysyła dwunastu zwiadowców na przeszpiegi do Kanaanu, formułuje polecenie w następujący sposób: „Obejrzyjcie ziemię, jaka jest [*ma hi*]" (Lb 13, 18). Trzeci raz słowa te wychodzą spod pióra psalmisty: „Daj mi poznać, Boże, mój koniec, a miara mych dni – jaka jest [*ma hi*]?" (39, 5).

Co łączy trzy powyższe wersy? Czerpię z komentarza rabina Józefa Pacanowskiego z Pabianic. Mówi się, że nim młodzi ludzie wstąpią w związek małżeński, powinni się „wyszumieć". Gdy się ustatkują, przyjdzie również czas na to, by zatroszczyli się o własny rozwój duchowy. Po ślubie młoda para dochodzi do wniosku, że sumka, którą otrzymali od teściów, prędko zostanie wydana, i wkrótce mogą zostać bez grosza przy duszy. „Czterysta szekli w srebrze – co to dla nas?". Rzucają się więc w wir pracy zawodowej, odkładając pracę nad sobą na później. Po zgromadzeniu kapitału zapewniającego im stabilność finansową mogliby wreszcie poświęcić trochę czasu duchowości. Ale... Po wzmożonym wysiłku należą im się przedłużone wakacje! Egzotyczna wyprawa? Podróż dookoła świata? Jeśli nie zrealizują swoich planów teraz – kto wie, czy w przyszłości nadarzy się jeszcze taka okazja, czy będą się cieszyć równie dobrym zdrowiem, czy zdołają w pełni skorzystać z uroków podróży? Zdecydowanie nie należy niczego odkładać. „Obejrzyjcie ziemię, jaka jest". Na emeryturze będą mieli dość czasu, by poświęcić się zgłębianiu spraw duchowych.

Kto może nam zagwarantować, że dożyjemy starości? „Daj mi poznać, Boże, mój koniec, a miara mych dni – jaka jest?". Lepiej zawczasu opamiętać się i już za młodu karmić nie tylko swoje ciało, ale i duszę.

Powróćmy na koniec do słów Efrona: „Czterysta szekli w srebrze – co to jest między mną a tobą?". Komentator wszech czasów interpretuje je w następujący sposób: „między dwoma kochankami, takimi jak my, 400 szekli – jakie to [*ma hi*] w ogóle ma znaczenie?". Kochankami? Z wyjaśnieniem spieszy Belzer Rebe: Abraham bardzo kocha przykazania, więc wydatek 400 szekli na zakup miejsca pochówku to dla niego niewiele. Efron, z kolei, kocha pieniążki: owe 400 szekli to dla niego żadne wielkie mecyje. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Bóg aż do bólu konkretny*

W liturgii słowa w przedostatnią niedzielę roku kościelnego powtarzamy refren: „Strzeż mnie, mój Boże, Tobie zaufałem". Przed kim Bóg powinien nas strzec? Oczywiście przed wrogami. Przede wszystkim przed demonami i ludźmi, którzy im ulegli, dali się opętać z własnej i niewłasnej woli, następnie przed chorobami, losowymi wypadkami, czyli przed wszystkim, co obrzydza nam życie. A już byłoby najlepiej, gdyby Bóg skuteczniej bronił nas przed śmiercią.

Ale jak śmierć już się o nas otrze, kiedy grzebiemy swoich bliskich, próbujemy udawać, że taki obrót życiowych spraw nas nie dotyczy. Co prawda nie tyle wiemy, co słyszeliśmy, że jeden z nas, Jezus Chrystus, powstał z martwych, ale te opowiadania brzmią jak jeszcze jedna bajka dla mało zorientowanych w naukach przyrodniczych. Bywa jednak i tak, że, nawet jeśli o tym głośno nie mówimy, chciałoby się, jak mówi papież Franciszek, wykrzyczeć Bogu prosto w twarz, dlaczego robi wszystko, czy tak wiele, żebyśmy w Niego nie wierzyli. Gdzie tkwi przyczyna takiego odpychania Boga?

Papież Franciszek mówi: „Nie zawsze wierzymy, że Bóg może być tak konkretny, że działa przez kogoś znanego, jak sąsiad, przyjaciel, krewny, że może nas zaprosić, byśmy pracowali i pobrudzili sobie ręce razem z Nim, w Jego Królestwie, w tak prosty sposób. Nieraz zachowujemy się jak mieszkańcy Nazaretu, wolimy Boga na odległość: miłego, dobrego, wspaniałomyślnego, ale odległego, takiego, który nie przeszkadza. Bowiem Bóg bliski i codzienny, przyjaciel i brat wymaga od nas, byśmy nauczyli się bliskości, codzienności, a przede wszystkim braterstwa".

A filozof Tomasz Stawiszyński dopowiada: „Ignorowanie straty, smutku i lęku nie sprawi, że znikną. Wręcz przeciwnie – wrócą do nas, być może przysparzając jeszcze większych cierpień. Zamiast tego, lepiej postrzegać je jako naturalny składnik ludzkiego doświadczenia, taki sam jak radość, miłość i piękno". Na innym miejscu dodaje: „Wydaje mi się jednak, że w porównaniu z tą dzisiejszą kapitalistyczną kulturą, szeroko rozumiane chrześcijaństwo, abstrahując od wszystkich aktualnych problemów Kościoła, od jego ciemnego oblicza, jest jednym z ostatnich bastionów realistycznej antropologii. Przechowuje ono obraz człowieka jako istoty ułomnej, ograniczonej, niepełnej, a pragnienie wszechmocy ukazuje jako coś, z czym trzeba obchodzić się ostrożnie. Tymczasem kapitalizm dopuszcza ich istnienie w bardzo ograniczonym zakresie, bo całkowicie zanegować się ich nie da, a jednocześnie patologizuje. Żałoba, lęk, smutek są definiowane jako stany będące wynikiem zaburzeń psychicznych i innych defektów, które można na różne sposoby skorygować". Czyżbyśmy zapomnieli, że „Moc doskonali się w słabości"? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: *Szemranina*

„Zbliżali się do Jezusa wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Na co szemrali faryzeusze i uczeni w Piśmie, mówiąc: »Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi«. Opowiedział im wtedy następującą przypowieść: »Kto z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i idzie za zagubioną, aż ją znajdzie? (...) Albo jeśli jakaś kobieta, mając dziesięć drachm, zgubi jedną drachmę, czyż nie zapala światła, nie wymiata domu i nie szuka starannie, aż ją znajdzie?«" (zob. Łk 15, 1-10).

Wielu z nas zapewne w toczonych w ostatnim czasie rozmowach mówi z przekonaniem o tym, jak wielkim problemem dla Kościoła są grzesznicy – szczególnie ci, których grzechy i przestępstwa stały się wiedzą publiczną i dla wielu osób (przynajmniej na poziomie takich czy innych deklaracji) uzasadnieniem radykalnych decyzji (po odejście z Kościoła włącznie).

W przytoczonym fragmencie Ewangelii niedawno czytanym Pan Jezus otwiera przed naszymi oczyma nieco inną perspektywę: być może większym dla Kościoła „problemem" niż grzesznik jest porzucenie grzesznika – zostawienie go na pustyni, jak się rezygnuje ze zgubionej owcy; zapomnienie – jak się zapomina o monecie, która zawieruszyła się gdzieś wśród śmieci w jakimś ciemnym kącie mieszkania. Zostawienie, zapomnienie, porzucenie, rezygnacja – jakby nigdy nie istniał...

Takie porzucenie grzesznika może mieć kilka form ukrytych – nie od razu uświadomionych. Pierwszą z nich, jak mi się wydaje, jest poczucie bezgrzeszności wspólnoty, którą tworzymy. „Kościół jest święty" – myślimy i mówimy. „Nie jesteśmy jak inni ludzie, zdziercy, oszuści, cudzołożnicy, albo jak i ten celnik" (por. Łk 18, 11). Tymczasem Jezus uświadamia nam, że od „Kościoła grzeszników" znacznie większym problemem jest Kościół tych, którzy „nie potrzebują nawrócenia" (Łk 15, 7) – Kościół ludzi, których ks. Franciszek Blachnicki nazywał dosadnie „bezgrzesznymi potworami". Tak. „Kościół bezgrzesznych potworów" jest znacznie większym problemem niż „Kościół grzeszników".

Inną formą porzucenia grzesznika jest pojawiająca się w odnośnej perykopie Ewangelii „szemranina": „szemrali, mówiąc: Ten przyjmuje grzeszników...". „Szemranina" jest – wbrew wszelkim pozorom – porzuceniem grzesznika. Jest – z definicji – pustą gadaniną: jest gadaniem o grzeszniku, ale nie do niego; jest gadaniem o problemach Kościoła, ale nie z Kościołem. Szemranina jest głęboko myląca – utwierdza nas bowiem w przekonaniu, że zależy nam na grzeszniku i na grzesznym Kościele; że przecież reagujemy na zło; że nie stępiała nasza wrażliwość. „Wszyscy szemrzą; nikt nie krzyknie" – pisał na przełomie XIV/XV wieku krakowski biskup, Piotr Wysz.

Ważny tekst Jezusa. Uczy nas zdecydowanie rozeznania: uczy odróżnić faktyczne i skuteczne rozwiązanie problemu od rozwiązania pozornego. ©

Brat spytał: „Mój umysł błąka się". Abba Filemon po chwili rzekł: „Nie masz jeszcze doskonałego pragnienia Boga".

FILOKALIA

Także w myśleniu jest czas orki i czas żniw.

LUDWIG WITTGENSTEIN

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 XI)

33. niedziela zwykła: Dn 12, 1-3; Ps 16; Hbr 10, 11-14. 18; Mk 13, 24-32;
Poniedziałek: 1 Mch 1, 10-15. 41-43. 54-57. 62-64; Ps 119; Łk 18, 35-43;
Wtorek: 2 Mch 6, 18-31; Ps 3; Łk 19, 1-10;
Środa: 2 Mch 7, 1. 20-31; Ps 17; Łk 19, 11-28;
Czwartek: 1 Mch 2, 15-29; Ps 50; Łk 19, 41-44;
Piątek: 1 Mch 4, 36-37. 52-59; 1 Krn 29; Łk 19, 45-48;
Sobota: 1 Mch 6, 1-13; Ps 9; Łk 20, 27-40;
Niedziela, Uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: Dn 7, 13-14; Ps 93; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37.

NIEOBECNOŚĆ USPRAWIEDLIWIONA

Już niemal co dziesiąty polski uczeń jest w prywatnej bądź społecznej szkole. To dobrze, bo z roku na rok margines wolności się poszerza. To źle, bo rosną nierówności.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ANNA LEWAŃSKA / AGENCJA WYBORCZA

Jedną z przyczyn przechodzenia uczniów do szkół prywatnych są obawy rodziców o skutki reformy szkolnictwa publicznego. Na zdjęciu: Szkoła Podstawowa nr 37 w Katowicach, 31 maja 2021 r.

Im gorzej w publicznych, tym lepiej u nas – mówi wprost Jarosław Pytlak, dyrektor społecznego Zespołu Szkół STO na warszawskim Bemowie. Popyt na oświatę niepubliczną, dodaje, najdoskonalej napędzają prawicowi ministrowie oświaty.

– Zaczęło się od Romana Giertycha, jego mundurków i innych pomysłów, których wielu rodziców się przestraszyło – mówi Pytlak. – Minister Anna Zalewska tak zmieniła edukację, że rodzice zaczęli zabierać dzieci ze szkół nieradzących sobie z powiększeniem podstawówek. Kolejną falę popytu zapewnia nam Przemysław Czarnek.

Pół miliona uczniów

Nawet jeśli przełożenie polityki na decyzje rodziców nie jest w sensie statystycznym aż tak proste, to najświeższe dane, przekazane „Tygodnikowi" przez Ministerstwo Edukacji i Nauki, powinny być dla tego resortu alarmujące: odsetek uczniów uczęszczających do prywatnych i społecznych placówek (podstawowych, licealnych, techników, szkół branżowych i policealnych) dochodzi właśnie do ważnej psychologicznie bariery – za moment co dziesiąty polski uczeń będzie poza głównym nurtem edukacji. Przy czym wzrost z 8,5 proc. dwa lata temu do 9,7 proc. we wrześniu roku obecnego przekłada się na aż 60 tys. nowych uczniów.

Mniej wrażliwy na ten trend jest pierwszy etap edukacji: do społecznych bądź prywatnych podstawówek chodzi jedno na kilkanaścioro polskich dzieci. Inaczej jest z liceami: tu udział płatnych placówek już dawno przekroczył 10 proc. A w rekordowym pod tym względem Krakowie w 2019 r. niemal co czwarty nowy pierwszoklasista był uczniem prywatnej bądź społecznej szkoły (oba typy niepublicznych placówek są z reguły płatne, jednak drugi z nich działa *non profit*). Tak oto prywatne szkolnictwo przestało być wąskim marginesem, na którym przeprowadza się szlachetne „edukacyjne eksperymenty". Dziś to gigantyczny sektor „obsługujący" niemal pół miliona uczniów i uczennic.

Jak do tego doszło? Przed czym uciekają rodzice, rezygnując z bezpłatnej przecież edukacji?

Bo z nerwów bolał brzuch

– Dramat zaczął się w klasie czwartej – opowiada Katarzyna (imię zmienione), mama ósmoklasisty i szóstoklasistki. – Nauczycielka matematyki przez swoje wymagania i sposób bycia budziła taki postrach, że koledzy mojego syna brali zwolnienia. Bolał ich z nerwów brzuch albo mieli inne dolegliwości. Moje dziecko też miało problemy, dlatego musieliśmy zwrócić się o pomoc do psychoterapeuty. Co więcej, tej pani bali się nawet rodzice... A rozmowy z dyrektorką i kuratorium niczego nie dawały.

Systemowym problemem była jednak według Katarzyny nie nauczycielka, lecz filozofia działania placówki: wszystkich uczniów wrzucamy do jednego worka. – Spędziłam trochę czasu za granicą, w polskiej szkole od początku zastanawiało mnie to, że wszyscy z niemal równym zaangażowaniem muszą się uczyć wszystkiego. Bez względu na to, czy mają uzdolnienia artystyczne, matematyczne czy humanistyczne. W naszej podstawówce istniał obowiązek posiadania matematycznych zdolności – opowiada Katarzyna, która postanowiła przenieść dwójkę swoich dzieci najpierw do innej ↦

↦ publicznej placówki, a później córkę do szkoły społecznej.

Historię z emocjami dziecka w tle opowiada też Anna Kowalska, obecnie mieszkanka Wrocławia, która niedawno wraz z mężem i nastoletnią córką wróciła po długim pobycie z Wielkiej Brytanii. – Na samym wstępie przeżyłam szok – opowiada. – Głównie z powodu natłoku zajęć i związanego z tym stresu. Wróciliśmy jesienią ubiegłego roku, tak że moja córka przed lockdownem zdążyła pójść do szkoły trzy razy. I szybko się zorientowałam, że prace domowe zadaje się tu nawet z plastyki czy muzyki, a moje dziecko siedzi nad książkami do późnego popołudnia.

Teraz, dodaje wrocławianka, jej córka jako ósmoklasistka w międzynarodowej szkole (wykładowy angielski, chodzą do niej także dzieci obcokrajowców) spędza poza domem czas do godz. 15.30. Ale w ramach tego czasu jest półtoragodzinna przerwa, a po powrocie do domu zadania nie wymagają zwykle pracy dłuższej niż półgodzinna.

– Jednak powód naszej ucieczki ze szkoły publicznej był jeszcze inny – opowiada kobieta. – Było nim odrzucenie mojej córki przez inne uczennice i kompletny brak reakcji na to nauczycieli. Dziewczyny łączyły się w projektowe grupy czy w pary, a moja córka, która była przecież nowa, pozostawała sama. Gdy inne uczennice zaczęły nie tylko ją izolować, ale też się z niej naśmiewać, nadal przy biernej postawie pedagogów, to już wiedziałam, że muszę coś zrobić. Zwłaszcza że usłyszałam wreszcie od córki: „Mamo, ja już nie chcę tam iść".

Podobne historie zdarzają się też w placówkach niepublicznych: nękanie, odrzucenie (choćby tylko z powodu posiadania przestarzałego smartfona, jak w jednej z krakowskich podstawówek), a nawet będące ich skutkiem ciężkie depresje nie omijają ani szkół prywatnych, ani społecznych. Co nie zmienia faktu, że rodzice uczniów tych placówek właśnie „bezpieczeństwo emocjonalne dziecka" uważają za jeden z dwóch – obok „bardziej indywidualnego podejście do ucznia" – największych walorów sektora niepublicznego. Tak wynika z badania ankietowego ponad tysiąca rodziców dzieci chodzących do szkół prywatnych i społecznych w ramach opublikowanego w 2019 r. raportu portalu Our Kids, opisującego od lat sektor edukacji niepublicznej.

EWELINA:

Kilku chłopców w klasie syna było agresywnych. Moje dziecko musiało się bronić. Posłaliśmy go do szkoły publicznej, by uniknął życia pod kloszem, a doświadczył prawdziwej rzeczywistości. Ale nie aż tak.

Na nieco dalszym, choć nadal wysokim, bo szóstym miejscu w wynikach ankiet Our Kids jest też „bezpieczeństwo fizyczne". O tym aspekcie szkolnej rzeczywistości opowiada Ewelina (imię zmienione), mieszkanka Warszawy, która przeniosła swoje dziecko do placówki społecznej, bo w publicznej nie dało się w jej opinii niczego załatwić ani zorganizować (od wycieczki po pomoc psychologiczną dla dzieci z problemami), a na dodatek chaos wywoływali mający sprzeczne oczekiwania rodzice.

– Kilku chłopców w klasie syna było agresywnych – opowiada kobieta. – Do tego stopnia, że moje dziecko, obecnie uczące się w siódmej klasie, musiało się fizycznie bronić. Posyłaliśmy go do szkoły publicznej świadomie, chcąc, by uniknął życia pod kloszem, a doświadczył prawdziwej rzeczywistości. Ale nie aż tak.

Bo angliści byli z łapanki

To symptomatyczne: rodzice dzieci z płatnych szkół znacznie częściej odnoszą się do szeroko pojętej szkolnej atmosfery, a rzadziej do – jakkolwiek definiowanej – skuteczności w nauczaniu.

I trudno się temu dziwić – o szkołach prywatnych czy społecznych nie da się po prostu jednoznacznie powiedzieć, że ich poziom nauczania jest wyższy, choćby pod względem najczęściej przyjmowanego kryterium, tzw. zdawalności egzaminów. Owszem, nietrudno znaleźć dane, które by taką tezę pozornie potwierdzały: Our Kids podaje np., że uczniowie szkół niepublicznych zdający egzamin ósmoklasisty (a także dawny gimnazjalny) radzili sobie lepiej niż ich rówieśnicy z placówek samorządowych (np. wyniki z polskiego były średnio o kilka punktów procentowych lepsze, z matematyki czy angielskiego nawet o kilkanaście).

Tyle że są co najmniej dwa powody, by na te dane patrzeć z rezerwą. Po pierwsze, nie bardzo wiadomo, co tu jest skutkiem, a co przyczyną – czy szkoły radzą sobie lepiej, bo istotnie lepiej uczą, czy może już na starcie dostają lepiej przygotowanych uczniów. I po drugie, próżno podobnych danych szukać w odniesieniu do liceów. A popularne rankingi szkół zdają się nawet sugerować coś odwrotnego.

Jak przyznaje Jarosław Pytlak, liceów niepublicznych z reputacją świetnie nauczających jest w Warszawie może dwa, może trzy. Tymczasem takie marki jak Reytan, Hoffmanowa, Batory, Staszic i wiele innych biją placówki prywatne czy społeczne na głowę. – Zresztą nie chodzi tylko o te elitarne. Pamiętam jeden z ostatnich egzaminów szóstoklasisty wedle starego systemu. Moi uczniowie mieli w tym roczniku średni wynik 33 na 40 punktów, a zlokalizowana po sąsiedzku, na Pradze, w ikonicznie trudnym miejscu placówka publiczna osiągnęła prawie 30 punktów. To oni zasługiwali na Nobla, a nie my – mówi Pytlak.

I dodaje, że choćby z tego powodu nie mówi nigdy rodzicom kandydatów na uczniów swojej szkoły, że jest ona najskuteczniejsza w nauczaniu – woli eksponować inne zalety niepublicznego sektora. – Nie znam przesadnie dużo szkół prywatnych czy społecznych, gdzie jest oryginalny program nauczania – mówi dyrektor Zespołu Szkół STO. – Za to znam sporo takich, które są zwyczajnie przyjaźniejsze dzieciom.

Od zasady, że po placówce niepublicznej trudno spodziewać się z definicji lepszej jakości dydaktyki, jest jednak wyjątek – języki. O ile ogólnie „wyższy poziom nauczania" jako powód posłania do placówki niepublicznej znajduje się w wynikach ankiet Our Kids na dziewiątym miejscu, to „możliwość lepszego opanowania języków obcych" jest na pozycji czwartej.

I w tym przypadku nie chodzi zapewne wyłącznie o wyższy „startowy" poziom uczniów, z którego korzysta później w statystykach szkoła.

Ewelina, która sama jest z wykształcenia anglistką, dostrzega przepaść w poziomie nauczania pomiędzy starą a nową szkołą swojego dziecka.

– Angielskiego jest tu naprawdę dużo, co najmniej godzina dziennie – opowiada.

– Trudno się więc dziwić, że poziom mojego dziecka wystrzelił w górę, a ja nie muszę się nawet specjalnie wtrącać w jego językowy rozwój. W szkole publicznej też nie było pod tym względem tak źle, ale nauczyciel zmieniał się co roku. Może dlatego, że za każdym razem był rekrutowany w ostatniej chwili, jak z łapanki.

Bo reforma, bo epidemia...

W opowieściach rodziców dzieci z płatnych szkół słychać też echa reformatorskich szałów kolejnych rządzących ekip: a to źle przygotowanej i przeprowadzonej przez poprzednią ekipę korekty wieku rozpoczęcia edukacji (sześciolatki do szkół), a to niemającej głębszego – poza politycznym – uzasadnienia reformy w wykonaniu ekipy obecnej. W tym drugim przypadku najbardziej dotkliwy jest aspekt logistyczny – pokłosiem powiększenia podstawówek do ośmiu klas są w wielu placówkach problemy z ułożeniem rozsądnego planu lekcji.

Katarzyna zapamiętała moment tuż przed wybuchem epidemii, gdy dwójka jej dzieci – m.in. po kryzysie z matematyczką syna – chodziła do drugiej z kolei podstawówki publicznej. – W tej nowej było lepiej, za to okazało się, że moja idąca do czwartej klasy córka będzie zaczynać zajęcia o 12, a kończyć po 18. Stwierdziłam, że dosyć tego, i zapisałam ją do szkoły społecznej – mówi Katarzyna.

O podobnych rozterkach opowiada Andrzej (imię zmienione) z Krakowa, którego syn poszedł do szkoły podstawowej w 2012 r. W małej, wiejskiej, spokojnej i dobrze rokującej placówce, która zatrudniała dobrych nauczycieli. I która niestety z biegiem lat, wraz z rozbudową przedmieść, a także wdrażaniem kolejnych etapów reformy zwiększającej podstawówki, stała się placówką ciasną. – Było dla nas jasne, że ta niewielka szkoła zwyczajnie zadławi się dwoma dodatkowymi rocznikami – opowiada Andrzej. – Co zresztą okazało się prawdą: obecnie dzieci z klas pierwszych mają lekcje w przedszkolu, do którego są dowożone busikiem...

Choć w ankietach Our Kids autorzy nie umieścili wśród gotowych odpowiedzi „reformatorskiego" bałaganu szkół publicznych jako przyczyny wysyłania dzieci do tych niepublicznych, to zostawili respondentom pole do wypowiedzi własnych. Wśród nich najczęstszą była „reforma szkolnictwa, a w jej efekcie zatłoczenie szkół, nieregularne godziny nauki".

Wagę tego czynnika w decyzjach rodziców potwierdzają też inne dane, przeanalizowane na prośbę „Tygodnika" przez dr. hab. Mikołaja Herbsta, ekonomistę i eksperta edukacyjnego. – Wpływ reformatorskich kryzysów jest jednak tyleż gwałtowny, co krótkotrwały – komentuje Herbst, który przyjrzał się kolejnym rocznikom podstawówkowych i licealnych pierwszoklasistów, by zobaczyć, jak z roku na rok zmieniały się trendy popularności poszczególnych typów szkół.

I tak w 2013 r. pierwszoklasiści z niepublicznych podstawówek stanowili 4,7 proc. wszystkich pierwszoklasistów, a siedem lat później było to już 5,4 proc., co wskazuje na łagodny dość wzrostowy trend. Tyle że w międzyczasie – dokładnie w 2016 r., w którym reforma PiS zaczęła wywracać do góry nogami sześcioklasowe dotąd podstawówki – ten sam wskaźnik osiągnął nagle 6,7 proc. By następnie powrócić do łagodnie wzrostowej tendencji.

– Podobne zjawisko wystąpiło w liceach – dodaje Herbst. – Tyle że rekordowe 11,9 proc. pierwszoklasistów ze szkół prowadzonych przez organizacje i osoby prywatne w ogólnej puli licealnych pierwszoklasistów przyniósł rok 2019. A więc rok tzw. podwójnego rocznika.

Co z wpływem czynnika epidemii i nauczania zdalnego na decyzje rodziców? Małgorzata P. Bonikowska, redaktor naczelna Our Kids Polska, jest przekonana, że ostatnie półtora roku przyniosło kolejne argumenty za posyłaniem dzieci do szkół niepublicznych. – Te placówki po prostu poradziły sobie lepiej – mówi Bonikowska. – Przyczyny sukcesu to m.in. małe klasy, pozwalające na indywidualizację nauczania, bezpośredni kontakt nauczyciela z uczniem, a także zaawansowanie technologiczne. Przestawienie się na naukę zdalną w większości szkół niepublicznych nie było trudne, bo konieczna do tego infrastruktura już w wielu z nich działała. Jedna z dyrektorek powiedziała, że dla niej nauka online to nie była rewolucja, tylko ewolucja.

Na razie jednak nie widać w statystykach gwałtownego „efektu pandemii". – Być może dlatego, że w oczach rodziców nauczanie zdalne mogło niwelować efekt wyższości szkoły niepublicznej – mówi Mikołaj Herbst. – „Płacę, a i tak mam szkołę przez internet", taki mógł być tok myślenia wielu osób.

Ostatni czas przyniósł kolejny potencjalny *game changer*, mogący zwiększyć przepływy z edukacji publicznej do niepublicznej. To próba zamachu ministra Przemysława Czarnka na autonomię szkół, polegająca na zwiększeniu władzy obsadzanych z politycznego klucza kuratoriów nad dyrektorami publicznych szkół. – Edukacja w Polsce, powoli, bo powoli, ale jednak do 2015 r. była pchana w kierunku wolności – uważa Mikołaj Herbst. – Choć akurat autonomia szkół była zawsze budowana na słabych podstawach. Tym łatwiej jest ministrowi Czarnkowi nią zachwiać: niepotrzebna jest do tego nawet zmiana prawa dotyczącego odwoływania dyrektorów, wystarczy tzw. efekt mrożący związany z potencjalnym zagrożeniem utratą pracy. Dlatego można się spodziewać, że i ten czynnik wpłynie w przyszłości na wzrost popularności szkół niepublicznych.

Kolejny element do zestawu nowych atutów placówek płatnych dodaje Jarosław Pytlak: to skutkujący odejściami ze szkół kryzys zawodu nauczyciela. – U nas jest znacznie większe prawdopodobieństwo posiadania kompletu nauczycieli pomimo tego kryzysu – zauważa dyrektor warszawskiego zespołu szkół. – Wszyscy mają kłopot, tylko u nas go łatwiej rozwiązać. Choćby przez „przekupienie" nauczyciela. My w skrajnej sytuacji możemy nawet powiedzieć: „Podniesiemy państwu czesne, żeby miał kto uczyć wasze dzieci matematyki". Szkoła publiczna tak powiedzieć nie może. ↦

POŻEGNANIE

Ewie Nawrockiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

SKŁADAJĄ KOLEDZY Z ZAKŁADU FILOLOGII HISZPAŃSKIEJ UJ

Bo modły o nawrócenie

↦ Andrzej z Krakowa opowiada o kolejnej przyczynie zabrania swojego dziecka z publicznej szkoły: – Kiedy Szymon był w piątej klasie, zaczęła gęstnieć religijna atmosfera. Dyrektorka jest spokrewniona z proboszczem pobliskiej parafii, która zaczęła funkcjonować niemal jako filia szkoły. Np. ksiądz wynajmował jej sale do zajęć. To był sznyt znany z wielu opisów: wszystko, co ważne, zaczynamy mszą; święcimy, co się da. To wszystko nie przekroczyłoby granic naszej tolerancji, gdyby nie zdarzyła się jeszcze inna rzecz. Otóż nowa katechetka, siostra zakonna, zaczęła organizować w szkole... modlitwy o nawrócenie mojego syna, który nie chodził na religię. Moja partnerka jest ateistką, ja też jestem dość daleko od Kościoła instytucjonalnego, ale nie jesteśmy wojującymi antyklerykałami! A jednak trafił nas szlag. Partnerka skontaktowała się z dyrektorką, ta jej wysłuchała. Ale ani tego procederu nie potępiła, ani nie zainterweniowała.

Kazus krakowskiej podstawówki to nie odosobniony przypadek. „Zbyt duży nacisk na poglądy religijne i / lub polityczne w szkołach publicznych" – to kolejny motyw wypowiedzi ankietowanych przez Our Kids.

Czy ma związek z kontekstem politycznym? – To oczywiście tylko przypuszczenia, ale moim zdaniem ma – mówi Andrzej. – Pani dyrektor rozmawiała z nami grzecznie, ale jednak z pozycji kogoś, kto chce powiedzieć: „Moja opcja wygrała". Traktowała nas z pozycji uprzejmego lekceważenia, gdyż wiedziała, że jeśli z tym gdzieś pójdziemy, np. do kuratorium, to niczego nie wskóramy. I miała rację: nie poszliśmy, co teraz wydaje mi się błędem.

Andrzej i jego partnerka nie byli zdeterminowani, by posłać dziecko do szkoły płatnej. Nowa placówka miała spełniać dwa kryteria: odpowiedni poziom nauczania, ale bez przegięć skutkujących nerwicami dzieci, i religijno-ideologiczną neutralność. – Polecono nam krakowską, prywatną szkołę, do której poszedł Szymon, a następnie mój rozpoczynający edukację młodszy syn – dodaje Andrzej. – Szymon w międzyczasie przeszedł do prowadzonego przez ten sam podmiot liceum. Jesteśmy z obu placówek zadowoleni.

Podobnie jak Anna Kowalska, wrocławianka, której córka czuła się odtrącona w publicznej podstawówce, w efekcie czego wylądowała w placówce międzynarodowej. – Jest tu większa wolność, więcej wyjazdów, wycieczek, nawet przestrzeń jest inna, bo nauczyciele nie siedzą w ustawionych rzędami ławkach – wylicza kobieta. – No i zajęcia dodatkowe, a wśród nich takie, które są dziś nie do pomyślenia w szkole publicznej. Np. warsztaty na temat tego, co robić, gdy dziecko czuje się odrzucone. Albo edukacja seksualna, gdzie poruszane są tematy stanowiące w placówkach publicznych tabu, np. jak zakładać prezerwatywę.

ANDRZEJ:

Kiedy Szymon był w piątej klasie, zaczęła gęstnieć religijna atmosfera. Katechetka, siostra zakonna, zaczęła organizować modlitwy o nawrócenie mojego syna, który nie chodził na religię.

Koszt dodatkowy

Raport Our Kids podaje, że rodzice dzieci uczęszczających do prywatnych i społecznych szkół płacą miesięcznie od 200 zł do 10 tys. zł czesnego. Te kwoty (druga dotyczy placówki międzynarodowej) to jednak, rzecz jasna, rzadko występujące w przyrodzie ekstrema. W rzeczywistości za miesiąc nauki w szkole niepublicznej w dużym mieście zapłacimy zwykle albo niewiele poniżej tysiąca, albo tysiąc kilkaset złotych, co oznacza, że dzieci z biednych rodzin raczej nie mają szans na naukę poza szkolnictwem publicznym. Przy czym droższe są licea od podstawówek, szkoły prywatne od społecznych, placówki warszawskie od tych działających w innych miastach.

Andrzej krakowskiej szkole prywatnej płaci 930 zł za pierwszego syna, a 650 za drugiego (zniżki na kolejne dzieci to dość powszechna praktyka). Ale już Ewelina i Katarzyna przelewają na konta warszawskich placówek swoich dzieci kwoty około dwukrotnie wyższe (1600-1700 zł).

Co te finansowe progi oznaczają dla społecznej struktury niepublicznych placówek, nietrudno zgadnąć. – Ta ciemna strona szkolnictwa niepublicznego jest dla mnie oczywista i bolesna – przyznaje Andrzej. – Chodzi mi nie tylko o to, że dziecko chodzące do prywatnej czy społecznej szkoły może być oderwane od rzeczywistości, ale też o rodzaj elitarnego „rasizmu", jaki grozi uczniom i ich rodzicom. Niby dzieciaki nie czują się lepsze, niby w ogóle mają szkołę gdzieś, a jednak od czasu do czasu wyrywa im się coś, co powinno nam dawać do myślenia. Szymon opowiedział mi kiedyś taką historię. Grupa nastolatków, kłótnia dwóch chłopaków – kolega Szymona mówi do tego obcego, że „nie ma ochoty dyskutować z kimś, kto chodzi do szkoły o trzycyfrowym numerze". „Ale go dojechał" – uznali generalnie chłopcy, a mój syn opowiadał mi tę historię w konwencji dowcipu. Dopiero gdy spytałem go, jak to się ma do jego lewicowych poglądów, spojrzał na tę historię zupełnie inaczej.

Choć szkoły niepubliczne miewają swoje bufory przed źle pojmowaną elitarnością – np. niektóre placówki społeczne fundują czesne dzieciom z gorzej sytuowanych domów – to według Mikołaja Herbsta tego rodzaju gesty mają głównie symboliczną wartość: – W skali ogólnospołecznej to margines. Generalna zasada jest prosta: im większy w Polsce udział edukacji niepublicznej, tym większe rozwarstwienie. Szkoła prywatna czy społeczna to może i większa wolność, ale tylko dla wybranych.

A i w tę wolność zaczyna wątpić coraz więcej osób: placówki niepubliczne działają przecież na bazie tych samych, przeoranych przez nową władzę podstaw programowych, ich dyrektorzy zaś – których nie będzie co prawda tak łatwo odwołać jak kierujących szkołami publicznymi – nie mogą spać spokojnie.

– Wystarczy, że ministerstwo wpadnie na pomysł zrewidowania sposobu finansowania tego sektora, który dostaje przecież obecnie takie same subwencje na ucznia jak oświata publiczna – zauważa Mikołaj Herbst. – To nie tylko utrudni życie kierującym prywatnymi i społecznymi placówkami, ale też zwiększy segregacyjny charakter tych szkół.

Jarosław Pytlak: – Są tacy, którzy twierdzą, że władza nie ruszy szkolnictwa niepublicznego, bo należy doń zbyt duża liczba placówek kościelnych, do których uczęszczają zresztą dzieci przedstawicieli władzy. Ale ja uważam, że nie po to minister Czarnek bierze pod but oświatę, by zostawiać jakieś enklawy wolności. Ja w każdym razie nie czuję się bezpieczny.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Szeryf pośród ubogich

MAREK RABIJ

Program 500 plus traci gwałtownie wartość na skutek inflacji. Rząd jeszcze udaje, że może łagodzić jej skutki, ale dla partii, która gra rolę pogromczyni ubóstwa, idą ciężkie czasy.

Już niedługo ekonomia stanie się – obok piłki nożnej i medycyny – przedmiotem ogólnonarodowej refleksji oraz źródłem lęku dla milionów Polaków. Październikowa inflacja mogła zaskoczyć nawet pesymistów: 6,8 proc. rok do roku i – co niepokoi jeszcze bardziej – aż 0,9 punktu procentowego w porównaniu z wrześniem. Kto jeszcze miał złudzenia, że NBP wiedział, co mówi, gdy przed wakacjami zapowiadał koniec wzrostu cen pod koniec roku, ten szybko rewiduje dziś poglądy. Tak dużej dynamiki nie zanotowano od kwietnia, kiedy inflacja urosła z 3,2 do 4,3 proc. A niewykluczone, że nowy rok witać będziemy dwucyfrowym wynikiem.

Dajemy podwyżki, dbamy o najsłabszych

Tymczasem na cenowe koszmary, które zaczynają prześladować nas przy każdych zakupach, politycy obozu władzy mają jeden przekaz dnia: we wrześniu przeciętne wynagrodzenie wzrosło o 8,7 proc. rok do roku, podwyżki nadal wyprzedzają więc inflację, a gospodarka pędzi, co daje nadzieje na dalsze podwyżki. To samo powtarzają w ślad za nimi prorządowe media.

Kłopot w tym, że wspomnianą dynamikę płac GUS bada jedynie w firmach zatrudniających co najmniej 9 osób i tylko u osób zatrudnionych na umowie o pracę. Poza radarem pozostaje ponad 4 mln pracowników mikroprzedsiębiorstw, a przecież to właśnie tu – w małym handlu, drobnym przetwórstwie czy usługach – znajduje zatrudnienie olbrzymia większość osób o najniższych kwalifikacjach, niemających mocnej karty przetargowej w rozmowach o podwyżkę. I to właśnie tutaj, na dole biznesowego łańcucha pokarmowego, kryzys pojawi się najszybciej. Właściciele sklepów, warsztatów lub małej gastronomii jako pierwsi nie będą w stanie spełnić oczekiwań płacowych, bo kończą im się możliwości dalszego przerzucania kosztów na konsumentów. *Leitmotiv* propagandy obozu władzy, jakim od sześciu lat jest opowieść o przywracaniu godności ofiarom transformacji ustrojowej, z każdym miesiącem będzie trudniejszy do pogodzenia z rzeczywistością.

Na efektywność dotychczasowej polityki społecznej rządu, którą tak chwali się PiS, ciekawe światło rzuca najnowszy raport „Poverty watch 2021" pod redakcją dr. hab. Ryszarda Szarfenberga z Uniwersytetu Warszawskiego. Opracowanie koncentruje się wprawdzie na skuteczności zapobiegania ubóstwu w Polsce w roku 2020, który z uwagi na pandemię był pod tym względem wyjątkowy, ale przynosi też pouczające dane z wcześniejszych lat. Wynika z nich niezbicie, że za rządów PiS o znaczącej poprawie warunków bytowych najbiedniejszych można mówić jedynie do 2017 r., kiedy dynamika ich realnych dochodów wyraźnie przekraczała tempo wzrostu wydatków.

Ubodzy biednieją najbardziej

W 2016 r., w grupie 20 proc. najuboższych rodzin dysponowano w przeliczeniu na osobę aż o 22 proc. większymi dochodami niż rok wcześniej. Jednocześnie o 12,9 proc. wzrosły wydatki – to naturalnie efekt uruchomionego wówczas programu Rodzina 500 plus. Rok później dynamika ta była odrobinę niższa, bo dochody najbiedniejszych rodzin wzrosły o 15,7 proc., a wydatki o 6,7 proc. W kolejnych latach mamy już jednak do czynienia z wyraźną przewagą wzrostu wydatków nad tempem, z jakim najgorzej sytuowanym Polakom rosły realne dochody. W 2018 r. różnica ta wyniosła 1,8 punktu procentowego. Rok później – już 4,8 unktu, a w kolejnym doszło wręcz do załamania.

W 2020 r. realne dochody 20 proc. najbiedniejszych gospodarstw spadły z powodu lockdownu aż o 9,3 proc., przy jednoczesnym wzroście wydatków o 2 proc. Co ciekawe, odwrotny trend widać w danych dla całego społeczeństwa: tu tempo wzrostu dochodów zwolniło wprawdzie o 3,4 punktu procentowego, ale lockdown w połączeniu z obawami o przyszłość poskutkował także wyraźnym zmniejszeniem konsumpcji. W efekcie przewaga tempa wzrostu dochodów nad wydatkami wyniosła aż 8,5 punktu procentowego. W dużym uproszczeniu można więc przyjąć, że lepiej sytuowani Polacy dzięki tarczom kryzysowym wyszli z 2020 r. z oszczędnościami. Dla najbiedniejszych sukcesem było utrzymanie stopy życiowej na dotychczasowym poziomie, bo życie stało się dla nich zauważalnie droższe. ↦

Dynamika realnych dochodów i wydatków na osobę w najbiedniejszych gospodarstwach domowych w latach 2015-20 (w procentach)

ŹRÓDŁO: RAPORT EAPN POVERTY WATCH 2021

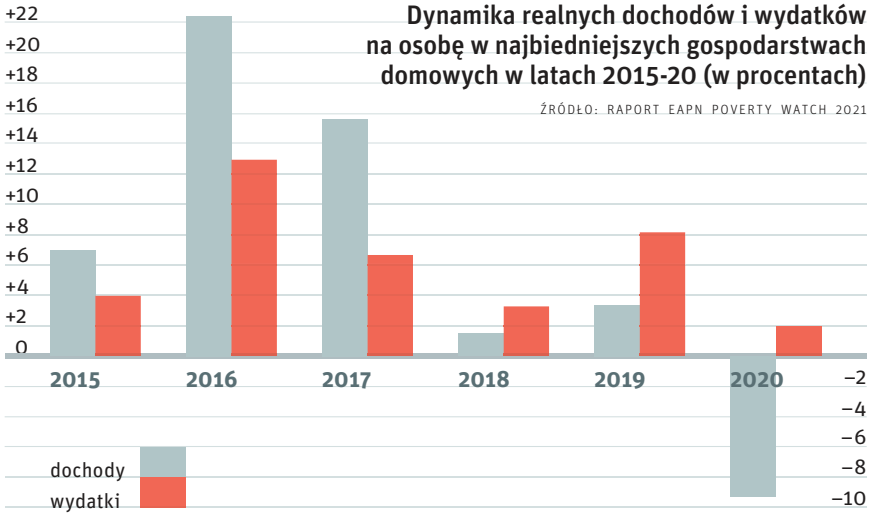

TP-ONLINE

Znikające pieniądze z programu 500 plus

Tymczasem poza waloryzacją emerytur o 4,89 proc., w projekcie budżetu na rok 2022 nie ma słowa o zmianie wysokości wypłat z kluczowych programów społecznych. Po części wynika to z praktyki samego systemu polskiej polityki socjalnej, który wysokość niektórych świadczeń waloryzuje raz na kilka lat – choćby stały zasiłek z pomocy społecznej. Jego ostatnia podwyżka ze stycznia 2018 r. (do 645 zł) została „zjedzona" przez inflację już jesienią 2019 r., a po uwzględnieniu aktualnej dynamiki cen świadczenie powinno być wypłacane w wysokości ok. 705 zł. Na początku przyszłego roku zasiłek stały wzrośnie wprawdzie do 719 zł, ale de facto znów będziemy mieć do czynienia z najwyżej chwilowym wyrównaniem do inflacji...

W przypadku części świadczeń o waloryzacji nie ma mowy w ogóle. Jedna wypłata z najważniejszego elementu socjalnej ofensywy PiS, jakim jest od 2016 r. program 500 plus, wystarcza dziś na zakupy za równowartość ok. 430 zł sprzed 5 lat. Gdyby tempo spadku wartości świadczenia mierzyć wyłącznie wskaźnikami dynamiki cen produktów spożywczych, które przeważają w koszyku zakupowym gorzej sytuowanych rodzin, z 500 zł zjedziemy już poniżej 410 zł.

W sierpniu – jak podaje sam resort rodziny i polityki społecznej – program 500 plus obejmował 6,6 mln dzieci, ale waloryzacja świadczenia przynajmniej do realnej wartości z chwili startu programu kosztowałaby obecnie dodatkowe pół miliarda złotych rocznie. W przyszłym roku – przy pesymistycznym założeniu, że średnioroczna inflacja utrzyma się na odnotowanym w październiku poziomie 6,8 proc. – byłoby to już o 811 mln zł więcej. Są to oczywiście kwoty na miarę możliwości państwa polskiego, zwłaszcza w sytuacji, gdy premier Mateusz Morawiecki chwali się, że na koniec 2021 r. deficyt budżetowy będzie aż o 42 mld zł niższy od zakładanego. Problem w tym, że rządowe statystyki są kolejną sztuczką księgową na potrzeby propagandowe, bo nie uwzględniają setek miliardów złotych, jakie rząd polski wydaje za pośrednictwem Banku Gospodarstwa Krajowego, państwowych funduszy celowych, centralnych agencji, fundacji czy instytutów. Gdyby zliczyć polskie zadłużenie z uwzględnieniem tych wydatków i wraz z długami samorządów – czyli metodą, którą posługuje się Unia Europejska – okaże się, że po drugim kwartale br. polski dług publiczny wzrósł do 1,4 bln zł. A to już 57,4 proc. polskiego PKB, czyli blisko konstytucyjnego progu 60 proc. PKB, którego przekroczenie obliguje władze publiczne do mocnego zaciśnięcia pasa.

W trosce o obywateli parlament czeski zlikwidował czasowo VAT na gaz i prąd. **Politycy PiS uważają, że byłoby to niezgodne z prawem UE.**

Ubiegłoroczne wydatki na tarcze antykryzysowe na ponad 150 mld zł były oczywiście nie do uniknięcia, a dzięki nim uciekliśmy prawdopodobnie wieloletniej i głębokiej recesji ze wszystkimi negatywnymi konsekwencjami społecznymi. Problem w tym, że nawet po wygaśnięciu lockdownu i w obliczu ewidentnej hossy (w drugim kwartale br. PKB rok do roku urósł o 10,9 proc.) rząd nadal ochoczo pompuje dług publiczny przy aktywnym wsparciu NBP, który wciąż skupuje rządowe obligacje. Tylko w pierwszym półroczu 2021 r. zadłużyliśmy się na dodatkowe ponad 65 mld zł (od początku ub. roku zadłużenie liczone metodą unijną urosło o ponad 350 mld zł), a podaż pompowanego do gospodarki pieniądza jest właśnie jednym z silniejszych czynników proinflacyjnych.

W ten sposób dochodzimy do sedna problemu, z jakim będzie musiała się zmierzyć polska polityka społeczna. Aby zrewaloryzować 500 plus i pozostałe świadczenia tego typu, rząd będzie musiał albo poszukać nowych dochodów, albo oszczędności (i tym samym podpaść elektoratowi), ewentualnie zadłużyć się jeszcze bardziej i przez to wzmocnić inflację, co z kolei nadgryzać będzie siłę nabywczą świadczeń socjalnych.

Zła Bruksela nam nie pozwala obniżyć VAT-u

Plan w postaci tymczasowego obniżenia akcyzy i podatku VAT w tej chwili wydaje się scenariuszem najmniej prawdopodobnym. Przyniosłoby to wprawdzie błyskawiczną i odczuwalną ulgę w portfelach obywateli (choć część sprzedawców zapewne nie obciążyłaby cen dokładnie o wysokość zdjętego chwilowo podatku), ale zarazem fatalnie wpłynęłoby na kondycję finansów publicznych. Obniżenie podatku VAT tylko o jeden punkt procentowy oznaczałoby w skali roku spadek dochodów budżetowych o jakieś 9 mld zł. Nie do ruszenia są także wpływy akcyzowe, które dają państwowej kasie ok. 70 mld zł rocznie. Jak szacują eksperci Szkoły Głównej Handlowej, sama akcyza na paliwa silnikowe w poprzednim roku przyniosła 33,5 mld zł.

W obecnej sytuacji budżetowej trudno zatem spodziewać się w Polsce ruchów podobnych do tego, na który właśnie zdecydował się czeski parlament, przegłosowując ustawę o zwolnieniu gazu i elektryczności z podatku VAT do końca tego roku, ale z możliwością automatycznej prolongaty ulgi na cały przyszły rok. W tej sprawie politycy PiS nieoczekiwanie wchodzą w rolę gorliwych stróżów unijnego porządku prawnego, który rzekomo zabrania takich kroków państwom członkowskim, choć w rzeczywistości potrzebna jest po prostu zgoda Brukseli. Jej zdobycie w naszej trudnej sytuacji byłoby zapewne zwykłą formalnością. Jednak logika wyborcza podpowiada politykom PiS, by z tego typu ruchami poczekać raczej do roku 2023, kiedy Zjednoczona Prawica będzie się ubiegać o reelekcję, a pierwsze skutki tych decyzji dadzą o sobie znać dopiero w powyborczym budżecie. A wtedy, jak zakłada otoczenie Jarosława Kaczyńskiego, nie będą już przeszkodą w utrzymaniu władzy.

Jeśli jednak spełnią się czarne prognozy części ekonomistów, którzy uważają, że spuszczona ze smyczy inflacja zacznie nam odpuszczać najwcześniej pod koniec przyszłego roku – po drodze dobiwszy być może nawet do wartości dwucyfrowych – na reakcję może być po prostu za późno. Badania ekonomistów i socjologów potwierdzają zresztą, że o ile podwyżki pensji wyborcy skłonni są przypisywać głównie własnej pracowitości i zaradności, o tyle winą za inflację obarczają zwykle władze państwowe – bez względu na jej faktyczne podłoże.

Dla politycznego wizerunku PiS, który w minionych latach chętnie pozował na szeryfa wyganiającego z miasta niesprawiedliwość, nagła bezradność wobec kryzysu może mieć druzgocące konsekwencje.

©℗ MAREK RABIJ

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / PRESSFOCUS

NINA PATALON (ur. 1986 r. w Działdowie) jest od marca 2021 r. selekcjonerką reprezentacji Polski kobiet w piłce nożnej.

W chórze z Del Piero

NINA PATALON, SELEKCJONERKA REPREZENTACJI POLSKI:

Nie pisano o nas w prasie. Pewnego dnia trafiłam na stronę 244 telegazety, na której podawano wyniki kobiecych rozgrywek. Ależ byłam szczęśliwa! Mogłam pokazać rodzicom, że to, co robię, ma sens.

JOANNA WIŚNIOWSKA: Jak to było z tym słoniem?

NINA PATALON: Gdy byłyśmy z siostrą małe, mama powtarzała nam, że możemy nawet jeździć na słoniu, jeśli tego chcemy. To był przekaz, że możemy robić w życiu wszystko, co jest naszą pasją, i wcale nie musi być to coś popularnego, ale coś, co daje nam radość.

Dla osoby z małej miejscowości na Mazurach to jeżdżenie na słoniu było równie egzotyczne, co gra w piłkę przez dziewczynkę?

A widzisz, bardzo inteligentna jest ta moja mama, bo rzeczywiście w latach 90. ubiegłego wieku dziewczynka grająca w piłkę była równie nie do pomyślenia, jak ta jeżdżąca na słoniu.

Skąd więc miłość do piłki?

Mama pracowała od poniedziałku do niedzieli, więc w weekendy zajmował się nami tata, który w soboty i niedziele grał mecze. Tam miałam możliwość oglądania panów biegających za piłką, podpatrywania emocji, radości czy smutku. Stałam sobie z boku i obserwowałam, brałam piłkę i próbowałam coś z nią zrobić. W końcu stwierdziłam, że chcę robić to samo. Miałam wtedy z pięć-sześć lat.

Nie czułaś się dziwnie? Pasjonował Cię typowo męski sport.

Dorastałam wśród kuzynów, na podwórku miałam tylko jedną koleżankę. Biegałam więc z kolegami, a już na poziomie gimnazjum nimi zarządzałam. Łatwo nawiązywałam relacje z chłopakami.

Kopałaś wszędzie i gdy tylko się dało?

Tak, na przerwie, w szkole, przed szkołą. Miałam nawet plecak, w którym wszędzie ze sobą nosiłam piłkę. Bywało, że miałam ich ze sobą trzy, wszystkie dobrej jakości. Ale to nie był mój jedyny sport, obstawiałam wszystkie zawody, także te lekkoatletyczne. Bieganie nie sprawiało mi jednak przyjemności, stresowało mnie, zwłaszcza na starcie. Za to wychodząc z piłką na boisko czułam się swobodnie. Do tego miałam poczucie wyjątkowości, byłam tą jedyną dziewczynką wśród chłopaków. Dodawało mi to skrzydeł.

Gry w piłkę podobno uczyłaś się z książki.

Nie miałam trenera, a trudno było nauczyć się wszystkiego, oglądając piłkę w telewizji. Z pomocą przyszli przyjaciele moich rodziców. Gdy miałam 12 lat, przywieźli mi książkę „Praktyczna szkoła piłki nożnej". Sama przygotowywałam sobie treningi, spisywałam ćwiczenia na kartkę i ćwiczyłam codziennie. Obiecałam sobie, że najpóźniej po gimnazjum wyjadę do jakiegoś klubu, a potem będę grała w reprezentacji. Dookoła nie było jednak kobiecych drużyn, musiałam więc mieć duże umiejętności, żeby jakiś klub mnie zechciał.

Skąd takie samozaparcie?

Jak coś robię, lubię robić to dobrze. Nie ma rzeczy niemożliwych, tylko trzeba pewne sprawy zaplanować i ciężko pracować, zawsze miałam takie podejście. Mam w sobie wiarę, że dobre rzeczy dzieją się w odpowiednim momencie. Staram się zresztą nie zamartwiać tym, co będzie, ale myśleć o tym, co ja bym chciała, żeby się stało.

I nie interesowało Cię nigdy, co wypada dziewczynce, a co nie?

Nie, i to jest moją siłą. Nigdy nie obchodziło mnie, co mówią inni. Napotykałam na bariery, musiałam walczyć, ale nie miałam problemu, żeby być sobą. Nawet jeśli ktoś się ze mnie śmiał, to od rodziców słyszałam: „Przestań, jesteś za dobra, dlatego tak mówi".

Ale raz mama się na Ciebie śmiertelnie obraziła, właśnie przez piłkę.

Byłam w chórze kościelnym, a zaraz po koncercie miał odbyć się mecz. Najważniejsze było dla mnie, żeby ten koncert się jak najszybciej skończył. Wiedziałam, że jeśli występ potrwa półtorej godziny, to nie zdążę się przebrać, a koledzy już będą grali. Poszłam więc na koncert ubrana w niebieską koszulkę z nazwiskiem Del Piero na plecach. Mama nie była zadowolona. ↦

↦ **Słyszałaś docinki ze strony chłopaków, przeciwko którym grałaś?**

Ci, z którymi kopałam od dziecka, traktowali mnie jak dobrego kumpla, zresztą byłam jednym z lepszych zawodników. Ale każdy nowy przeciwnik silił się na jakieś docinki w stylu: „Macie babę w drużynie, jesteście słabi".

I jak na to reagowałaś?

Kiedy coś mi się nie podobało, to zachowywałam się jak chłopak. Tata nauczył mnie, jak się bronić, nie miałam więc problemu, żeby wymierzyć na boisku sprawiedliwość. Jeśli kto zaszedł mi za skórę, to mógł liczyć, że dostanie między oczy. Byłam agresywna. To pewnie wynika z mojej natury, bo jestem typem walczaka i nie raz się biłam. Ale gdy już zyskałam świadomość swojej wartości, doszłam do momentu, że wolałam takiemu chłopakowi założyć siatkę albo strzelić dwie bramki więcej niż on. I wtedy zadawałam pytanie: „To kto jest większą babą?".

Jak przekonałaś rodziców, że to jest Twoja prawdziwa droga życia?

To były czasu bez internetu, gazety nie pisały o kobiecym futbolu. W końcu pewnego dnia trafiłam na stronę 244 telegazety, na której podawano wyniki kobiecych rozgrywek. Ależ byłam szczęśliwa! Mogłam pokazać rodzicom, że dziewczyny też grają. To był dowód, że to, co robię, ma sens.

Miałaś dowody, ale co dalej?

Jakimś cudem dowiedział się o mnie trener reprezentacji województwa warmińsko-mazurskiego. Pojechałam na turniej i tak się zaczęło. Później trafiłam do Medyka Konin, też dzięki temu trenerowi.

Jaką byłaś zawodniczką?

Sprytną, miałam też dużo odwagi, żeby wyjść i powiedzieć, że drużynie coś się nie podoba. Na boisku nie musiałam rozgrywać najlepszego meczu, ale potrafiłam dobrze ustawić zespół, każdy wiedział, co ma robić. Mówiono o mnie „pani trener".

Twoją karierę przerwały kontuzje i operacje. Zahartowały Cię?

Tak, choć na początku były bolesne. Byłam zła, że nie osiągnę nic na miarę talentu. Ale w życiu trzeba godzić się z tym, na co nie ma się wpływu, i zmieniać to, na co się ma wpływ. Ostatnio mój asystent wspomniał o książce „Football i statystyki", gdzie jest mowa, że trener ma tylko 7 proc. wpływu na to, co dzieje się na boisku. Trzeba więc umiejętnie zarządzać małymi obszarami, żeby to, co można, zrobić jak najlepiej.

Kiedy zdecydowałaś, że będziesz trenerką?

Po meczu z reprezentacją Niemiec U-19. Przegrałyśmy 0:9... Miałam wtedy chwilę, żeby przyjrzeć się organizacji ich gry, podpatrzeć umiejętności. Wiedziałam, że mogę być lepszą piłkarką, ale na poziomie międzynarodowym i tak będziemy przegrywać z takimi zespołami. Wtedy postanowiłam, że będę rozwijać się jako trenerka. Choć jeszcze grałam w piłkę, myślami byłam już po drugiej stronie.

„Nie dostał się mój kolega, a jakąś kobietę przyjęli" – powiedział jeden z trenerów na kursie UEFA Pro. To o Tobie mówił.

To nie było złośliwe, myślał, że przyjęto mnie ze względu na płeć, że kobiety miały zapewnioną pulę miejsc bez względu na potencjał. Sama nigdy nie obawiałam się, że brakuje mi wiedzy i umiejętności. Ale kobieta w sporcie musi się wykazać dodatkowo, musi być silniejsza. W naszym kraju patrzy się nie na to, co potrafisz, tylko jak wyglądasz. Nie na to, co robisz, ale jaką masz płeć.

Lubisz porównywanie piłki żeńskiej z męską?

Nie! Wychodzę z założenia, że tworzymy swój sport, który nigdy nie będzie taki, jak męski. Mężczyźni są silniejsi, szybsi, inaczej zbudowani. Ale nasza gra jest wyjątkowa, np. dzięki kreowaniu pięknych sytuacji, technice czy nieprzewidywalności. Wolę po prostu, żeby nas nie porównywać. Siatkarek nie porównuje się z siatkarzami. Lepiej dyskutujmy merytorycznie, o progresie, strukturach, organizacji. Rozmawiajmy o tym, że Ewa Pajor jest lepszą piłkarką od Ady Hegerberg, a nie że Pajor to drugi Lewandowski.

A co z zarobkami?

Po mistrzostwach świata we Francji piłka kobieca zyskała biznesowo i tego procesu już nic nie zatrzyma. Gorzej jest z warunkami pracy. Skoro klub ma sekcję kobiecą, to ważne jest pytanie, czy zawodniczki mają żeńskie stroje, oddzielną szatnię, opłacone przejazdy na mecze, ubezpieczenie. Wszyscy muszą mieć taki sam standard pracy. Ważny jest też dostęp do boisk, bo często piłkarki wchodzą na nie dopiero po godzinie 21, a one przecież pracują, mają dzieci, chodzą do szkoły. Mężczyźni zazwyczaj zajmują się tylko piłką.

Czy w PZPN-ie dostrzegłaś chęć zmiany warunków dla kobiet?

Warunki i standardy pracy mamy zapewnione na najwyższym poziomie, a ja sama jestem przykładem osoby, która zyskała na współpracy z PZPN-em. Zbigniew Boniek, poprzedni prezes, bardzo angażował się w kobiecą piłkę. Oglądał mecze Ekstraligi, jeździł na spotkania reprezentacji, pytał o drużyny młodzieżowe. To dało sygnał pozostałym działaczom w naszym kraju, że piłka kobieca jest ważna.

Jesteś pierwszą selekcjonerką w historii polskiej reprezentacji, ale podobno negocjacje z Tobą nie były łatwe. Większość na Twoim miejscu brałaby robotę w ciemno, a Ty nie zgodziłaś się na proponowane warunki.

Bycie selekcjonerką to spełnienie moich marzeń. Jeśli więc biorę na siebie tę ogromną odpowiedzialność, to potrzebuję także ogromnego wsparcia i zaplecza – i wszystko to dostałam.

Co będzie dla Ciebie sukcesem?

Trwają eliminacje do mistrzostw świata i robimy wszystko, żeby jak najlepiej wypaść, zajmujemy drugie miejsce w grupie. W kwestii pozasportowej chcemy zmienić mentalność, przestać uprawiać narodowe narzekanie, skupić się na działaniu, na tym, co może nam się udać. No i jest jeszcze jedna rzecz, która będzie sukcesem: pozostawienie generacji piłkarek, które będą pełniły funkcję ambasadorek i staną się inspiracją dla przyszłych zawodniczek.

Czyli wyspecjalizowałaś się w przecieraniu szlaków?

Nie da się w tym wyspecjalizować. Robisz coś jako pierwsza, bo masz poczucie misji, więc jeśli w czymś się wyspecjalizowałam, to pewnie w konsekwentnym podążaniu za swoim powołaniem.

© Rozmawiała JOANNA WIŚNIOWSKA

JACEK

Podsiadło: *Kiedy cytat jest parafrazą*

Wyszły w Polsce dwie książki Hansa „Seppa" Ulricha Gumbrechta: w 2015 r. „Po roku 1945. Latencja jako źródło współczesności" w Krytyce Politycznej oraz rok później „Produkcja obecności. Czego znaczenie nie może przekazać" w Wydawnictwie Naukowym UAM. To o tyle szczęśliwe, że późniejsza i znacznie bardziej wartościowa pozycja ukazała się w Polsce jako pierwsza. Pochodzący z Niemiec literaturoznawca wykłada na Uniwersytecie Stanforda, od 2018 r. jako *professor emeritus*. Zamerykanizował się, pisze książki, nadaje im mądre tytuły i jest zadowolony. Adam Krzemiński we wstępie do „Po roku 1945" wyjaśnia: „jest zadowolony, że podczas gdy inni filolodzy ślęczą nad »nazwami jabłek w dialekcie sardyńskim«, to on dociera do setek tysięcy czytelników". Ponadto podaje, że Sepp „w Brazylii występuje w sportowej telewizji. W Kalifornii ma stały karnet na mecze hokeja, koszykówki i amerykańskiego futbolu". Wśród sukcesów Seppa wymienia i ten, że „na studiach ożenił się z dziewczyną, która wydawała mu się ucieleśnieniem Hiszpanii, ale szybko rozwiódł się dla studentki, z którą jest do dzisiaj".

Z kolei Tomasz Mizerkiewicz we wstępie do „Produkcji obecności" podkreśla, że jej napisanie miało w sobie „coś ze sporej prowokacji intelektualnej. Nie brak było zresztą tej prowokacji i w pierwszej edycji książki, gdzie na okładce pojawiło się wyraźnie wyeksponowane zdjęcie autora".

Kiedy już czytelnik dojdzie do siebie po tych szokujących prowokacjach, może zadać pytanie, skąd Sepp bierze takie mądre tytuły dla swoich książek. Krzemiński nie ukrywa, że pojęcie latencji jest „chyba nieco mało poręczne". Sam Sepp obszernie niewyjaśnia, dlaczego, mając na myśli coś innego niż latencja, nazywa to latencją. Analogicznie na pierwszej stronie „Produkcji obecności" uprzedza, iż pisząc o produkcji, nie ją będzie miał na myśli: „Słowo »produkcja« nie jest powiązane tutaj z wytwarzaniem artefaktów ani towarów przemysłowych". Zamiast tego zapowiada, że produkcja będzie przezeń używana „zgodnie ze swym etymologicznym znaczeniem (tj. łacińskim producere), które odnosi się do czynności »wydawania« przedmiotu w przestrzeń". Czytelnik w dalszym ciągu nie wie, co ma na myśli autor (macie jakąś wizję wydawania przedmiotu w przestrzeń?), ale wie już, że nie wie dlatego, iż nie zna łaciny. W „Produkcji obecności" Sepp powtarza za Eelco Runią postulat dowartościowania obecności, której kosztem kulturę nowożytną zdominowało znaczenie. Teoria taka ładnie się sprawdza, gdy przywołuje commedię dell'arte, argentyńskie tango albo przełom w postrzeganiu sakramentu eucharystii u schyłku średniowiecza. Gorzej, kiedy trzyma się literatury, a to ma miejsce w przeważającej części książki. Mizerkiewicz ostrzega we wstępie, że narusza ona „najsilniej zakorzenione nawyki poznawcze badaczek i badaczy literatury" i że „napotykamy niekiedy na zagadnienia trochę konsternujące, obserwacje w pierwszym odczuciu nieco osobliwe" (nader konsternująca jest tu dla mnie konstrukcja „napotykać na"). Zdaniem Seppa, który z regularnością markowego metronomu zaznacza, że nie występuje przeciw hermeneutyce, naszemu obcowaniu z literaturą brakuje kontaktu z tym, co nie podlega interpretacji, co nie jest tekstem, a więc nie niesie za sobą znaczeń. Czyli z czym? Z „czymś". Autor proponuje przełom w nauczaniu literatury, ale nie potrafi nazwać jego istoty. Krąży wokół stworzonych przez siebie pojęć jak Sepp wokół padliny. Po 112 stronach decyduje się wziąć jeża za nogi i wreszcie próbuje wyjaśnić, o co mu w ogóle chodzi. I tu czeka nas siurpryza: hymn zboczeńca i narcyza. Sepp chciałby, aby jego studenci poznali „głęboką słodycz" Mozarta, „gdy naprawdę wydaje mi się, że słyszę dźwięki oboju na skórze". Żeby przeżyli „moment zachwytu, który opanowuje mnie, gdy patrzę na piękne ciało młodej kobiety stojącej obok mnie przed komputerem z katalogiem naszej biblioteki". Żeby poczuli przypływ „śmiercionośnej władzy i przemocy przenikającej moje ciało (...) podczas hiszpańskiej corridy, gdy szabla matadora cicho przebija ciało byka". No. Takich to rzeczy uczy się na amerykańskich uniwersytetach, na szczęście nieudolnie.

Czasem Sepp do tego stopnia naciąga swoje tezy, że pęka mu gumka. Nawet polski tłumacz nie mógł nie zauważyć, że cytując Lorcę, Sepp napisał jego wiersz od nowa. Moje nawyki najmocniej zostały naruszone właśnie przypisem tłumacza na stronie 148, w którym, próbując jakoś usprawiedliwić fałszerstwo Seppa, wyjaśnia, że „cytat jest parafrazą". To jeden z bardziej sympatycznych momentów tego nudnego dzieła.

Kolejną po „Produkcji obecności" książką Seppa jest jego największy bezceler „Pochwała piękna sportu". Podzielam zdziwienie Mizerkiewicza, że „nikt nie pokusił się o jej polski przekład, zwłaszcza teraz, kiedy sport jako zjawisko społeczne, a nawet polityczne, nabrał tak dużej doniosłości i ostrości w naszym życiu zbiorowym". Gdzie jak gdzie, ale w kraju, w którym minister kultury fatalnym zbiegiem okoliczności właśnie przestał być ministrem sportu, wydanie takiej książki naukowcowi, który po dziś dzień żyje ze studentką, dla której porzucił ucieleśnienie Hiszpanii, należy się jak mało komu. Mnie zaś coraz bardziej doskwiera brak na naszym rynku książkowym pozycji choćby pobieżnie omawiającej nazwy jabłek w dialekcie sardyńskim. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

PIERWSZY

Zrezygnował z formy „My, papież", zmienił uroczystość koronacyjną w skromną inauguracyjną mszę, nie chciał orszaku prałatów i asysty gwardii szwajcarskiej. Proces beatyfikacyjny Jana Pawła I właśnie dobiegł końca.

EDWARD AUGUSTYN

Gdy czarny biskupi fiat 1100 w asyście dwóch samochodów policyjnych i autobusu karabinierów stanął przed kościołem w Montanerze, na placu byli już wszyscy mieszkańcy. Karabinierzy utorowali przejście. Biskup bez słowa wszedł do środka i wyjął z tabernakulum Najświętszy Sakrament. Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach i oznajmił ludziom, że odtąd w tej świątyni nikt nie będzie sprawować mszy świętej. Był 12 września 1969 r.

Konflikt trwał blisko rok. Po śmierci starego proboszcza wierni nie chcieli przyjąć żadnego nowego, poza młodym księdzem, który przez ostatnie lata opiekował się poprzednikiem. Słali petycje, jeździli do kurii, byli nawet w Watykanie. Usłyszeli, że nie ma zwyczaju ani prawa, by ludzie sami sobie wybierali proboszcza.

Albino Luciani, ordynariusz Vittorio Veneto, był ostatnim w historii Włoch biskupem, który nałożył interdykt na miasto. Cztery miesiące później mieszkańcy Montaneru przeszli na prawosławie. Dziewięć lat później biskup został papieżem.

Papież 1.0

Nazwano go „uśmiechniętym papieżem". Ale błędem byłoby myśleć, że za tym uśmiechem kryje się niezdecydowanie, niepewność czy jakakolwiek słabość. „Ewangelia mówi, że mamy być solą, nie miodem – pisał w liście do wiernych, tłumacząc jedną ze swoich decyzji dyscyplinarnych. – Sól piecze, gdy ją przyłożyć do rany, ale zapobiega roznoszeniu się zarazków".

Proces beatyfikacyjny Albina Lucianiego właśnie dobiegł końca. Watykańska komisja lekarska uznała za niewytłumaczalne nagłe wyzdrowienie 11-letniej dziewczynki z Argentyny. Komisja teologów stwierdziła związek pomiędzy tym wydarzeniem a modlitwami, jakie bliscy chorej zanosili za wstawiennictwem Jana Pawła I. Papież Franciszek zatwierdził cud.

W procesie badano całe 66-letnie życie kandydata na ołtarze, najmniej skupiając się na 34-dniowym pontyfikacie. Choć można przypuszczać, że gdyby nie ten pontyfikat, nie byłoby procesu. Tylko dzięki niemu przyszły błogosławiony stał się znany. Choć najczęściej, zwłaszcza w Polsce, jako krótki, mało znaczący epizod, otwierający drogę do Wielkiego Pontyfikatu, „wersja demo" prawdziwego Jana Pawła – Polaka. Wiele jednak wskazuje, że był zapowiedzią całkiem innego pontyfikatu: papieża Franciszka.

Nowa rodzina

Wyrósł z biedy. W górskich wioskach, jak jego rodzinne Forno di Canale, ludzie żyli z pasterstwa i wycinania lasu lub szukali pracy w innych krajach. Urodził się w 1912 r. Miał dwie starsze, głuchoniemie siostry przyrodnie (gdy rodzice się pobierali, ojciec był 39-letnim wdowcem, a matka siedem lat młodszą, niezamężną kobietą), z czasem doszło jeszcze dwoje młodszego rodzeństwa. Wychowywała ich matka – ojciec zarabiał na życie w Niemczech, Szwajcarii i Francji.

Gdy Albino skończył 11 lat, poszedł uczyć się na księdza. „W seminarium spędziłem 35 lat życia – wspominał, gdy został biskupem. – Dwanaście jako kleryk, dwadzieścia trzy jako nauczyciel. To był mój dom, moja rodzina".

Po studiach krótko pracował jako wikary i katecheta. Mając 25 lat został wicerektorem seminarium w Belluno, które dopiero co skończył. Uczył teologii

WELTBILD / INTERFOTO / FORUM

Jan Paweł I, wrzesień 1978 r.

dogmatycznej, prawa kanonicznego, historii Kościoła i sztuki kościelnej. Jednocześnie w Rzymie robił zaocznie licencjat i doktorat.

Był zdolny, pracowity i oczytany. Miał wyjątkową pamięć. „Cytował z głowy całe fragmenty, czasem nawet strony, tekstów, które czytał w gimnazjum czy liceum" – wspominał jeden ze studentów. Ale nie popisywał się erudycją: raczej nieśmiały, odzywał się tylko, gdy było to konieczne.

Umiał mówić prosto i zrozumiale o skomplikowanych problemach. Widać to w jego późniejszych kazaniach – biskupa, kardynała i papieża – pełnych anegdot i przykładów z życia. Rozmawiają w nich pasażerowie pociągu, robotnicy w fabryce, bohaterowie książek, postaci historyczne, święci. Podobnie pisał – prostym, ładnym językiem, bez kościelnego żargonu. Jego zbiór listów do znanych postaci („Illustrissimi") stał się bestsellerem, zanim autor został papieżem.

Ten pierwszy raz

Kardynałowie, zwłaszcza spoza Włoch, jadący do Rzymu na pogrzeb Pawła VI, mogli nie wiedzieć, kim jest Albino Luciani. Ale wchodząc na konklawe dobrze już znali jego nazwisko. Dwa tygodnie między śmiercią papieża a wyborami następcy to czas spotkań, mniej lub bardziej oficjalnych, ustalania strategii, liczenia szabel. Po ostatnich latach pełnych chaosu, podejmowanych i wycofywanych decyzji, po Pawle VI, papieżu intelektualiście i polityku – chwiejnym, słabym i nieznającym życia poza Watykanem, Luciani jawił się jako kandydat idealny – duszpasterz, dbający o czystość doktryny i kościelną dyscyplinę, ↦

↦ zwolennik Soboru, choć nie rewolucjonista, człowiek o wyważonych poglądach, stroniący od polityki i intryg, niezwiązany z kurią i kościelnymi koteriami.

Konklawe z sierpnia 1978 r., pierwsze po Soborze Watykańskim II, było też pierwszym w historii, w którym nie uczestniczyli starsi kardynałowie (przepisy wprowadzone przez Pawła VI ustalały limit wieku). A także pierwszym w życiu dla 99 ze 111 elektorów. Brak doświadczenia, upał, trudne warunki lokalowe (ciasne pokoje z zaplombowanymi oknami, bez klimatyzacji, bieżącej wody i WC), a także przekonanie o szczególnej opiece Ducha Świętego sprawiły, że wszystko poszło bardzo szybko: w pierwszym głosowaniu Luciani miał 23 głosy, w czwartym już 101, dużo ponad wymagane prawem dwie trzecie. 26 sierpnia wieczorem pojawił się w loggii Bazyliki św. Piotra jako papież Jan Paweł I.

Brzmi znajomo

Nieobyty na watykańskim dworze prowincjusz, mentalnie i kulturowo przynależący do odległej od Rzymu „Północy", otoczony obcymi ludźmi, o których słyszał więcej złego niż dobrego, znajduje w sobie od pierwszych chwil odwagę, by przełamać odwieczne zwyczaje: wybiera sobie podwójne imię, odkłada na bok napisane przez sekretariat stanu przemówienie do kardynałów, mówiąc z głowy i z serca, rezygnuje z *pluralis maiestatis* (uroczystej liczby mnogiej), zamienia „uroczystość koronacyjną" w skromną inauguracyjną mszę, nie chce orszaku prałatów i asysty gwardii szwajcarskiej, które chodziły za papieżem krok w krok, gdy przemieszczał się w pałacu, siada do posiłków z dwoma sekretarzami i czterema zakonnicami, które opiekują się apartamentem, dla nich odprawia codzienną mszę w małej kaplicy.

Można rzec – błahostki, choć przecież nie 45 lat temu. Ale gdy po dwóch tygodniach, w krótkim przemówieniu po modlitwie Anioł Pański, nazwał Boga „nie tylko Ojcem, ale i Matką", podniosły się głosy oburzenia, a nawet oskarżenia o bluźnierstwo.

Watykanista Giancarlo Zizola uważał, że Luciani od samego początku miał plan wielkich zmian w Kościele. W książce „Konklawe", powołując się na rozmowy z weneckim teologiem ks. Germanem Pattaro, przyjacielem Jana Pawła I, pisał:

Ewangelia mówi
że mamy być solą,
nie miodem
– tłumaczył jedną z decyzji
dyscyplinarnych.

„Szkic reform był gotowy już w drugim tygodniu. Zakładały rozwój kolegialności, ekumenizm, zmiany w IOR (tzw. banku watykańskim) i Kongregacji Doktryny Wiary". Papież miał zamiar przekształcić sekretariat synodu, złożony z biskupów z różnych kontynentów, w stałą radę, która będzie pomagała mu rządzić Kościołem. Chciał, by przy nominacji nowych biskupów zasięgać opinii rad kapłańskich i konferencji episkopatów. „Działania IOR – pisał Zizola, cytując papieskiego przyjaciela – powinny być zawsze czyste, zgodne z prawem i duchem Ewangelii. Świat musi wiedzieć, czym jest IOR, co robi, jakie ma cele, w jaki sposób gromadzi pieniądze i na co wydaje. Finanse Watykanu muszą być całkowicie transparentne, bilanse publikowane i kontrolowane. Prezydent IOR (bp Paul Marcinkus) musi zostać zastąpiony (...), żaden biskup nie powinien zarządzać bankiem".

Ks. Pattaro miał też powiedzieć, że Jan Paweł I chciał stworzyć w Rzymie wielkie centrum miłosierdzia dla biednych – ze stołówką, łaźniami, magazynem ubrań: „W niedzielę pójdę tam i będę podawał do stołu, jak robił Grzegorz Wielki".

W planach były cztery encykliki (o jedności Kościoła, kolegialności, roli kobiety w Kościele i społeczeństwie, światowej biedzie, spowodowanej „okrutnym kapitalizmem") i przeproszenie za winy Kościoła, zwłaszcza „rzeź Indian, niewolnictwo i rasizm". A także kilka innych, pomniejszych zmian, dotyczących życia papieża i tytulatury, które wprowadził w życie papież Franciszek.

Brzmi sensacyjnie, ale niestety tych słów nie sposób zweryfikować. Zizola napisał książkę w 1993 r., powołując się na ks. Pattaro, który od siedmiu lat już nie żył. Są trzy możliwości: albo rzeczywiście takie były plany Jana Pawła I, albo watykanista je zmyślił, trafnie jednak przewidując pontyfikat z przyszłości, albo kard. Bergoglio czytał jego książkę i przepisał z niej program.

Życie jak program

Mówiąc serio, jedynym pewnym potwierdzeniem planów Jana Pawła I jest jego przemówienie radiowe „do Miasta i Świata", wygłoszone dzień po wyborze. Przedstawił w nim program pontyfikatu w sześciu punktach: (1) kontynuacja odnowy soborowej, (2) zachowanie dyscypliny „tak w praktykowaniu cnót ewangelicznych, jak i w posłudze dla biednych, bezbronnych, poniżanych", (3) uczynienie z ewangelizacji podstawowej misji Kościoła, (4) podtrzymanie działań ekumenicznych, (5) dialog ze wszystkimi, także niewierzącymi, (6) wspieranie wszelkich wysiłków na rzecz utrzymania pokoju w świecie.

Ślady tych ambitnych założeń widać już we wcześniejszym życiu Albina Lucianiego – księdza, biskupa i kardynała. Był rzeczywiście „biskupem soborowym": konsekrowany w 1958 r. przez Jana XXIII, szlify zdobywał na Vaticanum II, wśród różnorodnej rzeszy hierarchów z całego świata. Tam też przewartościował swoje dotychczasowe, uformowane w potrydenckim seminarium, myślenie.

Ewangelizacja, którą wcześniej nazywano po prostu katechezą, była dla niego najważniejszym zadaniem duszpasterskim. Każde spotkanie z drugim człowiekiem stawało się okazją do głoszenia Ewangelii słowem i czynem. Wciąż szukał dla niej najlepszej formy – adekwatnej do czasu, potrzeb i możliwości odbiorców.

„Nową mszę" wprowadził w swojej diecezji już w styczniu 1965 r., jako jeden z pierwszych biskupów we Włoszech, na dwa lata przed oficjalnym zatwierdzeniem. Misjonarzom, których posyłał do Afryki, pozwalał na samodzielne tłumaczenie tekstów liturgicznych na języki lokalne.

Osobiste ubóstwo i prostota (kazał zdjąć z biskupiej siedziby okazały herb, chodził w zwykłej, czarnej sutannie) szły w parze z troską o biednych, na których los był szczególnie wrażliwy: odwiedzał nie tylko szpitale, więzienia czy domy opieki, ale potrafił bez zapowiedzi przyjechać do parafii i prosić proboszcza, by go zaprowadził do najbiedniejszej rodziny. Zachęcał księży, by „pozbyli się kosztowności – z wyjątkiem dzieł sztuki – oferowanych przez wiernych Bogu, Maryi i świętym w hołdzie albo *ex voto*, a pieniądze przeznaczyli na centrum dla niepełnosprawnych". Sam pierwszy dał przykład.

Ni pies, ni wydra

Nie wszystkim się to podobało. Jedni mieli go za liberała albo komunistę (może wiedzieli, że jego ojciec był działaczem socjalistycznym?), bo troszczył się o robotników i angażował w mediacje między związkowcami a przedsiębiorcami. I choć krytykował marksizm i partyjnych agitatorów, nigdy złego słowa nie powiedział o ludziach, którzy głosowali na lewicowe, nawet komunistyczne partie. „Nie każdy robotnik, który walczy o uznanie swoich praw, jest komunistą, co z taką łatwością nieraz twierdzimy" – mówił, apelując do katolików, by nie zamykali oczu na „ciężkie winy kapitalizmu" i jego społeczne konsekwencje.

Dla innych, zwłaszcza młodych, przeżywających rewolucję '68 roku – był uosobieniem tego, co w Kościele tradycyjne i konserwatywne. Gdy w 1974 r. katoliccy studenci z Wenecji opowiedzieli się za referendum w sprawie prawa rozwodowego, z miejsca rozwiązał najbardziej aktywne organizacje – nie za poglądy, jak tłumaczył, ale za publiczne wystąpienie przeciwko stanowisku biskupów.

Bo choć był wyrozumiały dla ludzkich błędów czy eksperymentów liturgicznych, nie tolerował nieposłuszeństwa. „Myślenie papieża jest moim myśleniem" – powiedział, gdy Paweł VI opublikował encyklikę „Humanae vitae", choć wszyscy wiedzieli, że decyzja o zakazie antykoncepcji była dla niego niezrozumiała i gorzka: rok wcześniej, w imieniu episkopatów Veneto i Lombardii, przedstawił w Watykanie opinię, że stosowanie „pigułki progesteronowej" powinno być dozwolone.

Nie miał też zrozumienia dla księży-banksterów. Gdy w Vittorio Veneto dwóch z nich zainwestowało pieniądze – w tym pożyczone od wiernych – w finansową piramidę, która oczywiście upadła, zareagował błyskawicznie: winowajców zwolnił z urzędów (zostali osądzeni przez sąd państwowy), a w imieniu diecezji zobowiązał się – choć żaden sąd mu tego nie nakazał – pokryć wszystkie straty osobom poszkodowanym. W tym celu sprzedał część kościelnych nieruchomości, a na księży nałożył „solidarnościową" daninę.

Miał też na pieńku z IOR – „watykańskim bankiem" – a zwłaszcza z jego prezydentem, bp. Marcinkusem. W 1972 r. Watykan, chcąc ratować upadający Banco Ambrosiano, przekazał mu duży pakiet akcji świetnie prosperującego Katolickiego Banku Veneto, nie informując o tym weneckich biskupów. Luciani sprawdził, kim są nowi właściciele, i jakie ciążą na nich podejrzenia. Pojechał na skargę do Watykanu, gdzie został przez Marcinkusa zlekceważony i upokorzony. Jedyne, co mógł zrobić, to wycofać z banku diecezjalne pieniądze. I czekać na lepszą okazję.

Sól piecze,
gdy ją przyłożyć
do rany, ale zapobiega
roznoszeniu
się zarazków.

Samotność w Watykanie

Trudno się dziwić, że Marcinkus nie cieszył się, jak inni, z wyboru Lucianiego na papieża. Trudno się dziwić, że po niespodziewanej śmierci Jana Pawła I pojawiły się opowieści o spisku kardynałów i jego otruciu – przez nich, przez mafię, lożę P2. Wkrótce przecież najbardziej niewiarygodne hipotezy nabrały prawdopodobieństwa: upadek Banco Ambrosiano w 1987 r. nie tylko ujawnił powiązania Watykanu ze światem przestępczym, ale i doprowadził do śmierci, wcale nie naturalnej, kilku osób.

Prawda wydaje się jednak mniej sensacyjna. Ostatnie godziny życia Jana Pawła I dokładnie opisała Stefania Falasca, dziennikarka „Avvenire", która będąc wicepostulatorką w procesie beatyfikacyjnym miała dostęp do wszystkich dokumentów, zapisków w osobistym notatniku papieża, zeznań świadków. Z jej książki „Papież Luciani. Kronika śmierci" wyłania się smutny obraz samotnego człowieka, w nieznanym i obcym środowisku, gdzie na domiar złego panuje stan zawieszenia, bo to, co zazwyczaj działało, utknęło w bezruchu. Nowy papież wieczorami przegląda „Annuario Pontificio", by zorientować się, kto jest kim w kurii (w ciągu ostatnich lat był tam może dwa razy), kontakty z „najbliższymi" współpracownikami (sekretarz stanu, prefekci kongregacji) są urzędowe i chłodne: wszyscy wiedzą, że Luciani nie był ich kandydatem. Nawet sekretarze są mu obcy – jednego odziedziczył po Pawle VI, drugiego, który przyjechał z nim „na chwilę" z Wenecji, już wcześniej zamierzał zwolnić („Nie ufał mi – zeznał ksiądz w procesie. – Więcej czasu spędzał z siostrami w kuchni niż ze mną"). Rzeczywiście jedynymi osobami, na których wsparcie mógł liczyć, były cztery zakonnice, a zwłaszcza najstarsza, siostra Vincenza, która opiekowała się nim od 20 lat.

A jednak się kręci

Z pomocy głównego watykańskiego lekarza papież nie chciał korzystać („zadecydowały względy delikatne" – zeznał sekretarz), a z jego zastępcą prowadzono dopiero wstępne rozmowy. Ale Jan Paweł I uważał, że wystarczy mu opieka zaprzyjaźnionego lekarza z Wenecji – co kilka dni dzwoniła do niego siostra Vincenza, przekazując w jedną stronę swoje obserwacje, w drugą ewentualne zalecenia. Na dwa dni przed śmiercią lekarz „odjął mu jakieś leki" – zeznała w procesie jedna z zakonnic.

Trzy lata wcześniej u kard. Lucianiego doszło do „zatoru żyły głównej siatkówki w oku lewym", puchły mu nogi. W czasie kolacji 28 września poczuł nagły ból w piersiach. Siostra Vincenza podała mu lek („który zawsze pomagał, taki, co się wkłada pod język" – zeznał sekretarz), ale papież nie chciał, by dzwonić do lekarza ani wzywać pomocy.

Następnego dnia rano, tuż po piątej, gdy nie pojawił się w kaplicy, siostra Vincenza poszła do jego pokoju. Znalazła go martwego w łóżku, z kartkami maszynopisu w ręce, przy zapalonej lampce. Wezwany lekarz stwierdził zgon z przyczyn naturalnych, „w wyniku ostrego zawału mięśnia sercowego". Sekcji zwłok nie przeprowadzono (przepisy zezwalające na nią wprowadzono w Watykanie dopiero w 1993 r.). Ruszyły kanoniczne procedury na okoliczność śmierci papieża, szykowano Salę Klementyńską na wystawienie zwłok, rozpoczęto balsamowanie ciała, powiadomiono prezydenta Włoch i innych oficjeli. Kuria ożyła.

Według oficjalnego komunikatu Sekretariatu Stanu, opublikowanego dwie godziny po śmierci, ciało papieża znalazł jego osobisty sekretarz. Radio Watykańskie podało, że zmarły trzymał w ręku książkę „O naśladowaniu Chrystusa".

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Jesteśmy nieumarli

TARSYCJUSZ KRASUCKI, FRANCISZKANIN:

Niby żyłem, niby robiłem różne rzeczy. Ale po latach zrozumiałem, że cały czas leżałem na ziemi przed Ogniskiem św. Brata Alberta i usiłowałem wstać.

TARSYCJUSZ KRASUCKI OFM: Chciałbym głośno i pod nazwiskiem mówić o sprawie ks. Andrzeja Dymera, ale już bez szczegółowego opowiadania o tym, jaką krzywdę mi wyrządził w swoim pokoju.

ANNA GOC: Ile razy Ojciec o tym opowiadał?

Gdyby tak zliczyć wszystkie przesłuchania przez sądy państwowe i kościelne, wszystkie próby powiadomienia hierarchów, wszystkie rozmowy z ludźmi, u których szukałem pomocy, to pewnie z kilkadziesiąt.

Zresztą o tym, co wydarzyło się w jego pokoju, opowiedziałem od razu, tego samego wieczoru, innym chłopakom ze schroniska. To było zimą 1993 roku, w szczecińskim Ognisku św. Brata Alberta, którego ks. Dymer był dyrektorem. Miałem wtedy nieco ponad 17 lat i podobnie jak inni mieszkańcy schroniska zdążyłem być już trochę poobijany przez życie. Schronisko było wtedy w remoncie, więc siedzieliśmy w jednej dużej sali, w której ustawiono ze dwadzieścia łóżek.

Jakie były reakcje pozostałych?

Na twarzach wielu chłopców widziałem przerażenie, ale nie zdziwienie. Wiem na pewno, że wśród osób, które mnie wtedy słuchały, byli inni krzywdzeni przez ks. Dymera. Zresztą jednego z nich kilka tygodni wcześniej szukaliśmy w lesie, gdy po wieczorze spędzonym w pokoju ks. Dymera wybiegł ze sznurem w ręku.

Co na to wychowawcy?

Ktoś im musiał przekazać, że opowiadałem takie rzeczy wieczorem, bo kolejnego dnia wezwali mnie na rozmowę w obecności psychologa. Mówiłem więc jeszcze raz o tym, jak mnie skrzywdził, ze szczegółami. Słuchali, ale widziałem, że mi nie wierzą.

Ks. Andrzej Dymer był już wtedy ważną postacią w diecezji szczecińsko-kamieńskiej.

Wychowawcy nie zadawali zbyt wielu pytań, po prostu kazali mi odwołać wszystko, co powiedziałem. I to publicznie, w czasie wspólnego śniadania. Nie mogłem tego zrobić. W ramach buntu położyłem się na swoim łóżku i nie chciałem się z niego ruszyć. Wtedy wychowawcy wzięli mnie pod ręce i siłą wyrzucili ze schroniska. Nie miałem na sobie butów, dlatego wylądowałem na ziemi bez nich. Chwilę później poleciały za mną buty i plecak.

Miał Ojciec dokąd pójść?

Zanim o tym pomyślałem, trzeba było podnieść się z ziemi. To jest dziwne uczucie, bo po latach zrozumiałem, że z tej ziemi podnosiłem się potem jeszcze wiele razy. Niby żyłem, niby robiłem różne rzeczy, ale cały czas byłem na tej ziemi, z której usiłowałem wstać.

Nie chciałem wracać do rodziców, bo byłem w konflikcie z tatą. Zanim trafiłem do Ogniska, byłem właściwie bezdomny. Nocowałem nawet przez jakiś czas na dworcu, szwendałem się po ogródkach działkowych. Nie chciałem tego powtarzać.

Trafiłem wtedy – paradoksalnie za podpowiedzią ks. Dymera – do parafii Matki Bożej Fatimskiej na os. Słonecznym w Szczecinie. Zamieszkałem w małej salce, która sąsiadowała z kaplicą, więc co rano budziły mnie kościelne dzwony. Wyznaczyłem sobie jeden cel – skończyć szkołę. To tam spotkałem siostrę Miriam. Ona mnie uratowała.

Siostra Miriam jest jedną z osób, które za wszelką cenę będą starały się ujawnić krzywdę, jaką wyrządził Wam ks. Andrzej Dymer. Ale nie powiedział jej Ojciec o tym, co się wydarzyło, od razu, tylko prawie 10 lat później.

Bałem się, że i ona mi nie uwierzy. Ks. Dymer cieszył się poważaniem, a my byliśmy chłopakami z marginesu. Dlaczego ktoś miałby nam uwierzyć?

Siostra Miriam była obywatelką USA i śledziła, co działo się w amerykańskim Kościele. Była świadoma problemu ukrywania pedofilii. Dlatego gdy dowiedziała się o sprawie, zaczęła działać.

Próbowałem też powiedzieć rodzicom, że ksiądz się do mnie dobierał i dlaczego zostałem wyrzucony ze schroniska. Ale oni mi wtedy nie uwierzyli. Byłem rozrabiaką, więc być może pomyśleli, że to za jakiś kolejny wybryk musiałem opuścić schronisko.

JAKUB HALCEWICZ / WIĘŹ

TARSYCJUSZ SEBASTIAN KRASUCKI OFM (ur. 1975) był m.in. asystentem Franciszkańskiego Zakonu Świeckich, kapelanem wspólnoty ruchu „Wiara i Światło", duszpasterzem bezdomnych i hospicjum, misjonarzem ludowym, katechetą, odpowiedzialnym za Kuchnię św. Franciszka dla ubogich. Od roku 2016 jest misjonarzem miłosierdzia ustanowionym przez papieża Franciszka.

Uwierzyli potem?

Po reportażu „Grzech ukryty w Kościele", który ukazał się w „Gazecie Wyborczej" w 2008 roku, czyli 15 lat później. W tym tekście wypowiada się m.in. dominikanin Marcin Mogielski, który jako jeden z pierwszych zbierał nasze świadectwa i przedstawiał je kościelnym zwierzchnikom ks. Dymera. Pojawia się tam też moje świadectwo – choć pod zmienionym imieniem – które spisałem na prośbę o. Mogielskiego.

Wiele razy wydawało mi się, że zamknąłem tamten rozdział. Przeżyłem nawrócenie, poczułem powołanie zakonne. Teraz już wiem, że nie da się tak po prostu zamknąć w przeszłości czegoś takiego.

Ludzie skrzywdzeni mówią, że trudno o tym rozmawiać z kimś, kto nie ma podobnych doświadczeń.

Mamy chwile załamania, bywają też lepsze momenty. Dopiero po latach zdajemy sobie sprawę z tego, że zepchnęliśmy coś na tyle skutecznie, by móc jakoś żyć – tyle że to coś cały czas z nami jest i drąży człowieka od środka.

W przypadku sprawy ks. Dymera to wracało także dlatego, że ten proces był jednym z najdłuższych w Kościele.

Od zgłoszenia sprawy w 1995 roku minęło właśnie 26 lat. Ci, którzy próbują działać, spotykają się z biskupem pomocniczym archidiecezji szczecińskiej Stanisławem Stefankiem, kolejni udają się w 1996 roku do abp. Mariana Przykuckiego. Stefanek jednak nie wierzy, nie podejmuje działań.

Pierwsze przesłuchania odbywają się przed szczecińskim trybunałem metropolitalnym dopiero w roku 2004. Byłem już po święceniach i nagle przyszło wezwanie na przesłuchanie. Po tylu latach.

Zeznawał Ojciec i co dalej?

Zapadła cisza. Nie dostałem żadnej informacji o dalszym przebiegu sprawy. Składaliśmy przysięgę, nie mogliśmy rozmawiać z nikim o szczegółach przesłuchania. Byłem przesłuchiwany już jako kapłan, tuż po święceniach, i wtedy jeszcze myślałem, że sądy kościelne zajmą się naszą sprawą na poważnie. Ale potem było coraz mniej nadziei. Aż do teraz, gdy nie mam już żadnych złudzeń.

Co się wtedy robi? Gdzie się szuka informacji?

Po tym drugim przesłuchaniu czułem, że jesteśmy w Kościele bezradni. Obserwowałem tylko, co dzieje się z ks. Dymerem, jak powierzane mu są kolejne prestiżowe funkcje kościelne.

Zwierzchnicy ks. Dymera przez wiele lat nie spotkali się z osobami skrzywdzonymi.

Abp Andrzej Dzięga zgodził się na rozmowę z mężczyzną, który został zgwałcony przez ks. Dymera. To było tuż przed śmiercią ks. Dymera. W reportażach mężczyzna ten występował pod imieniem Bożydar. Zapytał, jak to możliwe, że jego oprawca wciąż pełni ważne funkcje kościelne. Nazajutrz arcybiskup odwołał Dymera. Wkrótce miał się też ukazać reportaż w TVN24, więc to odwołanie wyglądało jak próba uratowania wizerunku. Nie było w tym szczerości ani słowa „przepraszam".

↦

Śledził Ojciec losy innych osób mieszkających w szczecińskim schronisku?

Nie mam kontaktu z żadnym z kolegów, którzy tam wtedy mieszkali. O losach niektórych z nich dowiadywałem się z artykułów prasowych. Jeden popełnił samobójstwo, ktoś zmarł na raka przedwcześnie. Ktoś żyje w bezdomności. Redaktor Sebastian Wasilewski dotarł do chłopaka, który był wykorzystywany przez ks. Dymera jako 14-latek. Bał się kontaktu, mieszka na działkach.

Widzę po różnych osobach pokrzywdzonych przez księży, że ich życie to nieustanna walka, lęki, nieumiejętność nawiązywania relacji. Ta ciemność wciąż wyłazi z człowieka. My czasami nawet nie jesteśmy świadomi, że źródło naszych problemów jest właśnie w tej krzywdzie.

Jak wyglądały przesłuchania?

Pamiętam dokładnie przesłuchanie w prokuraturze. Pani prokurator zadawała pytania w pomieszczeniu, w którym byli także inni, niezwiązani z moją sprawą ludzie. Siedzieli obok i słuchali. Ktoś gdzieś wychodził, wchodził, a ona zadawała intymne pytania, na przykład: gdzie dokładnie dotykał mnie ks. Dymer. Gdy skończyliśmy, w ogóle nie wiedziałem, gdzie jestem.

Przesłuchania przed sądem zaczynały się często od zdania: „Proszę mówić". Gdy nie wiedziałem, co robić, słyszałem: „Mówić wszystko, od początku". Raz nawet padło pytanie: „Co wy tam wyprawiacie?", zadane w bardzo nieprzyjemnym tonie. Stałem tak naprzeciw sądu, wokół ludzie. Miałem opowiadać, z każdym szczegółem. Poprosiłem raz o to, żebym mógł składać zeznania na siedząco, bo nie mogłem zapanować nad trzęsącymi się nogami.

W procesie kanonicznym niektóre pytania obrońców ks. Dymera były tak brutalne, że zostały oddalone przez trybunał. Na sali był psycholog, który miał potwierdzić wiarygodność moją i innych zeznających. Po przesłuchaniu, które było wyczerpujące, zabierano mnie jeszcze na test, w czasie którego odpowiadałem na pytania związane z moją seksualnością. Zapytałem, czy naprawdę nikt nie mógł mi o tym wcześniej powiedzieć. Widziałem, że pani psycholog była zmieszana.

Czasami wydawało mi się, że jak kończyłem, to ludzie, także sędziowie, byli przerażeni.

Wiem, że muszę poradzić sobie ze swoją traumą, która się ponownie odzywa. Tę sytuację można porównać do zamordowania kogoś – tyle że my żyjemy dalej.

W 2008 roku ks. Andrzej Dymer został skazany przez kościelny trybunał za molestowanie seksualne wychowanków. Kiedy się Ojciec o tym dowiedział?

Dopiero gdy uzyskałem wgląd do akt sprawy – zresztą tylko dzięki temu, że jestem duchownym. Treść tego wyroku ujawnił opinii publicznej Zbigniew Nosowski w ramach swojego śledztwa dziennikarskiego na portalu „Więzi". Kara była raczej symboliczna, bo ks. Dymer miał wpłacić równoważność trzymiesięcznego wynagrodzenia na rzecz domu samotnej matki i otrzymał zakaz sprawowania funkcji związanych z edukacją.

Wstyd mi trochę wobec innych osób pokrzywdzonych, że miałem przywilej wglądu do akt procesu kanonicznego i korzystania z pomocy adwokata. Zasadniczo bowiem my, ludzie skrzywdzeni przez księży, nie jesteśmy stroną postępowania i nie mamy dostępu do akt sprawy.

Z osoby skrzywdzonej stał się też Ojciec oskarżonym.

Ks. Dymer oskarżył mnie o zniesławienie na podstawie listu, który wysłałem do mojego prowincjała. Opisywałem w nim doznane krzywdy i prosiłem o pomoc prawnokanoniczną. Wyraziłem też obawę, że ks. Dymer może dalej krzywdzić. Ten list trafił do akt sprawy, bo otrzymała go watykańska kongregacja, i w ten sposób wpadł w ręce adwokata ks. Dymera.

Czego jeszcze się Ojciec dowiedział z akt sprawy?

Adwokaci ks. Dymera próbowali udowodnić, że jestem osobą uzależnioną. Prawdopodobnie homoseksualistą. I na pewno osobą chorą psychicznie. Nie byłem w stanie przejrzeć wszystkiego dokładnie, bo to są bardzo obszerne dokumenty. W wielu miejscach pismo było odręczne i nieczytelne.

Mnie i innych skrzywdzonych adwokaci ks. Dymera charakteryzowali negatywnie: wskazywano na nasze słabe strony i obciążenia rodzinne. Próbowano udowodnić, że jesteśmy w spisku.

Jeszcze w połowie marca 2008 roku, tuż po publikacji reportażu „Gazety Wyborczej", w kościołach archidiecezji szczecińskiej księża odczytują list abp. Zygmunta Kamińskiego, metropolity szczecińsko-kamieńskiego, w którym padają słowa, że „tak łatwo odrzeć człowieka publicznie z jego godności". To o ks. Andrzeju Dymerze.

Mówienie o pedofilii w Kościele do dziś uznawane jest przez wielu za atak na Kościół. A my, ludzie skrzywdzeni, jesteśmy jakoby wrogami Kościoła.

Po odwołaniu od wyroku złożonym przez ks. Dymera sprawa trafiła do gdańskiego trybunału metropolitalnego, ale abp Sławoj Leszek Głódź, który odpowiadał za jej ponowne rozpatrzenie – takie zadanie powierzyła mu watykańska Kongregacja Nauki Wiary – przez ponad 9 lat nie rozpoczął postępowania. Wszystko było zawieszone, mimo że kongregacja kilkakrotnie się upominała.

Jeszcze nie tak dawno moja siostra usłyszała, że osoby skrzywdzone przez Dymera są finansowane przez środowiska LGBT. Wierzyć się nie chce, że są ludzie, którzy mogą opowiadać takie rzeczy.

Wielu skrzywdzonych, którzy próbują publicznie i pod nazwiskiem o tym mówić, słyszy, że zgłosili krzywdę „dla pieniędzy".

Zdarza się, że w kościołach, które odwiedzam, słyszę, że tacy jak ja to wrogowie Kościoła. Myślę, że ci duchowni nie mają pojęcia, co się dzieje w życiu człowieka, który został skrzywdzony.

Często wydaje mi się, że ludzie, którzy nie zostali skrzywdzeni, nie potrafią zrozumieć, o co nam chodzi. Padają komentarze: „co ci ten ksiądz właściwie takiego zrobił, trochę podotykał", albo „przecież cię nie zgwałcił", albo „byłeś już prawie dorosły, nie wiedziałeś, co się dzieje?".

To naprawdę trudne do zrozumienia, że jedno takie wydarzenie potrafi się

przełożyć na całe życie. Że to jest taki straszliwy balast.

„I ty do kapłaństwa po tym wszystkim poszedłeś?" – zapytał Ojca podobno ksiądz notariusz w szczecińskim sądzie.

To nie jest tak, że nie ma we mnie zwątpienia, takich myśli, żeby zawiesić habit na kołku i powiedzieć samemu sobie: dobra, nie chcę mieć z tym towarzystwem więcej do czynienia. Te myśli jednak nie zwyciężają. Wolę mówić głośno o tym, co mnie spotkało. Być może to zmieni sytuację innych.

Bo nam, skrzywdzonym, często wydaje się, że sobie z tym poradziliśmy. Zepchnęliśmy, zamknęliśmy. Nie ma, skończyło się. Ale my się tylko tak oszukujemy. Całe życie pozostaje w cieniu tamtego wydarzenia. Po latach widzę, że to zawsze stanowiło ciemną stronę mnie samego.

Ludziom skrzywdzonym nie jest łatwo odzyskać zaufanie do kapłana. Nawet jeśli wiadomo, że w konfesjonale jest inny ksiądz, to już zawsze pozostaje strach, że on znowu mnie wykorzysta. Mówię to ze swojego doświadczenia.

Spowiedź jest często jednym z elementów uwikłania osoby krzywdzonej.

Ks. Dymer też to robił – zapraszał chłopaków do swojego pokoju, zwykle późnym wieczorem, na spotkania-spowiedzi. Obowiązywała tajemnica, a on zdobywał potrzebne informacje, by manipulować swoimi ofiarami, wykorzystywać je dalej.

Potem każde kolejne spotkanie z księdzem może być bardzo trudne. Dla mnie spowiedź, jeśli nie znałem kapłana, była zawsze ciężkim doświadczeniem. Myśli wracają do tego, co się wydarzyło. Widzę to też u osób, które chcą się spowiadać u mnie. Odkąd opowiedziałem swoją historię pod nazwiskiem, zaczęli przychodzić do mnie ludzie wykorzystani przez swoich spowiedników.

Wiedzą, że jestem kapłanem i osobą skrzywdzoną – to pozwala im zaufać. Czasami ktoś przyjeżdża po wielu próbach wyspowiadania się. Opowiada mi o tym, jak stał w kolejce do konfesjonału, ale w końcu uciekał.

Niektóre z tych osób próbowały się spowiadać z tego, że zostały wykorzystane przez księdza. I niestety – kolejny raz w konfesjonale zostały skrzywdzone.

Ludzie często myślą: sprawca zmarł, po co wam ten wyrok?
A właśnie jest potrzebny – nie dla zemsty, ale po to, żeby przywrócić sprawiedliwość.

Są i tacy, którzy traktują rozmowę ze mną jak telefon zaufania. To zwykle ludzie, którzy mimo wszystko chcą zostać w Kościele, ale nie widzą w tym Kościele ludzi, przez których byliby rozumiani. To nieraz dorośli, sześćdziesięciolatkowie. Widzę, ile ich to kosztuje, mimo że upłynęło kilkadziesiąt lat. Są silni, radzą sobie z życiem. Ale gdy wracają do tamtych wydarzeń, stają się na powrót pobitymi, skulonymi dziewczynkami i chłopcami.

Wiem, że muszę poradzić sobie ze swoją traumą, która się ponownie odzywa. Tę sytuację można porównać do zamordowania kogoś – tyle że my żyjemy dalej.

Tak mówią o sytuacji ludzi wykorzystanych seksualnie niektórzy psychologowie.

Robert Fidura nazywał nas nieumarłymi. Zamordowano nas duchowo, ale fizycznie nadal żyjemy.

Na początku się myśli, że można tak żyć. Potem dociera się do otchłani rozpaczy, widzi się, że to, co robiliśmy, było motywowane nieznanym lękiem. Zaczyna się dostrzegać jego źródło.

Pojawia się pokusa samozniszczenia. Osoba skrzywdzona chce sama siebie ukarać. Do tego dochodzi jeszcze niedowierzanie, z jakim spotykamy się w Kościele, traktowanie skrzywdzonych jako potencjalnych sprawców lub szukających tylko finansowego odszkodowania.

W końcu można znowu pomyśleć: może to jednak była moja wina? Bardzo ciężko definitywnie uznać, że to nie moja wina, tylko sprawcy.

A nawet jeśli się udaje, to i tak często kolejnego dnia zaczyna się wszystko od nowa. Tak wygląda nasze życie. Kręcimy się wokół tego.

Zadaję sobie pytanie: a gdyby nie to wydarzenie, jak wtedy potoczyłoby się moje życie?

I co sobie Ojciec odpowiada?

Jestem wierzący, więc raczej zastanawiam się, co dobrego może z tej krzywdy wynikać. Ale to nie jest tak, że czuję, iż musiało się tak stać. Raczej zastanawiam się: skoro tak się stało, to co ja mogę z tym zrobić. I wtedy widzę ludzi skrzywdzonych, którzy do mnie przychodzą.

Po 26 latach wyrok w sprawie ks. Dymera dalej nie został opublikowany.

Ludzie często myślą: sprawca zmarł, po co to rozgrzebywać. Po co wam ten wyrok jest potrzebny? A właśnie jest potrzebny – nie dla zemsty, ale jako wyraz sprawiedliwości, przywrócenie właściwego ładu świata.

W czasie wrześniowej konferencji na temat wykorzystania seksualnego małoletnich w Kościołach Europy Środkowo-Wschodniej przedstawiłem swoje świadectwo. Napisałem je wcześniej, chwyciłem się mocno ambony i starałem się je przeczytać, nie podnosząc wzroku. Miałem nadzieję, że bierze w tej modlitwie udział abp Stanisław Gądecki, przewodniczący episkopatu, który chwilę wcześniej mówił na obradach, że Kościół musi się wsłuchiwać w głos ofiar, stawiać je na pierwszym miejscu. Jednak na nabożeństwie, w czasie którego przemawiali skrzywdzeni, nie został...

Podczas tej konferencji przekazałem mój odręcznie napisany po włosku list do papieża Franciszka, z prośbą o publikację wyroku w sprawie ks. Andrzeja Dymera. Miał go dostarczyć do adresata przewodniczący Papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich, amerykański kardynał Sean Patrick O'Malley.

Rozumiem, że odpowiedź nie nadeszła.

Nie, na razie nie dostałem jeszcze żadnego sygnału. Trybunał gdański zasłania się tym, że opublikowanie wyroku leży w gestii Kongregacji Nauki Wiary.

Z nieoficjalnych rozmów wnioskuję, że zapadł wyrok drugiej instancji potwierdzający winę księdza Andrzeja Dymera.

Nam, osobom skrzywdzonym, bardzo na tym zależy. Dla nas ogłoszenie wyroku publicznie być może pozwoli zamknąć tę sprawę. Nazwać po imieniu przestępcę i ludzi skrzywdzonych.

Być może wtedy już nikt nam nie powie, że sobie to wszystko wymyśliliśmy.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

O nas bez nas

PIOTR SIKORA

Wizyty biskupów ad limina w Rzymie niewiele mogą zmienić. Są wydarzeniami o charakterze bardzo klerykalnym.

Gdy kilka miesięcy temu w mediach pojawiła się wiadomość, że polscy biskupi jadą do Rzymu na wizytę *ad limina*, podniosło się wiele głosów wyrażających nadzieję, że będzie się ona łączyć z jakimiś radykalnymi krokami Watykanu zmierzającymi do głębokiej reformy polskiej instytucji kościelnej. Niektórzy spodziewali się, że konsekwencją tej wizyty będą dymisje w polskim episkopacie.

Wizyta *ad limina* zakończyła się kilkanaście dni temu. Z tego, co o niej wiemy, nadzieje na radykalne zmiany okazały się płonne – zgodnie zresztą z przewidywaniami komentatorów bardziej zorientowanych w prawie kanonicznym.

Więzy wiary

Istotą wizyty *ad limina* („do progów" – w domyśle: apostolskich) jest bowiem pielgrzymka biskupów danego kraju do grobów apostołów Piotra i Pawła, a także spotkanie z papieżem i przedstawicielami kurii rzymskiej. Jak określa dyrektorium wydane przez Kongregację ds. Biskupów na temat duszpasterskiej posługi biskupów, „Apostolorum successores", wizyta ta „w swych różnych momentach liturgicznych, duszpasterskich i braterskiej wymiany ma dla biskupa dokładne znaczenie: wzrostu jego poczucia odpowiedzialności jako następcy apostołów i ożywienia jego wspólnoty z Następcą Piotra". Dyrektorium dodaje, iż wizyta „stanowi również szczególną chwilę dla życia tegoż Kościoła lokalnego, umacniając – za pośrednictwem jego własnego przedstawiciela – więzy wiary, wspólnoty i dyscypliny, łączące go z Kościołem Rzymu i całym ciałem biskupim".

Wizyta *ad limina* nie jest, oczywiście, wydarzeniem o charakterze wyłącznie pobożnościowym. Biskupi przed przybyciem do Rzymu przesyłają do watykańskich kongregacji raport opisujący stan ich Kościołów. Jest on podstawą dyskusji z rzymskimi kurialistami oraz z papieżem.

Rozmowy te mają jednak być bardziej wymianą doświadczeń, omówieniem problemów i przedyskutowaniem duszpasterskich wizji – a nie „karnym dywanikiem".

Niejawne raporty

Biorąc pod uwagę tak określony sens wizyty *ad limina*, nie powinno się spodziewać po niej jakichś radykalnych decyzji Watykanu. Jednak właśnie niedawny pobyt polskich biskupów w Rzymie – w kontekście sytuacji Kościoła w Polsce – ujawnia, iż obecna formuła tej wizyty nie spełnia swego zadania – zwłaszcza w drugim z wymienionych w cytowanym dyrektorium aspektów: nie stanowi szczególnej chwili dla Kościoła lokalnego, którego biskupi przybywają do apostolskich progów.

W Kościele w Polsce mamy bowiem do czynienia z radykalnym kryzysem zaufania wiernych do biskupów: jak pokazują sondaże, około połowa Polaków chciałaby dymisji całego episkopatu. W kontekście, w którym ogromna część członków Kościoła lokalnego nie widzi w biskupach swych wiarygodnych przedstawicieli, ani raport sporządzony bez szerokich konsultacji i niepodany do publicznej wiadomości, ani rozmowy toczone w zamkniętym biskupim gronie nie wiążą się z umocnieniem więzi wiernych z Kościołem Rzymu. Wręcz przeciwnie – rodzą podejrzenia i większą nieufność.

Nieufność taką widać wśród polskich katolików – wystarczy przeczytać komentarze na temat relacji z wizyty, jakie przedstawiali biskupi. Tym bardziej że relacje te nie ułatwiały odbudowywania zaufania do hierarchów. Nieliczni z nich przyznawali, że spotkali się w Watykanie z krytyką. Większość podkreślała dobrą atmosferę, zrozumienie ze strony papieża oraz przedstawicieli watykańskiej kurii.

Byli i tacy, którzy zaznaczali, jak bardzo polski episkopat był w Rzymie chwalony.

Dar klerykalizmu

Chyba najbardziej podkreślał to abp Marek Jędraszewski. Relacjonował on, że wedle urzędników watykańskich dykasterii „na tle innych krajów europejskich Polska jest dla nich wszystkich płucami, dzięki którym Kościół katolicki w Europie może jeszcze oddychać". Co więcej, zdaniem metropolity krakowskiego Franciszek jest „niezwykle przekonany do autorytetu, jakim cieszy się w Polsce ksiądz", i namawiał polskich biskupów, by trwali przy tym autorytecie i budowali go, traktując jako „wielki dar Boży".

Być może papież – wbrew temu, co wielokrotnie publicznie akcentuje – w głębi serca ceni i wspiera klerykalną wizję Kościoła, bliską wielu polskim biskupom z metropolitą krakowskim na czele. Z drugiej strony, wielu biskupów wskazywało, że Franciszek dobrze się orientuje w realiach polskiego katolicyzmu. Jeśli tak – to wie, że taki model Kościoła jest w Polsce w poważnym kryzysie i że księża są autorytetem dla coraz mniejszej liczby wiernych.

Skoro jest tak dobrze – można zapytać – to czemu jest tak źle? Działania takie jak wizyty *ad limina* w obecnej postaci nie rozwiążą tego problemu. Jest to bowiem działanie, które – choć w zamyśle dotyczy całego Kościoła lokalnego – ma charakter klerykalny: angażuje tylko biskupów, jest nieprzejrzyste dla reszty wspólnoty. We współczesnym kontekście można powiedzieć: jest zupełnie niesynodalne.

©℗ PIOTR SIKORA

RDC POLSKIE RADIO

MARIUSZ SEPIOŁO opowie Grzegorzowi Chlaście o bibliotece zapachów dla niewidomych (tekst na s. 86). Słuchaj w środę 10 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

WOJCIECH

Bonowicz: *„Płyniesz wreszcie swobodny…”*

Umarł mi przyjaciel. I co powiedzieć? Wspomnienia może i są słodkim pokarmem, ale na razie bolą. Ktoś drogi był i go nie ma. Śmiał się, a teraz się nie śmieje. Chciał gadać długo w noc, a teraz żal, że się powiedziało: „śpijmy” – bo śpi i się nie budzi.

Poznaliśmy się na pierwszym roku polonistyki. W grupie, prócz nas, było szesnaście koleżanek. „Skąd jesteś?”. „Z Oświęcimia”. „O, a ja się w Oświęcimiu urodziłem”. „A gdzie mieszkałeś?” „Na Buczka”. „A ja na Piłsudskiego”. „Ja w blokach”. „Ja w przedwojennym ceglanym domu”. Rozmowa jak z podręcznika do nauki języków obcych. Początek przyjaźni.

Z nikim tyle nie rozmawiałem o literaturze, ile z nim. Chodziliśmy wspólnie na zajęcia, dzieliliśmy się lekturami, kto z której zrobi notatki. Obaj byliśmy skrupulatni; przez lata żartowało się, że zrobione przez Jarka Górnickiego streszczenie „Wojny i pokoju” było niemal tak obszerne jak sama książka. Pisaliśmy wiersze, ale na początku nie pokazywaliśmy jeden drugiemu. Dzięki Jarkowi zacząłem słuchać więcej muzyki. Jako pierwszy puścił mi „Historię podwodną” Lecha Janerki. Poza tym lubił reggae, w liceum miał nawet własny zespół, który nazwał Zupa Nic. Ja wcześniej słuchałem dużo punka. Nasze wiersze nie były punkowe, podobał nam się Eliot. A potem to już wszystko nam się podobało, bo przyszedł 1989 rok i na uniwersytecie pojawili się Mrożek, Miłosz, Herling-Grudziński… W trakcie pierwszego spotkania z Miłoszem pilnowaliśmy z Jarkiem porządku. Byliśmy już wtedy po lekturze „nowojorskiego” numeru „Literatury na Świecie” i Dylana Thomasa…

Nie, nie da się tak opowiadać. Zbyt wiele rzeczy ważnych umyka. W jednym z wierszy Jarek sparafrazował znane zdanie Miłosza: „Co niewypowiedziane zmierza do nieistnienia”. A pod spodem dopisał: „Co nie istnieje zmierza w naszą stronę”.

Na pogrzebie jedna z jego siostrzenic powiedziała: „Dziękuję ci, wujku, za wszystkie sekrety, których nie zdradziłeś”. Te słowa uświadomiły mi coś, co powinienem dostrzec wcześniej: Jarek był człowiekiem dyskretnym. Kiedy się spotykaliśmy, rzadko mówił o wspólnych znajomych. I nigdy źle. Jeżeli kogoś krytykował po imieniu, to macherów od oświaty. Tuż po studiach zaczął pracować w Zespole Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych w Oświęcimiu. Przyszłe fryzjerki i kucharzy próbował zarazić miłością do literatury i piosenek Jacka Kaczmarskiego. Martwił się, że kolejne reformy coraz bardziej oddalają nauczyciela od uczniów. Brakuje czasu na najważniejsze w szkole rozmowy – o życiu, o tym, co piękne, o tym, że nie warto tracić czasu. Cieszył się każdą „zarażoną” i „zarażonym”, bolał nad tymi, którym na niczym nie zależało.

Napisał wiersz zatytułowany „Pochwała poezji poza szkołą”. Ropuchy w nim są prawdziwe, bo Jarek mieszkał niedaleko stawów i zakola Soły.

Piękny jest Philip Larkin czytany wieczorem
gdy ropuchy raz jeszcze dają znać o sobie
kiedy zegar nakręcasz przeglądasz zeszyty
myślisz że musisz jutro coś tam komuś wmówić

Piękny jest tom Miłosza i powieść Kundery
fascynująca choć ją czytasz po raz trzeci
tym piękniejsze że forma twoich o nich myśli
pozostanie dla ciebie nie musisz tłumaczyć

poszczególnych linijek i nikt się nie pyta
i nigdy nie ocenisz swoich słów w ich ustach
Płyniesz wreszcie swobodny być może fałszywie
ale Kolumb też przecież chciał tylko do Indii

Thomas cummings rymkiewicz larkin miłosz heaney
egzotyka brzmień obcych przywraca realną
świadomość że w swą podróż zostałeś wysłany
do krain gdzie nikt nigdy nie czyta poezji

Tak właśnie przez lata wyobrażałem sobie Jarka i tak go widzę teraz, kiedy piszę. Jak odrobiwszy całą szkolną robotę, zmęczony, otwiera wino albo zaparza herbatę, wysyła ostatniego esemesa do Kasi, a potem bierze z półki tom wierszy i czyta – czyta zachłannie, wracając do ulubionych utworów jak do starych przyjaciół. ©

JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA” OPUBLIKUJEMY DODATEK SPECJALNY

Nagroda Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

Zostanie ona w tym roku wręczona po raz dwudziesty pierwszy.
W dodatku znajdą się sylwetki tegorocznych laureatów:
ks. Tomáša Halíka, Łukasza Lamży
oraz Hospicjum Domowego Archidiecezji Warszawskiej kierowanego przez ks. Władysława Dudę.

Gala wręczenia Nagrody odbędzie się w Krakowie, 25 listopada, o godz. 18.00, na Scenie Nowohuckiego Centrum Kultury.

znak ERGO HESTIA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

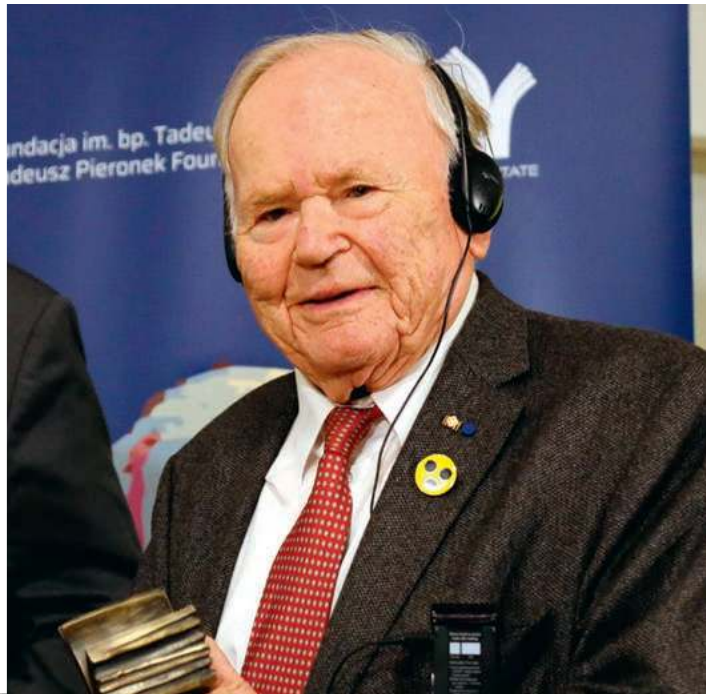

Tegoroczni Laureaci Nagrody im. bp. Tadeusza Pieronka: ks. Tomáš Halík oraz Horst Langes. Kraków, 29 października 2021 r.

Czy Unia się ostanie

ARTUR SPORNIAK

Upadające autorytety, dekadencja demokracji, ataki na praworządność, głupota wygrywająca z wiedzą – jest się nad czym zastanawiać.

Na ekranie najpierw pojawia się archiwalne nagranie. Bp Tadeusz Pieronek mówi: „Żadnym bohaterem się nie czuję. Jestem jednym z normalnych ludzi – no, może takich trochę... pokręconych", uśmiecha się. Potem tytuł filmu „Biskup Pieronek i jego Europa" oraz kadr ukazujący spoglądającego w dal hierarchę. Po chwili projekcja się urywa. Cichnie też muzyka. Filmu nie będzie. Wyświetlona plansza wyjaśnia, że z organizowanego 28 października „Wieczoru imieninowego" oraz z produkcji przygotowywanego z tej okazji filmu wycofał się rektor Uniwersytetu Papieskiego Jan Pawła II. Nastąpiło to „po rozmowie z Abp. prof. dr. hab. Markiem Jędraszewskim, Wielkim Kanclerzem UPJPII" – tłumaczył rektor w liście do prezesa Fundacji im. Tadeusza Pieronka, Michała Góry. Jak dowiedział się „Tygodnik Powszechny", osobom związanym z UPJPII i przygotowującym film, które chciały go dokończyć bez patronatu uniwersytetu, dano do zrozumienia, by tego nie robiły.

Dekalog Pieronka

Mimo to odbył się „Wieczór imieninowy", rozpoczynający tegoroczną Międzynarodową Konferencję „Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej", zatytułowaną „Chrześcijanie Europy wobec kryzysów". Bp. Pieronka w sali Pałacu Krzysztofory – gościnnie użyczonej przez prezydenta Miasta Krakowa – wspominali była premier Hanna Suchocka i prof. Rocco Buttiglione (prof. Andrzej Zoll nie dojechał). Podkreślano jego odwagę – wyrażania własnych poglądów i rozmawiania z politykami. Żywa pamięć o bp. Pieronku trzy lata po jego śmierci została pozytywnie zweryfikowana, gdy prowadzący wieczór ks. Kazimierz Sowa zaproponował audytorium stworzenie „dekalogu wartości Pieronka". Mówiono o otwartości na innych, ciekawości ludzi, dialogu, poczuciu humoru, współpracy i solidarności, dążeniu do prawdy. Zauważono, że dla Pieronka Europa była gwarancją pokoju i wolności.

Były rektor UPJPII ks. Wojciech Zyzak mówił o dwóch sytuacjach, gdy na twarzy biskupa dostrzegł łzy świadczące o jego wrażliwości: przy grobach polskich franciszkanów zamordowanych przez komunistyczne bojówki w Pariacoto w Boliwii oraz podczas rozmowy o uchodźcach w Radiu Watykańskim. Wspomniano też o mądrości, a jako dziesiątą wartość wymieniono umiłowanie życia (jak zauważył ks. Sowa, biskup był świetnym kucharzem). Hanna Suchocka wskazała jeszcze na głęboką wiarę.

Gdzie odprawić mszę

Zainicjowana „Pieronkaliami" trzydniowa konferencja ma już 20-letnią tradycję. Pierwsza konferencja z cyklu „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej" odbyła się w 2001 r. z inicjatywy bp. Pieronka. Obecna stanowi nowe otwarcie cyklu. Świadczy o tym zmiana nazwy – „Kościół katolicki" został zastąpiony „chrześcijanami". To „znaczne poszerzenie pola do prowadzenia debaty" – tłumaczy organizator, Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka. Stąd m.in. obecność na I Sesji Panelowej pt. „Kryzys systemów wartości – współczesna wizja człowieka" zwierzchnika Kościoła ewangelicko-augsburskiego

MATERIAŁ PROMOCYJNY

GRZEGORZ KOZAKIEWICZ X2

w RP bp. Jerzego Samca (choć od początku konferencje miały ekumeniczny rys). Za korektą tytułu poszła zmiana logo: wpisaną w wieniec gwiazd kopułę bazyliki św. Piotra zastąpił symbol ryby z krzyżem.

Na tę ewolucję wpływ miała i śmierć bp. Pieronka w grudniu 2018 r., i zmiana rządcy archidiecezji w 2017 r. Od początku abp Jędraszewski odnosił się do inicjatywy z dystansem. Co roku mszę towarzyszącą wydarzeniu sprawował metropolita krakowski – od 2017 r. tę rolę przejął metropolita emeryt kard. Stanisław Dziwisz. W tym roku organizatorzy mieli kłopot ze znalezieniem miejsca – Eucharystia nie mogła się odbyć ani w bazylice mariackiej, ani w akademickiej kolegiacie św. Anny. Gościnny okazał się opiekun kościoła świętych Piotra i Pawła, gdzie pochowany został bp Pieronek. Mszę sprawował bp Janusz Stepnowski, delegat episkopatu ds. kontaktów z Komisją Konferencji Biskupów Unii Europejskiej (COMECE), wraz z bp. Antoine'em Hérouardem, przewodniczącym Komisji ds. Społecznych COMECE, i księżmi obecnymi na konferencji. Żaden z nich nie reprezentował oficjalnie Kościoła krakowskiego.

Zawał demokracji

COMECE jest jednym ze stałych współorganizatorów konferencji – potwierdziło to powitalne wystąpienia online jej przewodniczącego – kard. Jeana-Claude'a Hollericha. Pozostali współorganizatorzy to Fundacja Roberta Schumana, Grupa Europejskiej Partii Ludowej w PE oraz Delegacja Polska we frakcji Europejskiej Partii Ludowej w PE (polscy posłowie EPL Jan Olbrycht i Andrzej Halicki otwierali konferencję). W tym roku z finansowania spotkań wycofał się główny dotychczasowy sponsor – Fundacja Konrada Adenauera.

We wprowadzeniu do I sesji (fragment publikujemy obok) ks. Tomáš Halík wymienił patologiczne formy chrześcijaństwa. Jego zdaniem, „chrześcijaństwo jako nostalgia za przednowoczesnym Christianitas, chrześcijaństwo jako ideologia polityczna populistów i nacjonalistów, Kościół jako zamknięty klerykalny system władzy, fundamentalizm jako aroganckie roszczenie do monopolu posiadania prawdy – są tylko »cieniami martwego Boga«". Obok bp. Jerzego Samca w sesji uczestniczyli Massimiliano Signifredi ze Wspólnoty Sant'Egidio i sekretarz generalny COMECE ks. Manuel Barrios Prieto, a dyskusję prowadził były ambasador UE przy Stolicy Apostolskiej Jan Tombiński.

Podczas II sesji prowadzonej przez Jarosława Flisa zastanawiano się nad kryzysem demokracji przedstawicielskiej i praworządności. Pierwszy rzecznik Trybunału Sprawiedliwości UE prof. Maciej Szpunar wskazał, że „z natury słaba" władza sądownicza paradoksalnie nabiera znaczenia podczas kryzysu praworządności – polskie sądy dopiero teraz zaczęły spoglądać na wyroki TSUE. Z kolei prof. Fryderyk Zoll zauważył, że ignorując praworządność i prawo unijne, nie tyle „wyszliśmy z Unii", co „wyszliśmy z Polski". Zastanawiano się wręcz, czy od przeżywającej ostry zawał „demokracji przedstawicielskiej" nie byłaby lepsza „demokracja losowo wybieranych przedstawicieli", jak wskazują niektóre eksperymenty. Wiceprzewodnicząca PE Roberta Metsola mówiła o błędach Unii, a Radek Sikorski o błędach PO.

Dialogiczność konferencji została zweryfikowana, gdy jedna z uczestniczek zarzuciła rozmówcom ignorowanie „woli większości narodu". Podjęto z nią rozmowę nie tylko podczas panelu, ale także w kuluarach.

III sesja prowadzona przez Dominikę Szczawińską traktowała o kryzysie klimatycznym. Paneliści – Kamil Wyszkowski, prezes Rady United Nations Global Compact Network Poland, Dorota Jarosińska z WHO, poseł PE Adam Jarubas oraz bp Antoine Hérouard – zauważali, że w tej dziedzinie „wiedza przegrywa z głupotą", stąd pilna potrzeba edukacji, przy czym głos Kościoła, np. w Polsce, jest słabo słyszalny.

W ramach 21. Konferencji odbyła się trzecia edycja gali Nagrody im. bp. Tadeusza Pieronka „In Veritate" – „za wybitne postawy i osiągnięcia w łączeniu wartości chrześcijańskich i europejskich". Laureatami zostali ks. Tomáš Halík oraz Horst Langes, honorowy przewodniczący Fundacji Roberta Schumana i przyjaciel Polski. Laudację wygłosili laureaci wcześniejszych edycji: Hanna Suchocka i Rocco Buttiglione.

Krakowskie spotkanie zdominowane zostało niepokojącym pytaniem: czy Unia Europejska przetrwa? Nikt na razie nie jest w stanie na nie odpowiedzieć. ©℗

Poważne zadanie naszych czasów

WSPÓŁCZESNA WIZJA osoby ludzkiej była krytykowana za nieobecność w niej transcendencji. Chrześcijaństwo zna trzy powiązane ze sobą formy transcendencji, trzy sposoby wyzwolenia ludzkiego „ja" z więzienia egocentryzmu: wiarę, nadzieję i miłość. Transcendencja religijna, relacja człowieka z Bogiem, ucieleśnia się w chrześcijaństwie w relacji do bliźnich. Nasza solidarność z miłością do innych to teofania, miejsce samoobjawienia się Boga. „Kto nie kocha, nie zna Boga".

NALEŻY ZWALCZAĆ POKUSY nie tylko osobistego, ale i zbiorowego egocentryzmu i narcyzmu. Niebezpiecznym przejawem zbiorowego egoizmu jest nacjonalizm, egoizm narodowy. Nie możemy pozwolić populistom i nacjonalistom, by zagrażali jedności i solidarności Europy, oraz ryzykować samobójstwem politycznym i ekonomicznym narodów europejskich. Chrześcijanin nie może być nacjonalistą – mówi papież.

SOLIDARNOŚĆ Z INNYMI NARODAMI w rodzinie Europy, poszukiwanie wspólnych rozwiązań poważnych kryzysów – uchodźczego, ekologicznego, globalizacji ekstremizmu i pandemii chorób zakaźnych – jest sprawdzianem dojrzałości i autentyczności naszego chrześcijaństwa. Jest to zadanie nie tylko polityczne, ale także kulturowe, duchowe i moralne naszych czasów.

NIE MOŻEMY POZWOLIĆ populistom i nacjonalistom na nadużywanie terminologii, symboli i energii moralnej religii chrześcijańskiej jako instrumentu dla swoich interesów. Nie możemy pozwolić, by zdyskredytowali Kościół i chrześcijaństwo. Naszym obowiązkiem jest ukazanie innego oblicza chrześcijaństwa: głębszego i szerszego ekumenizmu, prawdziwej katolickości. Nie chodzi tylko o jedność chrześcijan i dialog międzyreligijny. We „Fratelli tutti" Franciszek ukazuje jeszcze inny wymiar ekumenizmu: powszechne, ogólnoludzkie braterstwo.

© TOMÁŠ HALÍK

Fragment wprowadzenia ks. Tomáša Halíka do sesji „Kryzys systemów wartości. Współczesna wizja osoby ludzkiej".

ORGANIZATOR
IN VERITATE
Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka
Tadeusz Pieronek Foundation
fundacja.pieronek@gmail.com
WSPÓŁPRACA
grupa epl
COMECE
HONOROWY PATRONAT
Prof. Jacka Majchrowskiego
Prezydenta Miasta Krakowa
Kraków

W STRONĘ TOTALITARYZMU

System rządów na Białorusi ewoluuje w kierunku, dla którego określenia „autorytaryzm" czy „dyktatura" są już zbyt słabe.

WOJCIECH KONOŃCZUK

W ostatnich latach reżim Aleksandra Łukaszenki często nazywany był przez media i niektórych badaczy „ostatnią dyktaturą w Europie". Abstrahując od przymiotnika „ostatnia" (co wobec tego z reżimem Putina?), do sierpnia 2020 r. rzeczywiście można było mówić o skonsolidowanym systemie autorytarnym. Paradoksalnie, występowały w nim jednak pewne „oazy" swobody. I tak, opozycji nie dopuszczano do władzy, ale nie zakazywano działalności partii opozycyjnych. Rozwijający się dialog z Zachodem sprawił, że reżim wypuścił ostatnich więźniów politycznych. Telewizja była pod pełną kontrolą władz, ale istniały niezależne portale internetowe, które wiedziały, gdzie są granice autocenzury. W centralnie sterowanej gospodarce możliwe było powstanie Parku Wysokich Technologii – białoruskiej Doliny Krzemowej. Zakazywano demonstracji, ale działały organizacje pozarządowe, a granice państwa były otwarte.

Punktem zwrotnym w ewolucji reżimu stały się sfałszowane wybory prezydenckie w sierpniu 2020 r. oraz – w ich konsekwencji – protesty w całym kraju. Przestraszony masowym buntem społecznym Łukaszenka uznał, że tylko ostre przykręcenie śruby uratuje jego władzę. Po „oazach" nie pozostał ślad.

„Do niewoli nie bierzemy"

Gdy późną jesienią 2020 r. protesty zaczęły wygasać, Łukaszenka zaczął odzyskiwać utraconą pewność siebie. Podczas spotkania z przedstawicielami instytucji siłowych dał sygnał do kontrataku i zemsty: „Od dzisiaj nikogo do niewoli nie bierzemy (...) niech wszyscy zrozumieją naszą determinację. Nie mamy dokąd się cofnąć i cofać się nie zamierzamy".

I rzeczywiście, kraj zmienił się nie do poznania. Represje przybrały charakter masowy. Od początku protestów zatrzymano ok. 35 tys. ludzi. Większość skazano na grzywny i kilkunastodniowe areszty, ale wobec niemal 5 tys. wszczęto sprawy karne, z których jak dotąd żadna nie zakończyła się uniewinnieniem. Sądy zaczęły wydawać drakońskie wyroki za każdy przejaw już nie tylko działalności, ale choćby tylko postawy opozycyjnej.

Przykładów są tysiące, a przecież wiele (pseudo)procesów jeszcze się nie zakończyło. Wspomnijmy jedynie wybrane. Ponad 70 osób biorących udział w opozycyjnym happeningu na placu w Brześciu oskarżono o „stworzenie realnego zagrożenia dla bezpieczeństwa w ruchu drogowym". Większość skazano na kary od 12 do 20 miesięcy więzienia. Za napis na chodniku „Nie zapomnimy" pięciu mieszkańców Mińska usłyszało wyroki od półtora do dwóch lat więzienia. Nawet za wywieszenie biało-czerwono-białej flagi – historycznej flagi Białorusi, dziś symbolu walki o wolność – w oknie mieszkania można dostać 15 dób aresztu i zostać tam pobitym (w „celach profilaktycznych").

Za bukiet róż

Obecnie za więźniów politycznych uznaje się 827 osób, choć z całą pewnością ta lista jest znacznie dłuższa. Dla porównania: w Rosji status ten przyznano ok. 500 osobom. Łatwo policzyć, że proporcjonalnie do populacji obu krajów liczba skazanych w procesach politycznych jest na Białorusi dwudziestoczterokrotnie większa.

Reżim działa jak taran, często każąc na oślep. Nic dziwnego, że dochodzi do sytuacji kuriozalnych. Np. pewien właściciel wiejskiego domu został ukarany grzywną za posiadanie biało-czerwonej tabliczki z numerem posesji. Emerytce z Mińska wymierzono grzywnę o równowartości tysiąca złotych za biało-czerwone róże, która niosła na urodziny córki. Nałożenie skarpetek w tych samych kolorach oznacza 15 dni aresztu. Pracownik firmy kurierskiej otrzymał karę w wysokości 60 minimalnych pensji za czerwoną kurtkę i czerwoną torbę kurierską – zbyt rzucał się w oczy. Gdy kilku emerytów urządziło w pociągu z Mińska do Zasławia wspólne czytanie książek białoruskich klasyków, zostali zatrzymani i spędzili 20 dni w areszcie – sąd uznał, że brali udział w nielegalnym „wydarzeniu masowym".

Gdy ukarani pytają o podstawę prawną kar, słyszą w odpowiedzi, że to za „polityczne prowokacje".

Pod zarzutem ekstremizmu

W ostatnich miesiącach zamknięto wszystkie najważniejsze media niezależne, których dziennikarze – o ile nie trafili do aresztu – zostali zmuszeni do emigracji, gdzie w większości kontynuują działalność. Nie mogąc ich tam dopaść, na mocy nowej ustawy reżim uznał takie

DOMINIKA ZARZYCKA / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Białorusini mieszkający w Polsce i wspierający ich Polacy protestują przeciwko masowym represjom na Białorusi. Na plakacie zdjęcia kilkunastu osób, które zginęły od sierpnia 2020 r. z rąk funkcjonariuszy białoruskich służb. Rynek Główny w Krakowie, 29 maja 2021 r.

media za organizacje ekstremistyczne. Za współpracę z nimi grozi kara do 7 lat więzienia. Nawet zwykłe udostępnienie w sieciach społecznościowych (np. na Telegramie) materiału telewizji Biełsat czy postu kanału Nexta może oznaczać 15 dni aresztu.

Reżim najwyraźniej uznał, że dotychczasowe kary są zbyt łagodne i w październiku prawo zaostrzono. Pojawiła się obawa, że karane będzie nawet subskrybowanie (czyli po prostu – czytanie) mediów uznanych za ekstremistyczne. Choć taki zapis bezpośrednio się nie pojawił, to Główny Zarząd Walki z Przestępczością Zorganizowaną i Korupcją (działający w strukturze MSW) ostrzegł, że korzystanie z ekstremistycznych mediów wiąże się z odpowiedzialnością karną. Standardem jest, że w przypadku zatrzymania jedną z pierwszych czynności milicji jest odbieranie smartfonu, aby sprawdzić, czy nie ma w nim „treści niedozwolonych".

Nowe prawo ma być sposobem dalszego zastraszania Białorusinów, aby przestali korzystać z mediów internetowych, z którymi reżim wciąż nie jest sobie w stanie poradzić. Można przypuszczać, że działania te przynajmniej częściowo okażą się skuteczne. Ci, którzy mieli wątpliwości, jak interpretować nowe przepisy, musieli się ich pozbyć po tym, gdy w końcu października w Homlu zatrzymano niemal 30 osób za subskrybowanie jednego z opozycyjnych mediów internetowych.

Próbie ograniczenia wpływu opozycyjnych mediów towarzyszy bezprecedensowa agresja ze strony mediów reżimowych. Atmosferę dobrze oddają słowa ↦

↦ Ryhora Azaronka, 26-letniej gwiazdy białoruskiej propagandy: „Nie ma żadnego dziennikarstwa, nie istnieje żadna etyka dziennikarska. Są żołnierze wojny informacyjnej oraz ci, co przygotowują prognozę pogody".

Emigracja, izolacja

Represjom towarzyszy zmuszanie do emigracji ludzi ze środowisk antyreżimowych. Nie tylko dziennikarze, lecz także wielu ekonomistów, politologów czy programistów (zwłaszcza ci ostatni byli aktywni podczas protestów) wyjechało niejako na wszelki wypadek. Spokojny sen w Warszawie, Wilnie lub Kijowie przeważa nad lękiem przed spędzeniem kilku lat w więzieniu. Trudno jest oszacować liczbę takich emigrantów, ale to co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób.

Choć na pozór może się to wydać sprzeczne, stymulowaniu emigracji osób podejrzanych o nielojalność towarzyszy uszczelnianie granic. W grudniu 2020 r. reżim wprowadził nowe przepisy regulujące przekraczanie wszystkich przejść granicznych poza tymi z Rosją. Odtąd ci, którzy chcą wyjechać z kraju, muszą posiadać ku temu dobry powód, np. podpisaną umowę o pracę czy leczenie. Formalną przyczyną tych nowych przepisów była epidemia, w istocie jednak chodzi o ograniczenie wyjazdów zagranicznych zwykłych obywateli. Od tego czasu liczba przekroczeń granicy przez Białorusinów spadła kilkukrotnie, a społeczeństwo znalazło się w izolacji (szczególnie widoczna jest tu próba ograniczenia wyjazdów młodych ludzi na studia zagraniczne).

A skoro o granicy mowa: naturę reżimu pokazuje również wywołany sztucznie kryzys na granicy z Unią Europejską. Mińsk instrumentalnie wykorzystuje tysiące migrantów i uchodźców z Bliskiego Wschodu i Afryki, aby stwarzać problemy unijnym sąsiadom. Narastający kryzys humanitarny i śmierć ludzi nie mają dla Łukaszenki znaczenia.

„Nie czas na prawo"

Główne filary władzy to organy siłowe i tzw. wymiar sprawiedliwości. O żadne inne grupy zawodowe reżim nie dba tak, jak o milicjantów, funkcjonariuszy KGB (bezpieka nosi taką samą nazwę jak w czasach sowieckich), sędziów i prokuratorów. Są orężem, który ma karać politycznych wrogów. Konstytucja i ustawy stały się fikcją, a sygnał do ignorowania prawa dał sam Łukaszenka. Podczas spotkania z pracownikami Prokuratury Generalnej stwierdził: „Nie czas na prawo. Trzeba podjąć ostre środki, aby zatrzymać różnych łajdaków".

> Reżim zdaje sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, nie zdoła przekonać do siebie społeczeństwa. **Pozostaje przemoc.**

Reżim troszczy się o komfort swoich funkcjonariuszy. Głośnym echem odbiła się sprawa 23-letniej prokuratorki Aliny Kasjanczik, oskarżycielki w procesie Darii Czulcowej i Jekateriny Andrejewej, dziennikarek Biełsatu skazanych na 2 lata więzienia. Gdy właścicielka mieszkania, które prokuratorka wynajmowała, zerwała z nią umowę, oskarżono ją o naruszenie zasady „równoprawności obywateli" i skazano na 2 lata więzienia w zawieszeniu.

Za byle szturchnięcie mundurowego można trafić na kilka lat za kraty. Parę miesięcy temu sądy zaczęły karać nawet za negatywne opinie pod adresem funkcjonariuszy. Wystarczy niewinny, zdawałoby się, komentarz w sieciach społecznościowych, by dostać wyrok bezwzględnego więzienia. Przykładem Dmitrij Czachuta z Mińska, skazany na 2 lata pozbawienia wolności za „obrazę" mundurowego. Takich przypadków są dziesiątki.

Inwigilacja totalna

Na przełomie września i października za „obrazę władzy i nawoływanie do waśni społecznych" zatrzymano ok. 200 osób. Są w areszcie, bez kontaktu z adwokatami, z zakazem otrzymywania paczek oraz korespondencji. Ludzie ci zawinili tym, że śmieli wyrazić w internecie swoje zdanie o zabiciu przez kagiebistów programisty Andrieja Zelcera. Ten 31-latek, broniąc się przed atakującymi go agentami KGB, śmiertelnie postrzelił jednego z nich (z posiadanej legalnie broni myśliwskiej), po czym został zastrzelony.

Wszystkie te sytuacje pokazują, że reżim jest coraz skuteczniejszy w inwigilacji aktywności obywateli w mediach społecznościowych i na różnych forach internetowych. Trudno nie dopatrzeć się tu podobieństw z systemem inwigilacji w chińskim internecie. Białoruskie służby nie są tak zaawansowane i skala ingerencji jest mniejsza, ale w szybkim tempie nadrabiają zaległości. Wyroki więzienia za komentarze w internecie, nagłaśniane przez media państwowe, mają służyć jako ostrzeżenie.

Standardem jest też zastraszanie adwokatów broniących opozycjonistów czy wręcz pozbawianie ich prawa wykonywania zawodu. Podczas procesu Wiktora Babaryki – jednego z liderów opozycji, skazanego na 14 lat więzienia – jego adwokaci zmieniali się trzykrotnie, gdyż kolejnych pozbawiano licencji.

Równocześnie nigdy nie wszczęto żadnej sprawy wobec mundurowych, którzy odpowiadają za masową przemoc. Żaden z kilkunastu przypadków śmierci osób protestujących lub już uwięzionych (tj. zmarłych w areszcie w podejrzanych okolicznościach) nie został wyjaśniony.

Narodziny totalitaryzmu

Do niedawna trudno byłoby uwierzyć, że można karać ludzi pod tak absurdalnymi zarzutami. Na Białorusi podstawowe prawa i wolności ostatecznie przestały istnieć. Model zarzadzania państwem przypomina stan wojenny. Reżim zdaje sobie sprawę, że cokolwiek zrobi, nie zdoła przekonać do siebie społeczeństwa. Pozostaje przemoc, mająca wyeliminować wszelkie przejawy postaw niezgodnych z linią reżimu – wyeliminować i zastraszyć.

Białoruski system polityczny zaczął absorbować elementy totalitarne. W klasycznej pracy „Totalitarian Dictatorship and Autocracy" z 1956 r. Zbigniew Brzeziński i Carl Friedrich wymienili sześć głównych cech władzy totalitarnej. Są to: ideologia, system jednopartyjny, terror wobec realnych lub wyimaginowanych przeciwników, kontrola nad przekazem informacji, monopol na przemoc, pełna kontrola nad gospodarką.

W przypadku reżimu Łukaszenki można stwierdzić, że dwie wymienione cechy są już w pełni obecne (terror i monopol na przemoc), a kolejne dwie częściowo (kontrola nad informacją i gospodarką). Specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. praw człowieka na Białorusi Anaïs Marin w niedawnym raporcie również zauważa, że trwające „czystki przypominają te praktykowane przez państwa totalitarne".

Prognozy są ponure: w najbliższej przyszłości można spodziewać się jedynie dalszego umacniania obecnych tendencji.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

CHESNOT / GETTY IMAGES

Éric Zemmour na promocji swojej książki „Francja nie powiedziała ostatniego słowa". Wersal, 19 października 2021 r.

Sezon na Zemmoura

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Jeśli wierzyć sondażom, ultraprawicowy publicysta i polityczny nowicjusz może wejść do drugiej tury wyborów prezydenckich we Francji.

Już była w ogródku, już witała się z gąską" – tak oto, parafrazując znaną bajkę „Lis i kozioł", można by ująć obecne położenie Marine Le Pen, liderki francuskiej skrajnej prawicy. Jeszcze kilka tygodni temu mogła być niemal pewna, że przejdzie do drugiej tury wyborów prezydenckich, zaplanowanych na kwiecień 2022 r., i że będzie w niej konkurować z urzędującym prezydentem, centrystą Emmanuelem Macronem. Tym samym doszłoby do powtórki pojedynku z 2017 r., który zdecydowanie wygrał Macron.

Nikt nie spodziewał się, że ktoś może zagrodzić Marine Le Pen drogę do drugiej tury. Tymczasem pod koniec października okazało się, że do walki o Pałac Elizejski dołączył znienacka i przebojem nowy gracz: 63-letni dziennikarz Éric Zemmour. W niektórych sondażach zrównał się z Le Pen, a w innych ją nawet wyprzedził, przekraczając 15 proc. poparcia i plasując się za prowadzącym w rankingu Macronem, którego popiera średnio co czwarty respondent.

Bożyszcze antysalonu

Kim jest ten drobny człowiek o nerwowych ruchach, werbalny prowokator, wielbiony przez jednych, a nienawidzony przez drugich?

Krótko mówiąc, to najbardziej dziś znany francuski publicysta, który postanowił zawalczyć o najwyższy urząd w państwie. Formalnie rzecz biorąc, to wciąż kandydat nieoficjalny, bo do chwili oddania tego numeru „Tygodnika" do druku nie potwierdził, że będzie startował. Ale nikt w to nie wątpi: jest sekretem poliszynela, że od miesięcy jego sztab dwoi się i troi, zbierając podpisy pięciuset merów francuskich miast (konieczne do rejestracji kandydata) oraz pieniądze na kampanię.

Zemmour przedstawia się chętnie jako ofiara „systemu" politycznej poprawności. Prawda jest jednak taka, że właśnie ten „system" przyniósł mu przed kilkunastu laty popularność. Rozgłos zdobył dzięki stałym występom w popularnym sobotnim *talk-show* w telewizji publicznej. Równocześnie współpracował z mainstreamowymi mediami, jak dziennik „Le Figaro" czy radio RTL. Znany z konserwatywnych poglądów, w pewnym momencie przesunął się tak bardzo na prawo, że publiczna telewizja zakończyła z nim współpracę. Przeszedł wtedy do prywatnej konkurencji. Jego wieczorne programy publicystyczne w stacji CNews gromadziły przed ekranem nawet 800 tys. telewidzów.

Zemmour jest nie tylko telewizyjnym fighterem, ale też autorem książek, w których wykłada swoje poglądy na współczesność i historię Francji. Najbardziej znana z nich – „Francuskie samobójstwo", polityczny bestseller z 2014 r. – to frontalny atak na wszystko, czego Zemmour nie znosi: islam, liberalizm, feminizm, Unię Europejską i USA. Ogłosił w niej śmierć Francji za sprawą rozpływania się francuskiej tożsamości w morzu globalizacji, islamizacji i zgubnych wpływów Brukseli. Teraz, już jako prawie kandydat na prezydenta, głosi, że ratunek dla kraju jest jeszcze możliwy. Oczywiście pod warunkiem, że Francuzi go wybiorą.

Jego poglądy sytuują się na prawo od Marine Le Pen. Gdyby zliczyć razem ich sondażowe poparcie, skrajna prawica gromadzi razem około jednej trzeciej głosów. Tego jeszcze we Francji nie było.

Zemmoura i Le Pen więcej łączy niż dzieli: niechęć do muzułmanów (a nie tylko do islamizmu jako polityczno-religijnej ideologii), odrzucenie Unii Europejskiej w jej obecnej postaci, admiracja dla rządów silnej ręki. Podobnie jak Marine Le Pen, Éric Zemmour wyrażał się z podziwem o Władimirze Putinie. Kilka lat temu powiedział: „Marzy mi się francuski Putin", chwalił też aneksję Krymu (jako rzekomo należącego „od wieków" do Rosji). Wyraża się z podziwem o Donaldzie Trumpie i Viktorze Orbánie. Ten ostatni we wrześniu przyjął publicystę na prywatnej rozmowie w Budapeszcie (nieco później Orbán rozmawiał też z Le Pen).

„Złodzieje i gwałciciele"

W powszechnym odbiorze Zemmour znany jest przede wszystkim z obraźliwych wypowiedzi wobec społeczności muzułmanów, a także szerzej: wobec imigrantów pochodzących spoza Europy. ↦

↦ To próbka jego retoryki: „Umiarkowani muzułmanie nie istnieją”. Albo: „Trzeba dać muzułmanom wybór między islamem a Francją” (z wywiadu dla telewizji France 2 w 2016 r.). Lub też, z września 2020 r., o nieletnich imigrantach przebywających we Francji bez opieki dorosłych: „Oni nie mają tu nic do roboty, to złodzieje, mordercy, gwałciciele”.

Bodaj żaden inny francuski dziennikarz nie dostał tak wielu pozwów co Zemmour. Często udawało mu się wyjść z sali sądowej obronną ręką. Choć nie zawsze: trzykrotnie sądy uznały go za winnego wypowiedzi „podżegających do nienawiści” przeciwko muzułmanom, skazując na kary grzywny.

Jednak najwyraźniej mu to nie zaszkodziło. Być może nawet utwierdziło jego zwolenników w przekonaniu, że jest męczennikiem walki z polityczną poprawnością.

Niektórzy polemiści wytykają mu, że choć jest zagorzałym przeciwnikiem masowej imigracji, to sam ma obce korzenie. Jego rodzice, Francuzi pochodzenia żydowskiego, przybyli do Paryża z Algierii w latach 50. XX w. Zemmour odpowiada na to, że jest zwolennikiem całkowitej asymilacji imigrantów we Francji, i że sam jest jej najlepszym przykładem.

W otoczeniu książek

Komentator polityczny Olivier Mazerolle uważa, że fenomen popularności Zemmoura wynika głównie z jego ostrej krytyki francuskiej polityki wobec imigrantów w ostatnich 40 latach. Na skutek bezczynności władz – to teza Zemmoura – rozwinęły się getta imigranckie na obrzeżach wielu miast, rojące się od handlarzy narkotyków i islamistów.

– W tej sprawie wielu Francuzów podziela diagnozy Zemmoura. Diagnozy, ale nie rozwiązania. Bo Zemmour nie podaje żadnych sposobów poradzenia sobie z problemem gett, oprócz wyrzucenia muzułmanów czy czarnoskórych z Francji. I nie interesuje go, że są to na ogół obywatele francuscy, urodzeni już we Francji – mówi Mazerolle w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Mazerolle dodaje, że atutem Zemmoura jest elokwencja, oczytanie, znajomość kultury i historii francuskiej. Stąd porównywanie go do Trumpa nie jest trafne: w swoich książkach i filipikach Zemmour sypie jak z rękawa cytatami z literatury, pragnąc – znów w przeciwieństwie do Trumpa – być postrzeganym jako intelektualista. To charakterystyczne dla Francji, gdzie liczący się politycy lubią pozować do zdjęć w otoczeniu książek.

Symptomy kryzysu

Z kolei Bruno Cautrès z paryskiego Instytutu Nauk Politycznych uważa, że w pojawieniu się „zemmouromanii” można widzieć kolejny już symptom załamania się francuskiego systemu politycznego – obok np. ruchu Żółtych Kamizelek (powstały w 2018 r. społeczny ruch protestu, oddolny i przejawiający się w gwałtownych często demonstracjach, skierowany zarówno przeciw wzrostowi kosztów życia, jak też szeroko pojętym elitom).

– Od lat obserwujemy dramatyczny spadek zaufania obywateli do polityków, a także do mediów i związków zawodowych. Dziś mniej niż 15 proc. Francuzów deklaruje zaufanie do jakiejkolwiek partii politycznej – mówi „Tygodnikowi” Cautrès.

Zemmour wszedł w tę próżnię. – Tak wysoka popularność pretendenta bez żadnego doświadczenia politycznego to coś bez precedensu w naszej historii. W 2017 r. Macron też przebojem doszedł do władzy, ale on był przedtem doradcą prezydenta i ministrem finansów – dodaje Cautrès.

Jeśli Zemmour wejdzie do drugiej tury, może w niej uderzyć o szklany sufit: 70 proc. ankietowanych Francuzów uważa, że nie nadaje się on na prezydenta (sondaż Ipsos-Sopra Steria w dzienniku „Le Monde”). Poza tym nie ma on wiele do powiedzenia na tematy, które, sądząc z sondaży, wpłyną na wynik tych wyborów – jak sprawy gospodarcze (poziom życia), zdrowotne (pandemia) czy ekologiczne.

Na tle konkurentów

Jak wygląda dziś krajobraz przed batalią? Najlepszą pozycję startową ma urzędujący prezydent, choć jego bilans jest przez Francuzów mocno krytykowany.

Cautrès: – Na razie Macron nie potrafił przekonać wyborców, dlaczego chce ubiegać się o reelekcję. Zrealizował niektóre z obietnic, jak zmiany podatkowe czy reforma państwowych kolei, ale inne zostały na papierze. Rozczarowujący jest np. bilans jego prób konsolidowania Unii Europejskiej czy francuskiego udziału w walce z kryzysem klimatycznym.

Nad prezydentem krąży wciąż zmora rewolty Żółtych Kamizelek, wywołanej wzrostem cen paliw, której apogeum przypadło na lata 2018-19. Tej jesieni Żółte Kamizelki wróciły na ulice, tym razem wspólnie z przeciwnikami szczepionek i przepustek sanitarnych (ich okazanie jest dziś obowiązkowe w większości miejsc publicznych). I na tym wrzenie raczej się nie skończy, bo ceny paliw i energii znów rosną, a jednocześnie zbliża się kolejna fala epidemii.

Na tle skrajnych konkurentów Macron może jawić się jako arbiter. Sprzyja mu rozproszkowanie lewicy, która nie potrafi wyłonić wspólnego kandydata. Najlepsze notowania ma Yannick Jadot z Partii Zielonych, ale nawet on nie przekracza w sondażach 10 proc. Jeszcze dalej plasuje się lewicowy radykał Jean-Luc Mélenchon, dyżurny kandydat swojej partii Francja Nieujarzmiona. Wobec słabości lewicy wielu jej wyborców już w pierwszej turze chce głosować na Macrona.

Wskazana ostrożność

Olivier Mazerolle uważa, że choć Macron jest faworytem, nie powinien lekceważyć rywali. – Jeśli do drugiej tury wejdzie z nim kandydat umiarkowanej prawicy, którego wkrótce poznamy, to Macron może przegrać – uważa komentator.

Główna formacja tradycyjnej prawicy, Republikanie, swojego kandydata wybierze 4 grudnia w partyjnych prawyborach. O nominację stara się pięcioro polityków, a największe szanse ma dwóch: Xavier Bertrand i Michel Barnier. Obaj doświadczeni, obaj ministrowie za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego. Barnier, były unijny komisarz i negocjator brexitu, jest ceniony za granicą, atutem Bertranda zaś jest większe poparcie sondażowe.

Pół roku przed wyborami ostrożniej jest unikać prognoz. Przypomnijmy tylko, że w 2017 r., na trzy miesiące przed tamtym głosowaniem, konserwatysta François Fillon był pewny zwycięstwa. Wszystko zmieniło się z dnia na dzień, gdy media ujawniły jego nepotyzm. Fillon zaczął tracić wyborców i odpadł w pierwszej turze.

Pycha przesłaniająca ogląd realnej sytuacji, przez Greków zwana *hybris*, zgubiła już niejednego. Macron powinien o tym pamiętać. © SZYMON ŁUCYK

HEIKO JUNGE / AFP / EAST NEWS

To precedensowy wyrok: norweski Sąd Najwyższy uznał niedawno, że wielka farma wiatrowa w Storheia narusza prawa rdzennej ludności. Na zdjęciu: renifer obok turbin wiatrowych w Storheia, 13 października 2020 r.

Wszyscy wrogowie reniferów

ULA IDZIKOWSKA Z PÓŁNOCNEJ NORWEGII

Tradycyjnemu stylowi życia norweskich Saamów zagrażają nie tylko zmiany klimatyczne, ale czasem także proces przechodzenia na odnawialną energię.

Trzask. I jeszcze jeden. Anders Eira odwraca się zaskoczony. Przecież rzeka powinna być skuta lodem, i to stabilnym. – Tamtej zimy, gdy straciliśmy kilka reniferów, pod którymi załamał się lód, uznaliśmy to za wypadek, wtedy nikt jeszcze nie mówił o zmianach klimatycznych – Eira wspomina rok 1994. – Gdy byłem nastolatkiem, droga z pastwisk letnich na zimowe prowadziła przez lód na rzece. Teraz nasze renifery muszą ją przepływać – dodaje.

50-letni Eira prowadzi ostrożnie. Wczoraj, 20 października, spadł tu pierwszy śnieg. Na drodze do miasteczka Kárášjohka (to saamska nazwa, norweska to Karasjok) na dalekiej północy Norwegii może być ślisko.

– Rozejrzyj się. Co tu widzisz? Las! – Eira nie czeka na moją odpowiedź. – Wcześniej tak nie było, tundra pokrywała znacznie większy obszar.

W języku fińskim tundra – bezdrzewna formacja – oznacza dosłownie „łysą górę". Występuje w strefie arktycznej i subarktycznej na północy globu ziemskiego. Również w Sápmi, czyli Kraju Saamów (bardziej znanym jako Laponia), który zajmuje powierzchnię mniej więcej 400 tys. km² i rozciąga się na obszarze Norwegii, Szwecji, Finlandii i Rosji. Od tysięcy lat ziemie te zamieszkują Saamowie, nazywani też Lapończykami – chociaż część z nich uważa to określenie za obraźliwe, bo w językach skandynawskich ma negatywne znaczenie.

Szacuje się, że w całym Sápmi, na terenie czterech państw, mieszka ich między 70 tys. a 110 tys. Hodowlą reniferów zajmuje się ok. 3 tys. z 40 tys. norweskich Saamów. Chów tych zwierząt to zasadnicza część saamskiej kultury i tożsamości. Bez reniferów straciliby kontakt z naturą, a także ze znaczną częścią języka, bo tradycyjna terminologia jest przekazywana z pokolenia na pokolenie wraz z wiedzą o otoczeniu.

Tundra jest kluczowa dla hodowli reniferów. Anders Eira, który oprócz pracy dla fundacji Protect Sápmi (Ochronić Sápmi) opiekuje się własnym stadem, wyjaśnia przyczynę: – Na otwartej przestrzeni wiatr rozwiewa śnieg, renifery łatwo znajdują mchy i porosty. Natomiast tereny leśne kumulują śnieg, utrudniają poruszanie się i dostęp do pożywienia. Zmniejszają też szanse na ucieczkę przed drapieżnikami. Rosomak tundrowy nie zapada się tak łatwo w puchu jak ważący nawet do 300 kilo renifer.

↦

ULA IDZIKOWSKA 2X

Inga Anne Karen Sara w budynku Diehtosiida w Guovdageaidnu (na zdjęciu z lewej), gdzie mieszczą się biura doradców saamskich parlamentarzystów, archiwum Saamów oraz saamska szkoła wyższa. Październik 2021 r.

Gdy coś jest nie tak

↦ Arktyka ociepla się szybciej niż reszta świata. Efekt cieplarniany sprawia, że w lutym potrafi spaść deszcz, a temperatury bywają dodatnie. – Choć takie ocieplenie może trwać tylko dobę, skutki są katastrofalne – mówi Eira. – Gdy wierzchnia warstwa roztopionego śniegu znów zamarza, tundrę skuwa lód. Renifery nie są w stanie go rozbić, by dostać się do pożywienia.

Tak było w 2020 r. Już w lutym Eira podejrzewał, że coś jest nie tak: śniegu napadało więcej niż zwykle. Podzielił się wątpliwościami z ojcem. Jak reszta Saamów, Eira czerpie z wiedzy starszego pokolenia swojej siidy, tj. grupy kilku rodzin, które zamieszkują określony teren i się wspierają. – Ojciec przeczuwał, co się święci – wspomina. – Przypomniał sobie zimę 1968 r., gdy zdechła połowa reniferów. Na szczęście teraz mamy technikę: półtora miesiąca później zaczęły do nas latać helikoptery z zapasami żywności dla zwierząt.

Co przyniesie ten rok? Okres godowy się skończył, hodowcy wyruszyli w stronę zimowych pastwisk. Także Eira prowadzi swoje renifery. Podróż zajmie mu tydzień, ma do pokonania 60 km. Podobnie jak 35-letni John Ante Oskal, który też jest w drodze. Gdy spotykamy się pod koniec października, w bagażniku vana wiezie nowy skuter śnieżny. – Każdy hodowca musi mieć dwa. Bo co zrobisz, jak jeden się zepsuje? – pyta retorycznie, gdy jedziemy z Kárášjohki ku oddalonej o 100 km osadzie hodowców reniferów w Heammogieddi.

– A ty wierzysz, że zmiany klimatyczne są wynikiem działalności człowieka? Bo ja mam wątpliwości. Klimat przecież ciągle się zmienia... – rzuca Oskal, pokonując ryzykownie kolejny zakręt. Mówię o minionym lecie: powodziach w Niemczech i pożarach na południu Europy. Pytam o zmianę wegetacji i niestabilny lód. Oskal kiwa głową: – No tak, to groźne. W tamtym roku straciliśmy kolegę. Utopił się, gdy przekraczaliśmy z reniferami rzekę.

Licz tylko na siebie

– To bardzo stresujące – Oskal powtarza to kilka razy, gdy opowiada o wpływie zmian klimatu na hodowlę reniferów. – Nie wiemy, czego się spodziewać. Tak czy inaczej życie tu jest ciężkie. Gdy wypasasz renifery, jesteś całkiem sam. Wieczory spędzasz z resztą siidy, ale w ciągu dnia możesz liczyć tylko na siebie.

Badania potwierdzają negatywny wpływ zmian klimatycznych na dobrostan Saamów, którzy żyją w ścisłej więzi z naturą. Np. raport UNESCO z 2012 r. uznawał je za jedno z głównych zagrożeń dla zdrowia psychicznego rdzennych ludności, które zamieszkują obszary wrażliwe na zmiany klimatu, jak małe wyspy, strefy wysokogórskie czy właśnie Arktyka.

Poczucie beznadziei i strach o przyszłość wpływają też na młodzież – czytam w artykule naukowym z 2018 r. o skutkach zmian klimatu na życie Saamów, opublikowanym w „Current Environmental Health Reports": „Szacuje się, że utrata środków do życia, znikome możliwości utrzymania kultury Saamów i słaby status prawny stanowią poważne zagrożenie dla zdrowia psychicznego i wpływają na zachowania samobójcze".

Podobnie podsumował sytuację hodowca reniferów Nils Mathis Sara w wywiadzie dla BBC: „My, starsi, jakoś sobie poradzimy. Ale młodych czekają mroczne, mroczne czasy".

Jednak nie z powodu zmian klimatu – zaznaczył Sara – lecz działań norweskiego rządu, który inwestuje w rozwój energetyki odnawialnej na wietrznej i bogatej w surowce Północy.

W imię zielonej zmiany

W 2019 r. norweska firma Nussir otrzymała pozwolenie na wydobycie miedzi w gminie Kvalsund, w okolicy pastwisk Nilsa Sary. Ówczesny minister handlu i przemysłu argumentował, że otwarcie kopalni to krok naprzód w transformacji energetycznej: ze względu na większe zainteresowanie autami elektrycznymi gwałtownie rośnie popyt na miedź, która jest – po srebrze – najlepszym przewodnikiem.

Na swej stronie internetowej firma Nussir podkreśla, że wydobycie będzie się odbywać w „zrównoważony sposób". Saamowie uważają, że bez poszanowania ich praw. Zgodnie z ustawą o minerałach z 2009 r. władze mogą cofnąć pozwolenie na wydobywanie surowców w przypadku, gdy projekt „godzi w interesy Saamów". Ale choć saamski parlament Sametinget, który pełni funkcję doradczą w stosunku do norweskiego parlamentu,

zagłosował przeciw otwarciu kopalni, Nussir zachował koncesję. Trwają przygotowania do otwarcia kopalni.

Dla Saamów takie dążenie do „niskoemisyjnej przyszłości" – jak swoją misję określa Nussir – może być fatalne w skutkach. Wydobycie miedzi odbije się bowiem negatywnie na hodowli ryb i reniferów. Oraz na środowisku, bo odpady kopalniane trafią do pobliskiego Repparfjordu.

– Niszczenie przyrody i narażanie rdzennej ludności oraz zwierząt na stres w imię zielonej zmiany? To nielogiczne! – Inga Anne Karen Sara, córka Nilsa, uważa, że musi istnieć jakieś inne rozwiązanie.

Renifery są płochliwe

Inga Sara jest konsultantką w parlamencie Saamów. Pracuje w miejscowości Guovdageaidnu (norw. Kautokeino), w budynku o nazwie Diehtosiida. Prócz biur doradców parlamentarzystów mieści się w nim saamska szkoła wyższa i archiwum. Inga studiowała ekonomię w Oslo, potem pracowała kilka lat w finansach, ale wróciła do Finnmarku (Troms og Finnmark to największy region administracyjny Norwegii, obejmujący jej północ). – Zarabiałam, ale co z tego? Moje życie jest tu, razem z resztą siidy, pośród przyrody. Tu mogę zrobić coś pożytecznego dla społeczności – tłumaczy.

Może też pomóc rodzinie. W 2020 r. rzuciła posadę doradczyni, gdy okazało się, że rodzina potrzebuje dodatkowych rąk do pracy ze względu na warunki pogodowe zagrażające stadom, o których opowiadał mi Eira. – Nie wyobrażam sobie życia bez reniferów, to część naszej tożsamości. Ta tradycja musi przetrwać – mówi Inga. – Dlatego teraz wskakuję na skuter śnieżny, jak mój brat. Muszę przyznać, że to niesamowicie ciężka praca.

30-letnią Ingę niepokoją skutki wydobycia miedzi. – W tym regionie działała już kopalnia, opowiadał mi o tym tata. Choć skala wydobycia była mała, nieporównywalna z tym, co jest dziś planowane, zwierzęta nabawiły się problemów z płucami. Szybko dostawały zadyszki przy bieganiu. Nie wspominając o stresie związanym z hałasem.

Bo renifery to zwierzęta bardzo płochliwe. Omijają tereny, na których wyczuwają obecność człowieka i drapieżników albo słyszą dźwięki, które kojarzą z zagrożeniem. Ellen Bals: – Długo też nie wracają w takie miejsca. Zdarza się, że do Finnmarku przyjeżdżają turyści uprawiający kitesurfing śnieżny. Chwalą się, że pierwszego dnia widzieli renifery. Wtedy pytamy, jak było w następnych dniach. Odpowiadają, że już ich nie zobaczyli. No właśnie, bo przestraszyły się i uciekły! Większość ludzi nie rozumie, że samą obecnością wyrządzają szkodę: zwierzęta tracą w ten sposób przestrzeń do wypasu.

Protesty przeciwko tamie

Bals z obsługi muzeum Riddo Duottar w Guovdageaidnu nie przypomina Ellen Bals z wizytówki, którą dostaję pod koniec wizyty. Ta ze zdjęcia na wizytówce nosi gákti, tradycyjną odzież i nakrycie głowy. Na co dzień do pracy ubiera trekkingowe spodnie i polar.

ARCHIWUM PRYWATNE

Anders Eira pracuje dla fundacji Ochronić Sámpi i opiekuje się swoim stadem.

Od niedawna Bals ma towarzystwo w postaci Ingi Márji Steinfjell, dziennikarki, która na zlecenie parlamentu Saamów i muzeum dokumentuje wspomnienia świadków budowy tamy na rzece Álttáeatnu (norw. Alta) w latach 70. i początku lat 80. To wtedy Máze (norw. Masi), miasteczko, w którym mieszka Inga Sara, miało zostać zalane wskutek budowy elektrowni wodnej.

Dyrekcja ds. Zasobów Wodnych i Energii wystąpiła z planem postawienia tamy w 1968 r. Pomysł spotkał się ze sprzeciwem Saamów: zaznaczali, że zatopienie pastwisk zniszczy trasę migracyjną reniferów, a spiętrzenie wody w rzece negatywnie wpłynie na połowy łososia. Początkowo popierały ich organizacje ekologiczne, bo regulacja rzeki doprowadziłaby do zalania terenów, na których rośnie masimjelt, rzadka chroniona roślina. Później dołączyła część norweskiego społeczeństwa.

– Wybuchły ogromne protesty, ludzie przyjeżdżali aż z Oslo. Ocknęli się i uświadomili sobie, że żyjący w Norwegii Saamowie nie mają tych samych praw, co Norwegowie – Ellen Bals opowiada, jakby była świadkiem tych wydarzeń, choć w tym czasie dopiero się urodziła.

Elektrownia jednak powstała, otwarto ją w 1987 r. Bals: – Później usłyszeliśmy od ministra, że to nie było konieczne. To pokazuje zachłanność rządu. Postawili setki takich tam!

Obecnie jest ich prawie 1700, a energia produkowana w Norwegii pochodzi z elektrowni wodnych. „Jesteśmy największym producentem energii wodnej w Europie i szóstym na świecie. Nasze zasoby energii wodnej zapewniają nam rozwój przemysłowy, bogactwo, oświetlenie i ogrzewanie od ponad stu lat. Dzięki właściwemu zarządzaniu zasobami kładziemy podwaliny, aby zasoby te mogły przynosić korzyści przyszłym pokoleniom" – czytamy na stronie internetowej norweskiego rządu.

Ellen Bals rozumie logikę rządu, ale widzi też, jak to nazywa, „mroczne strony energii wodnej".

– Jak renifery mają przejść przez rzekę, na której jest tama? Lód jest za cienki, to groźne dla zwierząt i ludzi. Coraz częściej musimy przewozić renifery na zimowe i letnie pastwiska ciężarówkami.

Odcienie norwegizacji

Saamowie uważają, że zbudowanie elektrowni wodnej na rzece Álttáeatnu to czubek góry – *nomen omen* – lodowej. Że ich opinie i prawa wciąż nie są szanowane. – Cierpimy od dawna. Najpierw chcieli nas nawrócić na Norwegów: rodzice musieli wysyłać dzieci do szkół, w których nie mogły mówić po saamsku, i musieli zmieniać nazwiska na norweskie. Nas tutaj to trochę ominęło, bo do lat 70. Guovdageaidnu było odcięte od świata. Ale po tym, jak zbudowano drogę, znaleźli nas. Wtedy dopiero zaczęła się prawdziwa norwegizacja – opowiada Bals.

Kobieta mówi o narzuconej przez władze racjonalizacji hodowli reniferów, która zaczęła się pod koniec lat 70. Reforma ta opierała się na przeświadczeniu, że do efektywnej hodowli niezbędna ↦

↦ jest dyscyplina. Tłumaczono, że zmiany przyczynią się do „optymalizacji produkcji mięsa i zwiększenia dochodów i dobrobytu hodowców, którzy osiągnęliby poziom życia reszty społeczeństwa norweskiego" – czytam w artykule naukowym z 2017 r.

Saamowie widzą rzecz inaczej. – Wytyczyli granice pastwisk, a nawet terminy zmiany miejsc wypasu. Jakby się znali na reniferach! – Bals prycha z przekąsem.

Márja Steinfjell przytakuje: – Ta buta wynika z braku wiedzy i zrozumienia. Norwegowie wciąż nie przyjmują do wiadomości, że hodowla reniferów to styl życia, a nie tylko praca. I że lepiej wiemy, co dobre dla naszych zwierząt. W końcu opiekujemy się nimi od stuleci.

Podobnie myśli Inga Sara. Przypomina, że protekcjonalny stosunek do mniejszości i autochtonów to zjawisko globalne: – Nie jesteśmy jedyną rdzenną ludnością, której próbuje się wmówić, że nie wie, co dla niej dobre. Podobne mechanizmy mają miejsce w Amazonii czy Australii. Przyjeżdżają ze swoimi projektami i przekonują nas, że nasza sytuacja ulegnie poprawie dzięki ich inwestycjom!

Precedensowy wyrok

Choć jej ojciec przestrzega przed „mrocznymi czasami", Inga Sara jest optymistką. Kilkakrotnie to powtarza, jakby chciała dodać sobie otuchy: – Niedawna wygrana dwóch saamskich rodzin w norweskim Sądzie Najwyższym utwierdziła mnie w przekonaniu, że warto walczyć o swoje prawa. To był dla nich ciężki okres, ale im się udało: licencja dla firmy, która zbudowała farmę wiatrową w pobliżu ich zimowych pastwisk, została unieważniona. Sędziowie uznali prawa rdzennej ludności do kultywowania tradycji.

– Wygląda na to, że podejście się zmienia. Ludzie tu zaczynają rozumieć, że energia odnawialna, tak jak wszystko, nie jest problemem zero-jedynkowym – mówi Inga Sara.

Ona sama rozważa wszczęcie postępowania sądowego przeciwko decyzji o otwarciu kopalni miedzi: – Jeżeli dwie rodziny pokonały energetycznego giganta, to mojej siidzie też może się udać. To odpowiedni moment, trzeba go wykorzystać.

© ULA IDZIKOWSKA

Raj z widokiem na Mordor

MAŁGORZATA PROCHAL
I AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z LA PALMY (WYSPY KANARYJSKIE)

O dwie trzecie mniej lotów na La Palmę w sezonie jesienno-zimowym: dla ludzi, którzy przetrwali lockdown, a dziś żyją w cieniu aktywnego wulkanu, to dramat. Głównym źródłem dochodów jest tutaj turystyka.

Z domu Karoliny Bazydło widać ocean. Gdy nie ma chmur, można dostrzec także La Gomerę, kolejną wyspę archipelagu, nazywaną „zielonym sercem Kanarów". – Od lat żyję między wulkanami, zupełnie się ich nie boję – zapewnia kobieta.

Przy jej domu kończy się popularny szlak prowadzący przez kratery wulkanów, które wybuchały w wiekach XVII, XVIII i XIX, a także przez krater wulkanu Teneguía, który wybuchł w 1971 r. – Żyliśmy w przeświadczeniu, że to tutaj będzie kolejna erupcja. Miało być pięknie i spektakularnie, lawa miała wylewać się prosto do oceanu, nie dotykając terenów zamieszkanych. Rzeczywistość okazała się inna – mówi Karolina.

Jest późny wieczór. Kobieta nalega, żebyśmy spotkały się przy pierwszym sklepie w Fuencaliente – to miejscowość oddalona o 10 km w linii prostej od wulkanu Cumbre Vieja, który wybuchł 19 września; erupcja lawy trwa do dziś, zmuszając do ewakuacji kolejnych mieszkańców [autorki pisały o tym w poprzednim numerze „TP"].

Chciałyśmy znaleźć adres Karoliny w mapie Google, ale faktycznie się nie da. Do jej domu na wzgórzu prowadzi kręta i stroma droga. Kobieta pokonuje ją niczym kierowca rajdowy. Jedziemy tuż

za nią, w oddali widać znikające za kolejnym zakrętem światła jej auta. – Parę lat pracowałam w wypożyczalni samochodów, rozwoziłam auta klientom na wyspie – wspomina.

Feniks z popiołów

Karolina, która pochodzi z Zakopanego, to być może najdłużej mieszkająca na La Palmie Polka: spędziła tu blisko 20 lat. Przyjechała na wakacje, ale pokochała to miejsce i postanowiła zostać. Jest fotografką i przewodniczką wycieczek.

Jej dom zdradza artystyczne zamiłowania właścicielki. Białe ściany zdobią namalowane przez nią obrazy i fotografie. W ramie lustra, tuż za progiem sypialni, widać zdjęcie: przedstawia Karolinę le-

EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS

Warstwa popiołu wulkanicznego pokrywa domy, które opuszczają ewakuowani mieszkańcy. La Palma, 1 listopada 2021 r.

żącą nago w pozycji embrionalnej, a jej ciało pokrywa popiół.

– Dla mnie to było ważne ze względów osobistych – tłumaczy. – Zrobiłam je, gdy pył wulkaniczny na dachu był jeszcze nowością, a nie codziennością. Przyszła wtedy refleksja, że nasza wyspa odrodzi się niczym Feniks z popiołów. La Palma jest kobietą, a kobiety są silne.

Kiedy 19 września Karolina dowiedziała się o erupcji Cumbre Vieja, od razu wzięła aparat i pojechała na miejsce. Nie zrobiła jednak żadnego zdjęcia. – Najpierw to była taka głupia radość, że doświadczamy czegoś historycznego. Ale ona minęła, gdy lawa dosięgnęła pierwszego domu. Wtedy okazało się, że to nie tylko spektakularne, lecz również straszne – opowiada.

Zbyt wiele bólu

Sąsiadem Karoliny jest Juan José Santos. Zagadujemy go, gdy wspólnie z żoną i synami zbiera oliwki.

– Wulkanu nie można opisać prostymi słowami – mówi mężczyzna dobiegający osiemdziesiątki. Był jedną z pierwszych osób, które w 1971 r. sfotografowały erupcję wulkanu Teneguía. – Wtedy nie było tylu mediów co teraz. Gdy zrobiłem pierwsze zdjęcia, musiałem wysłać filmy do Hiszpanii kontynentalnej, by wywołali je w laboratorium. Nie pamiętam dokładnie, ale cały ten proces trwał ok. 15 dni, gdy cała erupcja 24 dni – wspomina.

Juan José uważa, że Cumbre Vieja zadał wyspie już zbyt wiele bólu: – Zwykle jedna rzeka lawy spływa do morza. W tym przypadku jest ich wiele i dotarły do terenów zamieszkanych.

Karolina co kilka dni jeździ oglądać Cumbre Vieja, co po zamknięciu wielu dróg przez policję oznacza niemałą przeprawę. Przyznaje, że nie robi zdjęć ewakuowanym ludziom, bo nie potrafi nacisnąć migawki aparatu, kiedy patrzy na ich cierpienie. – Z wulkanem jest tak, że jednocześnie chce się patrzeć i nie chce się patrzeć – mówi.

– Powoli przygotowujemy się na święta Bożego Narodzenia z aktywnym wulkanem. A to wszystko może potrwać znacznie dłużej – dodaje.

Naukowcy, którzy monitorują erupcję, uważają, że nic nie wskazuje, aby ↦

MAŁGORZATA PROCHAL

Karolina Bazydło przyjechała na wakacje i została, na La Palmie żyje już prawie 20 lat.

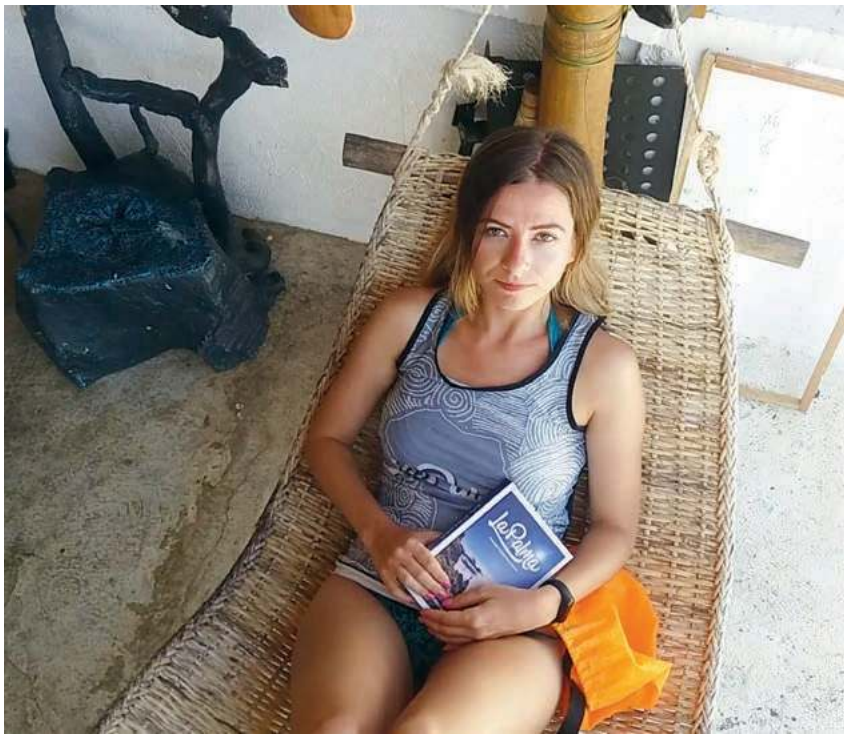

ARCHIWUM PRYWATNE

Kinga Korska jest autorką pierwszego polskiego przewodnika po La Palmie.

↦ w najbliższym czasie miała się zakończyć. Do początku minionego tygodnia lawa pokryła ok. tysiąca hektarów.

Pozornie to niewiele – wyspa ma ok. 70 tys. ha powierzchni – ale płonąca masa popłynęła akurat na osiedla, niszcząc ponad 2,5 tys. budynków i trzeba było już ewakuować ok. 10 proc. z ponad 80 tys. mieszkańców.

Wzrost emisji lawy i pyłu znacznie pogarsza w ostatnim czasie jakość powietrza. Z tego powodu okresowo prowadzone jest nauczanie zdalne dla dzieci w pięciu gminach (Los Llanos, El Paso, Tazacorte, Puntagorda i Tijarafe). Według informacji hiszpańskiego Instytutu Oceanografii popiół wulkaniczny osadzający się na dnie Atlantyku doprowadził już do wyginięcia licznych okazów ryb.

Miejsce do życia

Mieszkańcy La Palmy mówią o niej La Isla Bonita – Piękna Wyspa. Mają też swoje tradycje i niezbyt interesują się tym, co jej nie dotyczy. Do niedawna byli przekonani, że żyją nie tylko w najpiękniejszym, ale też najbezpieczniejszym miejscu świata.

– Są rodzinni i prości – mówi Karolina. – Wszyscy się tu znają, wiele małżeństw jest z jednej wsi, a przyjaciół ma się od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Oni nie chcą zmian. Po co kupować nowy talerz, kiedy stary jest perfekcyjny.

Wielu mieszkańców zajmuje się uprawą bananów – ich plantacje to obok turystyki jedno z głównych źródeł dochodów wyspiarzy – na co dostają wsparcie z funduszy unijnych (Kanary należą do Hiszpanii).

W 2020 r. plantacje bananów odpowiadały za 11 proc. PKB wyspy. Stowarzyszenie Organizacji Producentów Bananów na Wyspach Kanaryjskich (ASPROCAN) podaje, że w 2020 r. z La Palmy eksportowano ponad 144 tys. ton tego owocu, co oznaczało 135 mln euro dochodu. Do tego należy doliczyć 45 mln euro z dotacji publicznych.

Karolina: – Dzięki pomocy z Unii Europejskiej jakoś wiążą koniec z końcem. Oni lubią taki rodzaj pracy. Jeśli się nie spocą i nie ubrudzą, to dla nich dzień jest stracony.

Straty plantatorów spowodowane erupcją wulkanu wynoszą już ponad 100 mln euro. Hiszpański rząd zatwierdził plan wsparcia, w ramach którego poszkodowani rolnicy mają otrzymać 19 mln euro pomocy.

Obok rolnictwa, gospodarka La Palmy opiera się przede wszystkim na turystyce, która stanowi 20 proc. PKB – choć próżno szukać tu miejsc obleganych przez wczasowiczów, kas biletowych czy sklepów z pamiątkami.

Santiago, taksówkarz z Los Cancajos, tłumaczy to tak: – Od czerwca do sierpnia przyjeżdżają tu głównie mieszkańcy pozostałych Wysp Kanaryjskich, na specjalne dni festiwalowe. A począwszy od października, przylatuje więcej Niem-

ców, Holendrów i Brytyjczyków, bo u nich robi się wtedy zimno. Nigdy jednak nie było tu masowej turystyki.

Według Kanaryjskiego Instytutu Statystycznego sierpień 2021 r. był najlepszym miesiącem pod względem liczby osób odwiedzających La Palmę od wybuchu pandemii – na wyspę przybyło wówczas ponad 19 tys. turystów (nie licząc tych mieszkających na Kanarach). Jednak to wciąż daleko do rekordowych 32 tys. w listopadzie 2017 r.

„Niemal normalnie"

„La Palma jest trochę jak Mekka: trzeba tam pojechać, choćby raz w życiu" – tymi słowami Kinga Korska, autorka pierwszego polskiego przewodnika po wyspie, zaprasza czytelników w podróż po jej zakątkach. – Słabością i zarazem siłą La Palmy jest to, że mało ludzi wie o jej istnieniu. Ludzie nie przyjeżdżają tu, by leżeć plackiem przy hotelowym basenie. Pakują jedzenie do plecaka i ruszają na szlaki – mówi nam Kinga.

Wybuch Cumbre Vieja sprawił, że na małą wyspę na Atlantyku zwróciły się oczy świata. Media informują o postępach erupcji. – Zainteresowanie pobytem na La Palmie na pewno będzie większe, ale nie spodziewam się szturmu wczasowiczów. Zresztą mam nadzieję, że nigdy nie pojawi się tu tłum turystów. Organizacja podróży na własną rękę wymaga wysiłku, dlatego jeśli ktoś tu trafia, to nie przypadkowo – uważa Kinga.

Powołując się na źródła w sektorze turystycznym, lokalny portal „El Time" przewiduje, że w sezonie jesienno-zimowym liczba lotów na La Palmę zmniejszy się o ok. 70 proc. Ryanair ogłosił, że do połowy stycznia wstrzymuje połączenia z Madrytu i Barcelony. Tymczasem Rada La Palmy (odpowiednik lokalnego rządu) prowadzi rozmowy z liniami lotniczymi i organizatorami wycieczek, licząc, że nie będą dłużej zawieszać działalności ze względu na wybuch wulkanu. Raúl Camacho, odpowiedzialny za turystykę w Radzie, przekonuje: „Erupcja dotyka 8 proc. wyspy, a na pozostałych 92 proc. życie toczy się niemal normalnie".

Nie brakuje turystów, którzy chcą na własne oczy zobaczyć Cumbre Vieja. Lokalne biura zauważyły to zjawisko i zaczęły oferować wycieczki autobusami po miejscach, z których najlepiej widać aktywny wulkan.

Kinga: – Nie oceniam tego negatywnie. Przy okazji zostawią tu kilka euro w restauracji. Mieszkańcy powinni pomyśleć, jak w dalszej perspektywie wykorzystać to zainteresowanie i rozwinąć turystykę wulkaniczną. Tym bardziej że wyspa już wcześniej dostała w kość przez koronawirusa.

Na La Palmie Kinga spędziła blisko pięć lat. Poznała ją oczami mieszkańców i z tej perspektywy opowiada o niej w przewodniku. – Wyspiarze to prości, szczęśliwi ludzie, przywiązani do ziemi. Ci, którzy się tam urodzili, zwykle tam zostają. Żyją w swego rodzaju bańce, bo dla wielu Wyspy Kanaryjskie to jedyny świat, który znają. Bardzo ładny, temu nie da się zaprzeczyć. Moim ulubionym miejscem jest Porís de Tijarafe – miasteczko ukryte w jaskini, są tam domki letniskowe *casetas* i malutki port.

– Północ i południe wyspy to zupełnie inna bajka. Na dzikiej i zielonej północy ↦

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNERZY:
Kraków
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich
PRZEKRÓJ

↦ można odciąć się od wszystkiego, to taki koniec świata – dodaje.

Z widokiem na Mordor

Trudno powiedzieć, ilu ich jest, ale na pewno są widoczni: na La Palmę chętnie ściągają hipisi z całego świata, którzy miejską dżunglę chcą zamienić na życie w zgodzie z naturą. Mieszkają w domkach, w kamperach, a także w jaskiniach, dawniej zajmowanych przez Guanczów (rdzenną ludność Wysp Kanaryjskich o pochodzeniu berberyjskim). Sprzedają ręcznie robioną biżuterię, instrumenty, olejki i zioła; oferują masaże oraz zajęcia jogi.

Zdarza się, że stali mieszkańcy La Palmy kręcą nosem, gdy pytamy ich o hipisowską społeczność. Są tacy, którzy żyjących „poza systemem" nazywają *parasito* (pasożyt).

Polak Bartłomiej zamieszkał w jaskini w Tazacorte, ma z niej widok na Cumbre Vieja. – To krajobraz, który czasem przypomina Mordor. Poniżej światła miasta Los Llanos, a nad nimi góra wyrzucająca strumienie lawy, która pochłania kolejne budynki – opowiada 42-latek. Na La Palmę przyleciał po raz pierwszy siedem, może osiem lat temu. Nie planował zostać, chciał tylko „uciec przed świętami" i spędzić je w ciepłym kraju. Potem tu wrócił i się zadomowił.

– Gdy przyszła pandemia, życie w mieście straciło sens – wspomina Bartłomiej. – W Polsce pracowałem w teatrze jako technik sceniczny od światła i dźwięku, ale pandemia mocno odbiła się na kulturze. Na La Palmie nie ma miejsca, które by mi się nie podobało. Dobrze mieszka się tu przez cały rok, jest kilka stref klimatycznych, drzewa i owoce z całego świata. Mam wszędzie blisko: na plażę i na północ wyspy. Mogę szybko dostać się do dużego miasta albo nikogo nie widzieć miesiącami.

Obok rolnictwa, w tym zwłaszcza eksportu bananów, gospodarka La Palmy opiera się głównie na turystyce, **która stanowi 20 proc. PKB wyspy.**

Wspomina, że w życiu chwytał się różnych zajęć: działał w *public relations*, był sprzedawcą w sklepie z antykami i wykonywał prace budowlane. Po latach życia w mieście – a był w Londynie, Paryżu, Amsterdamie i Warszawie – cieszy się każdą chwilą spędzoną na La Palmie. – Tu życie jest ciekawsze niż film – przekonuje.

Choć Bartłomiej nie wyklucza, że kiedyś ruszy dalej w drogę, urządza teraz się w jaskini. – Właśnie kładę posadzkę z naturalnych kamieni – opowiada. – Mieszkanie w miejscu, do którego nie da się dojechać samochodem, wiąże się z tym, że dużo rzeczy trzeba nosić. Komodę, która służy mi jako stół i biurko, dźwigałem na plecach. Mam też łóżko, garderobę i beczkę z wodą. Po roku życia bez prądu zsynchronizowałem się ze słońcem.

Wybuch wulkanu określa cudem natury: – Ludzie dzielą się na tych, którzy utrzymują, że życie toczy się normalnie, i na tych, którzy histeryzują, jakby jutra miało nie być. Mieszkamy na wulkanicznej wyspie i trzeba liczyć się z ryzykiem erupcji. Uważam, że warto choć jedną zobaczyć. Dla mnie niewątpliwie to przygoda życia.

Pytanie o przyszłość

Gdy pytamy, jak mieszkańcy La Palmy podniosą się po erupcji wulkanu, Karolina milczy przez dłuższą chwilę. – Nie wiem... W przeszłości paliły się tutaj domy i ginęli ludzie, ale nigdy nie było tragedii na taką skalę – zastanawia się. – Obawiam się, że pieniądze z zewnątrz mogą nie wystarczyć na odbudowę. A sami mieszkańcy nie płaczą tak bardzo za swoim domem, jak za rodziną i sąsiadami, którzy mieszkali obok. To są relacje wielopokoleniowe.

Wprawdzie na wyspie nikt nie zginął, ale lawa zniszczyła już całe osiedla i plantacje.

Karolina nie wie, czy pozostanie: – Po raz pierwszy w życiu pomyślałam, że może trzeba będzie stąd wyjechać, żeby móc dalej pracować. To zawsze będzie moja wyspa, bo La Palmę ma się w sercu. To urokliwy, ale ciężki kawałek ziemi.

© MAŁGORZATA PROCHAL, AGNIESZKA ZIELIŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego" dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego".

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

Szukamy liderów, którzy chronią dziedzictwo kulturowe

Fundacja Citi Handlowy im. Leopolda Kronenberga zaprasza do zgłaszania kandydatur do Nagrody im. prof. Aleksandra Gieysztora.

GRZEGORZ NUREK: Fundacja Citi Handlowy im. Leopolda Kronenberga istnieje już 25 lat, a od ponad 20 lat przyznaje prestiżową nagrodę. Kto może ją otrzymać?

DOROTA SZOSTEK-RUSTECKA: Nagroda im. prof. Aleksandra Gieysztora przyznawana jest za wybitne osiągnięcia, które mają na celu ochronę dziedzictwa kulturowego, na przykład za działalność muzealną, archiwalną, biblioteczną, kuratorską. Chcemy nagradzać osoby, które często heroicznym wysiłkiem, nie zawsze związanym z pełnieniem funkcji zawodowych, z pasją i troską chronią dziedzictwo kulturowe. Nagradzamy także instytucje i inicjatywy. Pandemia to czas zatrzymania i niepowtarzalna szansa na refleksję, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy.

W tym roku przyznają Państwo dwa wyróżnienia po 50 tys. zł.

Formularz zgłoszenia dostępny jest na stronie naszej Fundacji do 15 listopada. Kapituła Nagrody, złożona ze znakomitych osobistości świata nauki i kultury, a także laureatów wyróżnienia z ubiegłych lat, wnikliwie analizuje zgłoszenia.

Pracami Kapituły Nagrody pokieruje historyk sztuki i muzykolog prof. Andrzej Rottermund.

Wieloletni dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie. To z jego inicjatywy Nagroda im. prof. Gieysztora została stworzona. Proces przyznawania nagrody jest transparentny. Najpierw informujemy media o kolejnej edycji i zapraszamy samorządy, instytucje kulturalne, społeczne, autorytety do zgłaszania propozycji. Potem Kapituła wyłania około dziesięciu kandydatów. Zwycięzca, po długiej dyskusji, jest wybierany większością głosów.

Lista dotychczasowych laureatów jest imponująca. Które z wyróżnień najbardziej Panią ucieszyło?

Każde mnie cieszy. Każdy z laureatów reprezentuje nieco inne podejście do dziedzictwa kulturowego i inny obszar działalności. Lubię powtarzać słowa prof. Normana Daviesa: historia prowadzi do wiedzy o sobie. Jeśli nie wiemy, skąd pochodzimy, trudno abyśmy wiedzieli, dokąd zmierzamy.

Wartością Nagrody im. Gieysztora jest jej koloryt i zróżnicowanie. Wśród laureatów mieliśmy m.in. Leona Tarasewicza, Andę Rottenberg, Elżbietę i Krzysztofa Pendereckich, Krystynę Zachwatowicz-Wajdową i Andrzeja Wajdę, ostatnio prof. Jerzego Limona i Gdański Teatr Szekspirowski.

Gala nagrody odbywa się na Zamku Królewskim w Warszawie i ma podniosły charakter. Laudację wygłasza przewodniczący Kapituły. Głos zabierają przedstawiciele instytucji kultury, a galę uświetniają występy muzyków. Leon Tarasewicz zaprosił nawet śpiewaczki ludowe. Proszę sobie wyobrazić tę uroczystość – to było coś niezwykłego!

Fundacja zainicjowała też wiele innych interesujących programów, np. CyberMocn@Szkoła, #Cisi Bohaterowie.

Fundacja prowadzi działalność edukacyjną, upowszechnia ideę wolontariatu, inicjuje szereg programów wsparcia. Citi w Polsce zatrudnia 8 tys. pracowników. Przed pandemią 4 tys. z nich było zaangażowanych w wolontariat pracowniczy. Po wybuchu pandemii byliśmy zorganizowani i zmotywowani, by pomagać. Zainicjowaliśmy program #Cisi Bohaterowie. 300 ratownikom medycznym z rejonu warszawskiego i olsztyńskiego w pierwszym okresie lockdownu dostarczaliśmy ciepłe posiłki. I tak codziennie, przez 21 dni, w czasie gdy oni ratowali życie ludzi, pracując niemal bez przerwy, po dwie zmiany.

Następnie wraz z Fundacją Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej i Fundacją Wsparcia Ratownictwa przekazaliśmy darowizny, które pozwoliły zakupić profesjonalny sprzęt diagnostyczny na wyposażenie karetek oraz szpitali. Zakupiliśmy mobilne respiratory oraz odzież ochronną dla szpitali w Warszawie i Olsztynie. W trakcie pierwszego lockdownu wiele świetlic środowiskowych i dziennych domów pomocy ograniczyło działalność. Zainteresowaliśmy się więc także problemem niedożywienia osób starszych. Z naszymi mentorami, wolontariuszami docieraliśmy do domów dziecka. Uczyliśmy udzielania pierwszej pomocy, rozmawialiśmy z młodymi ludźmi o ich potrzebach i problemach.

Popularyzujemy, szczególnie w Warszawie, postać założyciela naszego banku Leopolda Kronenberga. W 1870 roku stworzył bank, który w przyszłości miał wspierać polskie przedsiębiorstwa za granicą, ale i sprowadzać zagranicznych inwestorów do Polski. Kronenberg sfinansował Filharmonię Narodową, przyczynił się do powstania kolei wiedeńskiej, założył Szkołę Główną Handlową. Był człowiekiem postępu. Ta pogoń za „postępem" wpisana jest w nasze działania.

Zastanawiamy się na przykład, jak powinno wyglądać wykorzystanie nowych technologii w edukacji. CyberMocn@Szkoła to program interwencyjny. Stworzyliśmy go z myślą o nauczycielach. Mamy w banku bardzo wielu ekspertów od bezpieczeństwa. W pierwszej edycji programu wzięło udział ponad 600 nauczycieli, w drugiej, już trwającej, podobna liczba nauczycieli i edukatorów dowie się, jak radzić sobie z zagrożeniami w internecie, hejtem i mową nienawiści, jak zachować ostrożność i bronić się przed cyberzagrożeniami. Warsztaty są prowadzone w niewielkich grupach. Wspólnie z nauczycielami nasi eksperci przygotowali Poradnik wychow@wcy. Jest to zestaw scenariuszy lekcji oraz inspiracji, które mają pomóc zadbać o trzy ważne sfery: dobrostan psychiczny dzieci, ich kondycję fizyczną oraz rozwój społeczny, w tym najważniejsze – dobre relacje z rówieśnikami i integrację z klasą. Poradnik jest dostępny dla wszystkich na stronie www.cybermocnaszkola.pl.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

MATERIAŁY PRASOWE FUNDACJI

DOROTA SZOSTEK-RUSTECKA – *prezeska zarządu Fundacji Citi Handlowy im. Leopolda Kronenberga.*

MATERIAŁ PROMOCYJNY

HISTORIA

KONIEC ZIEMIAŃSKIEGO ŚWIATA

„Byliśmy jak obuchem rażeni. Jak drzewa, którym podcięto korzenie” – wspominała Maria Grodzicka, która po 1945 r. straciła dom we Wrzącej w Łódzkiem.

ANNA WYLEGAŁA

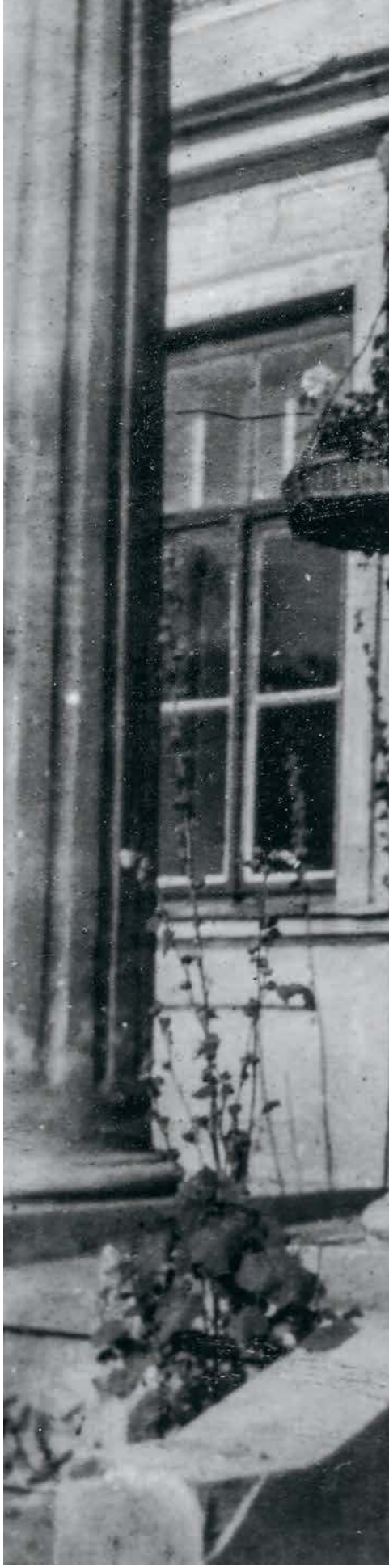

Gdy 3 marca 1945 roku Maria Walewska z Kuźnickich opuszcza na zawsze Kowalę, swój rodzinny majątek w powiecie radomskim, na podwórzu czworaków nie ma nikogo. Ale przez uchylone okna niedawna służba dworska obserwuje bacznie bryczkę, na której Maria siedzi z psem na kolanach i kilkoma walizkami pod nogami.

W spisanych później wspomnieniach zanotuje gorzko: „Z chwilą, gdy usiadłam na wiązce słomy i wóz ruszył, odczułam naraz straszne zmęczenie. (...) Oto zrozumiałam z przerażającą jasnością, że jest to już nie wyjazd, lecz opuszczenie na zawsze Kowali, tej Kowali, którą nie tylko kochałam, ale która przecież tysiącem więzów łączyła się z moim dotychczasowym życiem. Teraz przecięte więzy opadły, a mnie opuściły siły”.

Tak jak tysiące polskich ziemian, Maria Walewska traci swój majątek na mocy dekretu o reformie rolnej, który zalążek komunistycznego rządu – występujący pod nazwą Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego – wydał 6 września 1944 r. Uchwalony jeszcze przed końcem wojny, dekret jest narzędziem zmiany ustrojowej i gospodarczej, ale też politycznym biczem na polskie ziemiaństwo – warstwę społeczną, która przez minione sto kilkadziesiąt lat, zwłaszcza w okresie rozbiorów, była jednym z nośników tożsamości i kultury, a teraz mogła opierać się nowym rządom.

Czas pożogi

Choć większość polskich ziemian traci swoje majątki właśnie na przełomie 1944/45 r., to tak naprawdę ich świat – rozumiany nie tylko w wymiarze materialnym – zaczyna kończyć się dużo wcześniej.

Po tym, jak w XIX w. był celem represji państw zaborczych – zwłaszcza po kolejnych powstaniach, kończących się konfiskatami majątków – ciosem dla ziemiaństwa staje się traktat pokojowy z 1921 r., kończący wojnę między Polską i Rosją bolszewicką: w jego wyniku za wschodnią granicą odrodzonego państwa pozostają setki posiadłości ziemskich, których los w Związku Sowieckim jest przesądzony. Ich właściciele – ci, którzy nie giną i opierają się zawierusze, tak sugestywnie opisanej przez Zofię Kossak-Szczucką w autobiograficznej powieści „Pożoga” – uciekają do II Rzeczypospolitej. Większość z nich zasila szeregi miej-

ARCHIWUM RODZINNE KATARZYNY MORSTIN

Nina Morstin z dziećmi Barbarą i Władysławem przed dworem w Bieganowie, koniec lat 20. XX w.

skiej inteligencji, jedynie niewielu udaje się kontynuować styl życia na wsi.

Sytuacja powtarza się – w znacznie większej skali – po 1939 r. i aneksji Kresów Wschodnich przez Stalina. Polscy ziemianie są aresztowani, mordowani, wywożeni w głąb Związku Sowieckiego w ramach kolejnych akcji deportacyjnych, wymierzonych w polskich obywateli. Taki los staje się udziałem rodziny Władysława Świdrygiełły-Świderskiego.

Gdy we wrześniu 1939 r. Sowieci wkraczają do Barysza (województwo tarnopolskie), Świderski – właściciel tutejszego majątku – nie ma czasu na ucieczkę. Kryje się w chłopskiej chacie, skąd po kilkunastu dniach wyciąga go NKWD. Zostaje wywieziony w nieznanym kierunku, a po latach jego nazwisko znajdzie się na liście katyńskiej. Jego żona z dwiema nastoletnimi córkami ucieka do Lwowa, skąd w 1940 r. trafiają na Syberię. Wszystkie przeżywają zesłanie, opuszczają Związek Sowiecki z armią Andersa, a po wojnie osiadają w Wielkiej Brytanii.

W oczekiwaniu

Ci, którzy z Kresów uciekali w kierunku zachodnim, spotykają się w utworzonym właśnie Generalnym Gubernatorstwie z ziemianami wysiedlonymi przez Niemców z Pomorza i Wielkopolski. Na ziemiach tych, wcielonych do III Rzeszy, polityka okupanta wobec ziemiaństwa jest bezlitosna: majątki przechodzą na własność państwa niemieckiego w trybie natychmiastowym, a ich właściciele giną, trafiają do obozów koncentracyjnych albo zostają wyrzuceni do GG.

W samym Generalnym Gubernatorstwie sytuacja ziemian jest trochę znośniejsza. Choć i tu trwają represje: wiele majątków jest przejmowanych na tzw. Liegenschafty – gospodarstwa zarządzane przez Niemców (w samym Kieleckiem taki los spotyka jedną trzecią wszystkich majątków). Ich właściciele są zmuszani do opuszczenia domu i albo osiadają gdzieś niedaleko, albo jadą do miasta.

Także Maria Walewska nie mieszka w kowalskim dworze od czerwca 1942 r.: majątek wpada w oko lokalnemu niemieckiemu notablowi i zostaje przez niego zarekwirowany. Walewscy ↦

↦ wyprowadzają się do oficyny. Sąsiednie Konary w 1941 r. zostają zajęte przez Luftwaffe, a właściciele, Józef i Irena Helbichowie, do końca wojny pomieszkują w dwóch pokoikach w dworze pełnym niemieckich żołnierzy. Mimo to obszar GG jest ostatnim miejscem w Polsce, gdzie ziemianie – w warunkach okupacji – mogą jakoś przetrwać aż do przełomu 1944/45 r.

Ten zaś oznacza ostateczny koniec ich świata. Ziemianie z GG wiedzą, że on się zbliża: znają losy znajomych z Kresów, dochodzą do nich słuchy, co dzieje się w pierwszych nacjonalizowanych majątkach na Białostocczyźnie, gdzie Armia Czerwona dociera jesienią 1944 r.

W oczekiwaniu na nadchodzące nowe, atmosfera zaczyna być nerwowa także w domu Stanisława Turnaua z Wlonic w powiecie opatowskim. Notuje on w dzienniku, że folwarczna służba jest coraz bardziej rozgorączkowana, fornale urządzają w czworakach nocne spotkania, tupią pod dworskimi oknami. Irena Exner, która wojnę spędziła w rodzinnych Sankach pod Grójcem, powie po latach (w wywiadzie dla Ośrodka „Karta"): „Mieliśmy pełną świadomość, że tylko dni dzielą nas od jakichś przełomów". Wielu łudzi się, że komuniści zostawią im choćby część ziemi i dom (dwór). Przygotowują strategie przetrwania: tuż przed przejściem frontu Maria Walewska planuje urządzenie hodowli drobiu na 50 hektarach, które, jak sądzi, pozostaną jej po nacjonalizacji.

Olga i Stanisław Morawscy z dziećmi na ganku pałacu w Plancie, z lewej dziewczęta z czworaków w Plancie. Dożynki, lata 30.

Sąd nad dziedzicem

Po wejściu Armii Czerwonej okazuje się jednak, że utracą wszystko. Sowieci są mniej lub bardziej brutalni: w niektórych majątkach ograniczają się do wymuszenia gościnności, inne doszczętnie rabują i na koniec palą, w jeszcze innych mordują i gwałcą. W Kowali Marii Walewskiej udaje się obłaskawić żołnierzy herbatą, wódką i bigosem. Dwór został ogołocony już wcześniej przez uciekających Niemców, teraz czerwonoarmiści wycinają na opał znaczną część parku.

W wielu miejscach dochodzi do parodii sądów nad dziedzicem: dowódcy jednostek frontowych stawiają właściciela pod ścianą, zwołują robotników folwarcznych i każą powiedzieć, czy pan był dobry, czy zły. Józef Helbich z Konar, w 1945 r. starszy już człowiek, zostaje zmuszony do klękania przed swoimi byłymi pracownikami i błagania o litość. Od śmierci ratuje go wstawiennictwo chłopów z okolicznych wsi, którzy wysyłają delegację, aby ujęła się za Helbichem.

Wielu ziemian nie czeka na nadejście Sowietów i ich łaskę lub niełaskę: opuszczają swoje domy jeszcze przed przejściem frontu. Ci zaś, którzy w nich zostają, będą z nich wkrótce wyrzuceni przez nowe komunistyczne władze. Bo gdy tylko opada pył po frontowej nawałnicy, w majątkach zjawiają się pełnomocnicy ds. reformy rolnej i tymczasowi komisarze, którzy przejmują majątki w zarząd państwowy. W najlepszym razie właściciele mają kilka dni na spakowanie się i opuszczenie majątku. W gorszym są wyrzucani dosłownie na bruk i idą w świat z jedną walizką w ręku.

We Wlonicach, zanim jeszcze zjawią się urzędnicy z powiatu, do Stanisława Turnaua przychodzi wysiedlony przez Niemców z sąsiedniej wsi chłop Stanisław Wieczorkowski, któremu Turnau pozwolił zamieszkać w czworakach. Mówi, że jest teraz sekretarzem powiatowym komunistycznej PPR i odtąd on tu rządzi. Turnau notuje w dzienniku z goryczą: „Byłem przygotowany, że to nastąpi, ale nie spodziewaliśmy się tego, że z naszego domu wyjdzie władza, która stanie się naszym »opiekunem« i będzie nam na palce patrzeć". W Bieganowie w powiecie włoszczowskim komisarzem majątku zostaje miejscowy fornal. Nina Morstin słyszy od niego, że „zmieniły się stosunki, pani hrabino, i teraz ja o wszystkim decyduję".

Na śniegu z tobołkiem

To, jak przebiega samo wywłaszczenie, zależy w dużej mierze od tego, kto je przeprowadza i jakie były wcześniej relacje dziedzica ze służbą folwarczną oraz ze wsią.

Nowy komisarz Bieganowa po chwili wahania oznajmia Ninie Morstin, że może z dziećmi zostać w dwóch pokojach, dopóki nie znajdzie sobie innego lokum. Choć komisarz Wieczorkowski sarka i protestuje, wloniccy fornale, tworzący komitet parcelacyjny, pozwalają Turnauom spokojnie się spakować i zabrać do Ostrowca tyle rzeczy osobistych, ile chcą. Maria Walewska dostaje na wyprowadzkę dwa tygodnie.

Ale w wielu miejscach wywłaszczenie jest brutalne. Czasem chłopi korzystają z okazji, by odegrać się na nielubianym dziedzicu. Czasem ziemianie nie mają szczęścia do „ludzi z powiatu". W Radestowie (powiat radomski) ci ostatni zjawiają się nagle, wpadają do dworu i nic nikomu nie wyjaśniając, pakują meble i obrazy na swój wóz. Ciężko chora Zofia Łącka zostaje przez nich dosłownie wyrzucona z domu i leży na śniegu z tobołkiem bielizny. Z dworskiego podwórza zabiera ją do siebie chłopska rodzina.

W Grębowie (powiat tarnobrzeski) do dworu wpada trzech mężczyzn i zarządza natychmiastową eksmisję właścicieli, Do-

ARCHIWUM RODZINNE MACIEJA CHRZANOWSKIEGO

lańskich, jak też licznych przygarniętych przez nich w czasie okupacji uciekinierów. Dolański zostaje aresztowany, jego żonie pozwala się wyjechać, ale dobrowolnie dołącza do męża. Aresztowanie ma charakter pokazowy: jako świadków zwołuje się służbę folwarczną i gospodarzy ze wsi.

Anna Hajduk, pochodząca z ziemiańskiej rodziny Morawskich, która w 1944 r. znalazła u Dolańskich schronienie, wspominała (w wywiadzie dla Ośrodka „Karta"): „A ci ludzie wcale się nie cieszyli, że tego krwiopijcę wyrzucają, tylko z płaczem do tej pani Dolańskiej".

Natychmiast pozamykać

To, czy dochodzi do aresztowań, zależy tyle samo od zawziętości miejscowych władz, ile od odgórnych wytycznych. Np. masowa akcja aresztowań prowadzona jest wśród ziemian w pierwszych miesiącach 1945 r. w Krakowskiem, zwłaszcza w powiecie bocheńskim.

Na Kielecczyźnie w marcu 1945 r. Jan Kula, wojewódzki pełnomocnik ds. reformy rolnej, wydaje instrukcję, w której czytamy: „Rodziny dziedziców, których ziemia jest w parcelacji, wałęsających się po terenie powiatu czy to w mieście, należy natychmiast pozamykać". Zamknięty zostaje więc 20-letni Jan Lohmann z majątku Secemin; zatrzymany przez funkcjonariuszy powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa z Włoszczowy, razem z kilkunastoma innymi właścicielami majątków z okolicy spędzi w areszcie parę tygodni.

Nowe życie

Komunistyczne represje wobec ziemian w okresie reformy rolnej nie są masowe, swoją skalą nie zbliżają się nawet do terroru sowieckiego i niemieckiego. Ale wprowadzają atmosferę strachu i utrudniają adaptację do nowych warunków życia.

Pierwszy okres po wywłaszczeniu zdominowany jest przez chaos i niepewność: trzeba podejmować wiele doraźnych decyzji, nie wiedząc, jakie będą ich skutki. Tadeusz Zwierkowski z Plechowa w powiecie pińczowskim, który jak wielu ziemian z Kieleckiego znalazł się po utracie majątku w Krakowie, notuje we wspomnieniach: „Przez cały ten czas widziałem tłumy ziemian plątających się po Krakowie, to w poszukiwaniu mieszkania, to szukających jakiegoś zajęcia, bo przecież jasne się stało, że do majątku już się nie wróci. Po prostu nie wiadomo było, co robić".

Na początku wywłaszczeni trafiają zwykle do najbliższego miasta powiatowego, z czasem większość osiada w Krakowie, Warszawie lub na ziemiach poniemieckich. Początki w nowym miejscu są bardzo trudne. Gdy Maria Walewska w marcu 1945 r. opuszcza ostatecznie Kowalę i dociera z rodziną do Radomia, długo nie może znaleźć mieszkania – miasto jest zniszczone, do opróżnionych przez Niemców lokali wprowadzają się ludzie, którzy sami stracili dach nad głową. Lokum znajduje w końcu przypadkiem, wypytując o wolne mieszkania spotkanych na ulicy dalekich znajomych.

Kobiety samotne

Ziemianie tracą nie tylko dom, ale też warsztat pracy, czyli gospodarstwo. Wrzuceni w obce im środowisko miejskie, imają się różnych zajęć, nieraz krańcowo różnych od tego, czym zajmowali się do tej pory. Kobiety próbują uczyć w szkołach, produkują wyroby cukiernicze, młodsze pracują w kawiarniach jako kelnerki. Gdy Morawscy z Planty trafiają tymczasowo do Grębowa koło Tarnobrzega, niespełna 20-letni Tadeusz i Franciszek idą do pracy w pobliskiej fabryce garnków aluminiowych. Żyją w bardzo skromnych warunkach.

Edward Morawski, w 1945 r. dziewięcioletni, mówi mi, że zajmował się wówczas zarówno wypiekaniem chleba, jak i opróżnianiem szamba. Jego starszy brat Stanisław, dziś emerytowany zakonnik mieszkający w Genui, z pobytu w Grębowie pamięta głód i pojedyncze ziemniaki pływające w chudej zupie. Po przeprowadzce rodziny do Poznania, już po śmierci głowy rodu – Stanisława Morawskiego – Olga Morawska, aby utrzymać młodsze z ich trzynaściorga dzieci, pracuje jako dozorczyni.

Tak jak w innych grupach społecznych, wśród zdeklasowanego ziemiaństwa najgorzej mają bowiem po wojnie samotne kobiety. Zaliczają się do nich także Maria Walewska, której mąż umiera w 1946 r. na skutek chorób i przeżyć wojennych, oraz Nina Morstin, która w pojedynkę odbudowuje swoje życie na Dolnym Śląsku (pracuje w bibliotece, organizuje kursy repolonizacyjne dla osób uznanych za autochtonów, którym pozwolono zostać).

Podcięte korzenie

Na tle nędzy, w której pogrążona jest powojenna Polska, aspekt materialny ziemiańskiej deklasacji nie jest czymś wyjątkowym. W spalonych wsiach Kielecczyzny chłopi latami koczują w ziemiankach, w zniszczonych miastach nie ma gdzie mieszkać. Jednak ziemianie przeżywają coś więcej niż utratę majątku: tracą dom, pozycję społeczną, poczucie przynależności i sensu.

Zwłaszcza starsi będą latami tęsknić i śnić o tym, że odwiedzają dawny dom. W rzeczywistości nie są w stanie się z tym zmierzyć (zresztą nie pozwalają im na to władze: byli właściciele przez lata mają zakaz zbliżania się do dawnych majątków). Maria Grodzicka, która straciła majątek we Wrzącej w Łódzkiem, zapisze we wspomnieniach: „Byliśmy jak obuchem rażeni, wypadki powojenne zaskoczyły nas, grunt usunął się nam spod nóg. Przez utratę Wrzącej byliśmy jak drzewa, którym podcięto korzenie".

Michał Szymon Karski, przed wojną właściciel Włostowa w powiecie opatowskim, nigdy nie pojedzie zobaczyć, co władze komunistyczne zrobiły z jego domem – nie będzie chciał oglądać jego upadku. Jego syn Juliusz z wizyty we Włostowie w latach 50. zapamięta fornalskie psy uwiązane do bud stojących w pałacowym korytarzu.

Wielu tzw. „bezetów" (byłych ziemian, jak nazywano ich w PRL-u) z czasem stanie na nogi i odnajdzie się w nowym ustroju, a ich dzieci odbudują swoją pozycję społeczną i nauczą się w nowy sposób wykorzystywać gromadzony przez pokolenia kapitał społeczny. Ale będą to już indywidualne awanse, a nie odbudowa klasy. To, co rozpoczęli Niemcy i Sowieci, komunistom udało się doprowadzić do końca: na skutek reformy rolnej ziemiaństwo przestało istnieć jako grupa społeczna. Dla przeoranej przez wojnę i pozbawionej znaczącej części elit Polski była to ogromna kolektywna strata, a dla ziemian – bardzo indywidualne tragedie.

Z dworu w Kowali, na który w 1945 r. Maria Walewska długo patrzyła z bryczki odjeżdżającej do Radomia, nie zostało dziś nic poza resztkami zdziczałego parku.

© ANNA WYLEGAŁA

Autorka jest socjolożką, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W listopadzie w wyd. Czarne ukaże się jej książka „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce".

CO WPADA W SIECI

Nielegalny handel rzadkimi zwierzętami i preparatami zawierającymi wyciągi z ich ciał stanowi coraz większe wyzwanie dla ochrony przyrody. Na aukcjach można znaleźć nawet nowo odkryte gatunki.

JAKUB MEJER

Niewielkie rudo-żółte papierowe opakowanie z narysowanym nań konikiem morskim. W środku plastikowa buteleczka z setką zielonych pastylek, wykonanych głównie z ekstraktu z żeń-szenia, kilku egzotycznych ziół i sproszkowanych pławikoników – popularnie nazywanych konikami morskimi. Taka mieszanka ma według producenta poprawiać potencję, wzmacniać organizm i chronić drogi moczowe.

W ukraińskich aptekach jedno opakowanie tego suplementu diety kosztuje ok. 60 zł, na nielegalnych aukcjach w Polsce – dwa-trzy razy tyle. Jeszcze 10 lat temu podobny specyfik dostępny był także w polskich sklepach – i był bardzo popularny. Jak szacowała organizacja World Wide Fund for Nature, między 2005 a 2009 r. do naszego kraju sprowadzono w sumie 27 ton sproszkowanych koników morskich. To ok. 4 milionów martwych zwierząt.

Ekstrakt z pijawki

Od kiedy w 2011 r. produkt został w naszym kraju wycofany ze sprzedaży, coraz częściej jemu podobne można znaleźć na polskich granicach. Transport zwierząt (i w mniejszym stopniu roślin) jest regulowany przez obowiązującą od 1975 r. konwencję o międzynarodowym handlu dzikimi zwierzętami i roślinami gatunków zagrożonych wyginięciem, nazywaną konwencją waszyngtońską lub CITES (to skrót od jej anglojęzycznej nazwy). Zawarte w niej przepisy obejmują nie tylko żywe okazy, lecz także te martwe oraz produkty z nich wytworzone – o czym boleśnie mogą się przekonać nieświadomi turyści wracający do kraju z portfelem ze skóry aligatora lub kawałkiem skamieniałego koralowca zabranym z tropikalnej plaży.

Gdy myślimy o przemycie zwierząt, to pewnie przed oczami stają nam rzadkie rodzaje węży, pająków lub papug. Takie rzeczy też się zdarzają, ale rzeczywistość jest bardziej prozaiczna. Od kilku lat ogromną większość (nawet 99,9 proc. w 2019 r.) zatrzymywanych na polskich granicach za łamanie konwencji CITES okazów i produktów stanowią preparaty azjatyckiej medycyny tradycyjnej – zresztą trendy na całym świecie wyglądają podobnie.

Konik morski Hippocampus taeniopterus na rafie koralowej w pobliżu Indonezji.

GEORGETTE DOUWMA / GETTY IMAGES

Były to np. kremy z żółci lub tłuszczu niedźwiedzi (uważane za lekarstwo przeciwbólowe, przeciwzapalne, przeciwgorączkowe i przeciwpadaczkowe) oraz balsamy i ekstrakty z pijawek (stosowane na żylaki). Zdecydowanie najczęściej wpadały jednak osoby próbujące wwieźć produkty z koników morskich.

Ich popularność ma tragiczny wpływ na populację tych zwierząt i środowisko naturalne, w którym żyją. – W skali całego globu 14 spośród przeszło 40 gatunków pławikoników jest zagrożonych wyginięciem, głównie z powodu nieselektywnych sposobów połowu takich jak trałowanie. Tylko w przypadku jednego z gatunków wymieranie nie jest spowodowane wykorzystaniem ich przez człowieka – mówi „Tygodnikowi" dr Sarah Foster z Instytutu Oceanów i Rybołówstwa na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej i jedna z kierowniczek Project Seahorse, organizacji zajmującej się ochroną pławikoników.

Szorowanie po dnie

Trałowanie denne polega na wykorzystaniu dużej sieci, zakończonej grubą liną z ciężarkami, która niczym pług przemieszcza się po dnie, zbierając do sieci wszystko po drodze i zostawiając za sobą pustynię. – Taki sprzęt nie łowi wybranych gatunków, niszczy całe dno. Koniki morskie prowadzą osiadły tryb życia, potrzebują czegoś, czego mogą się chwycić. Tereny mocno dotknięte trałowaniem dennym są jałowe, więc brakuje tam takich struktur – wyjaśnia dr Miguel Correia z Centrum Nauki Morskiej przy portugalskim Uniwersytecie Algavre.

– Szacujemy, że w handlu, który obejmuje w różnym stopniu 87 państw, wykorzystuje się 31 gatunków koników morskich – mówi dr Foster. – To miliony osobników. Złapane pławikoniki w większości wykorzystuje się po wysuszeniu w medycynie tradycyjnej. Rzadziej handluje się żywymi osobnikami, pochodzą one głównie z hodowli i trafiają do prywatnych akwariów – dodaje kanadyjska badaczka.

Największy popyt na produkty z nich jest w Chinach, a zwierzęta są poławiane głównie w Azji Południowo-Wschodniej. Ale zainteresowanie jest tak wielkie, że zagrożone są także populacje występujące w Europie. – W 2016 r. zaczęliśmy dostawać informacje o kłusownikach, którzy w lagunie Ria Formosa w Portugalii łowią koniki i sprzedają je chińskim kupcom. Nieco później w hiszpańskiej Maladze zatrzymano transport dwóch tysięcy z nich – mówi dr Correia. Z kolei Włoski Instytut Środowiska Morskiego i Wybrzeża zauważył na przełomie 2016 i 2017 r. załamanie się populacji koników morskich w znajdującej się w tym kraju lagunie Mar Piccolo. Naukowcy również wiążą to z kłusownictwem, wykorzystywano do niego nawet materiały wybuchowe.

Cena pięknego akwarium

W ważących łącznie półtorej tony 50 kartonach, które dotarły na warszawskie lotnisko pod koniec czerwca, miały się znajdować „różne zwierzęta morskie". Celnicy o pomoc w identyfikacji gatunkowej poprosili specjalistę – pracownika akwarium w Miejskim Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie.

– Część z przewożonych zwierząt nie była zapakowana właściwie i niektóre z nich kaleczyły się nawzajem. Nie mogły długo czekać na dopełnienie spraw formalnych, dlatego podjęto decyzję o umieszczeniu okazów w bezpiecznych akwariach – wyjaśnia Anna Karczewska z warszawskiego zoo. W sumie transport obejmował 883 koralowce. – Na terenach, w których pracowałem, nigdy nie widziałem tylu koralowców w jednym miejscu. To oznacza, że pochodzą z większego obszaru – ocenia prof. Georgios Tsounis z Uniwersytetu Stanowego w Kalifornii.

119 osobników z całego transportu nie udało się uratować. – 259 zwierząt zostało w Warszawie. O zaopiekowanie się pozostałymi stołeczne zoo poprosiło ogrody zoologiczne we Wrocławiu i w Płocku – informuje Karczewska.

883 koralowce, które dotarły do Warszawy, to nasz niechlubny rekord, ale nie był to wcale jednostkowy przypadek. W 2018 r. ujawniono przemyt 53 żywych zwierząt i 20 kg skamielin. Rok później doszło kolejnych 30 kg tych ostatnich. W jakim celu są przywożone? W przypadku martwych zwierząt przemytnikami są często nieświadomi turyści. Jednak od kilku lat na całym świecie panuje moda na słonowodne akwaria, a zwłaszcza odtwarzanie w nich warunków raf koralowych. Jak wynika z badania Amerykańskiego Stowarzyszenia Produktów dla Zwierząt, liczba akwariów z morską wodą w USA w latach 2014-16 się podwoiła. W 2018 r. 15 milionów gospodarstw domowych w tym kraju miało akwarium, z czego co szóste było słonowodne. ↦

↦ Co roku łapane i sprzedawane hobbystom ma być 50 milionów zwierząt żyjących w rafach koralowych. W odróżnieniu od akwarystyki słodkowodnej, gdzie wiele gatunków (np. tzw. złote rybki) jest hodowanych, zwierzęta z raf najczęściej łowione są z naturalnego środowiska. – Koralowce są nie tylko pod presją spowodowaną zmianami klimatycznymi, dane pokazują, że dodatkowe problemy, takie jak połowy, mogą doprowadzić do ich miejscowych wyginięć – dodaje prof. Tsounis.

Gad jak nowy

We wrześniu ubiegłego roku w „Nature Communications" ukazała się analiza, z której wynika, że prawie 4 tys., czyli ok. 35 proc. z wszystkich znanych gatunków gadów jest dostępne w sprzedaży w internecie. Połowa okazów chwytana jest w naturze. Na aukcjach pojawiają się nawet bardzo rzadkie zwierzęta – 137 gatunków oferowanych na sprzedaż w sieci zostało odkrytych w tym stuleciu. Temat ten zainspirował dziennikarza serwisu Mongabay, który w maju pokazał m.in., że na uchodzących za największe tego rodzaju targi na świecie – Terraristika w niemieckim Hamm – za 250 euro można kupić np. krytycznie zagrożonego wyginięciem, odkrytego w 2001 r. legwana *Ctenosaura oaxacana.*

– Niemcy są ważnym punktem handlu gadami, jak i innymi grupami. To dotyczy niektórych bardzo specjalistycznych, zagrożonych gatunków, jak chociażby gekona Lichtenfeldera i gekona chińskiego – mówi „Tygodnikowi" prof. Alice C. Hughes z Tropikalnego Ogrodu Botanicznego Chińskiej Akademii Nauk w Xishuangbannie, współautorka wspomnianej publikacji w „Nature Communications". Tego ostatniego bez problemu można kupić na polskich stronach internetowych, serwisach ogłoszeniowych i forach dla terrarystów. Kosztuje w granicach 160-250 zł (jednak sam fakt dostępności w sprzedaży nie oznacza, że zwierzę pochodzi z nielegalnego źródła).

Odkryty w 2010 r. w Wietnamie gekon *Gekko takouensis* dostępny był w sprzedaży w internecie jeszcze w tym samym roku. Zidentyfikowany cztery lata temu w Iranie scynk (rodzaj jaszczurki) *Eumeces persicus* na rynku pojawił się już po trzech miesiącach. Z tego powodu niektórzy naukowcy nie ujawniają dokładnych lokalizacji, w których znajdują nowe gatunki – co wywołuje kontrowersje w ich środowisku.

W sprzedaży internetowej dostępnych jest 4 tys. gatunków gadów – czyli więcej niż co trzeci odkryty. **Połowa okazów chwytana jest w naturze.**

Wśród okazów zatrzymywanych w Polsce przez administrację skarbową podobne przypadki są rzadkością. W 2019 r. jedynie dwa z przemycanych żywych zwierząt były z grupy A konwencji CITES, czyli tej obejmującej najrzadsze gatunki (boa madagaskarskie, które ktoś próbował wywieźć na Ukrainę wraz z 114 innymi wężami, waranami i jaszczurkami). W 2018 r. odnotowano trzy takie przypadki – wszystkie dotyczyły papug.

Prof. Alice C. Hughes zwraca uwagę na handel pająkami. – Jest bardzo popularny w Polsce. Rynek gadów jest mniej rozwinięty niż pająków, ale w przypadku kameleonów, powszechnie dostępnych w handlu, wiele okazów bardzo prawdopodobnie zostało odłowionych ze środowiska naturalnego. Ich śmiertelność jest bardzo wysoka, bo źle znoszą niewolę – mówi Hughes, która aktualnie prowadzi badania nad handlem w internecie innymi grupami zwierząt, m.in. pająkami w Polsce.

Bo dziecko się nudzi

Bartek Gorzkowski, twórca egzotarium przy Schronisku dla Bezdomnych Zwierząt w Lublinie i prezes fundacji Epicrates, zwraca uwagę na specyfikę polskiego rynku: – Terrarystyka w Polsce jest na innym poziomie niż w Stanach czy krajach zachodnich, jest mniej elitarna. Przemyt rzadszych gatunków dotyczy tamtych krajów, ewentualnie Rosji. U nas z roku na rok najbardziej rośnie grupa, którą nazywam „trzymaczami". Normalnie mam kilka telefonów w tygodniu z pytaniami o adopcję zwierząt. Po zamknięciu szkół otrzymywałem kilkanaście dziennie od rodziców, którzy chcą cokolwiek, „bo dziecko się nudzi". I ten problem narasta – mówi Gorzkowski, zwracając uwagę, że taka specyfika rynku nie jest atrakcyjna dla osób próbujących sprzedać bardzo rzadkie zwierzęta: – U nas jest mały zbyt na tego typu zwierzaki. Do tego wymagane są duże pieniądze, nasz rynek jest dość ubogi. Terraryści w Polsce w olbrzymiej większości hodują te bardziej popularne gatunki, których już raczej nikt nie przemyca.

Gorzkowski dodaje, że szara strefa istnieje na pewno, ale wątpi, aby była duża. – Organizatorzy giełd w Polsce bardzo dbają, żeby nic nielegalnego się na nich nie znalazło. Stoliki kontrolują lekarze weterynarii, to się bardzo cywilizuje. Oczywiście nikt nie jest w stanie dopilnować do końca, czy ktoś czegoś pod stolikiem nie ma – mówi.

Ministerstwo Finansów, pytane o przykład bardzo rzadkiego okazu zatrzymanego podczas próby przemytu, wskazuje na arę szafirową, którą straż graniczna odkryła na przejściu granicznym w Medyce w walentynki 10 lat temu. „Super Express" informował, że przemycać ją miała ukraińska mafia dla bogatego kolekcjonera, jej wartość szacowana była na kilkadziesiąt tysięcy euro. Na początku lat 90. ta słynąca z pięknych piór papuga była uznana za gatunek prawie wymarły, wiedziano o zaledwie 50 żyjących ptakach. Od kilkunastu lat ich dziką populację szacuje się na nie więcej niż 400 osobników (są jednak dość powszechne w ogrodach zoologicznych). Okaz znaleziony w przykrytej kocem drewnianej klatce w bagażniku auta na polsko-ukraińskiej granicy najprawdopodobniej został złapany i sprzedany przez któregoś z rdzennych mieszkańców lasów amazońskich.

Ara najpierw trafiła do zoo w Zamościu, gdzie znajduje się ośrodek, do którego przekazywane są zatrzymane na ukraińskiej granicy zwierzęta, a następnie do wrocławskiej placówki. – Żyje i ma partnera urodzonego w zoo w Izraelu. Można je oglądać w nowej ptaszarni. Mamy nadzieję, że się rozmnożą – mówi Radosław Ratajszczak, prezes Ogrodu Zoologicznego we Wrocławiu.

To właśnie ara szafirowa na plakatach promuje otwarty w czerwcu po remoncie pawilon z ptakami.

■■■

Według aktualnych danych Międzynarodowej Unii Ochrony Przyrody ponad 18 proc. gatunków kręgowców i blisko 22 proc. gatunków bezkręgowców, których stan populacji został oszacowany, jest zagrożonych wyginięciem.

© JAKUB MEJER

Związek skonsumowany

ŁUKASZ KWIATEK

Konflikt międzypłciowy czasami przybiera w przyrodzie radykalną postać – gody kończą się pożarciem jednego partnera przez drugiego. Nowe badania pozwalają lepiej zrozumieć to zjawisko.

Samce modliszek Miomantis caffra nie mają w życiu łatwo.

Te wywodzące się z południowej Afryki owady przynajmniej od kilkudziesięciu lat można spotkać na wolności również w Nowej Zelandii – ich jaja mogły zostać przypadkowo zawleczone na inny kontynent przez turystów albo też jakieś kolekcjonerskie okazy wymknęły się hodowcom. Podobnie jak u wielu innych modliszek, u *M. caffra* występuje kanibalizm seksualny. O zjawisku tym mówimy, gdy samice, osiągające większe rozmiary i lepiej uzbrojone, zjadają swoich partnerów. Przykładowo, u modliszki zwyczajnej ok. 30 proc. wszystkich kontaktów samców i samic kończy się dla tych pierwszych tragicznie. W przyrodzie udokumentowano także rzadkie przypadki tzw. odwróconego kanibalizmu płciowego – np. samce pająków *Micaria sociabilis* chętnie spółkują z młodymi samicami, podczas gdy te starsze zjadają.

Najlepsza pora na obiad

Kanibalizm seksualny może wystąpić na różnym etapie „związku" – już podczas zalotów, gdy samiec podchodzi do potencjalnej partnerki, bezpośrednio po stosunku, a nawet w jego trakcie.

Samica, decydując się na tak radykalny krok jak pożarcie potencjalnego lub przyszłego ojca jej dzieci, ma więc do rozwiązania pewien dylemat. Jeśli wybierze konsumpcję samca, a nie związku, to ryzykuje tym, że nie zostanie zapłodniona. Oczywiście nie zastanawia się nad tym wszystkim świadomie – jej zachowanie jest efektem działania naturalnej selekcji, które w praktyce można sprowadzić do maksymalizowania szans na spłodzenie przez osobnika w ciągu całego życia jak największej liczby potomków. Dlatego np. samice u pająków pogończowatych (zalicza się do nich m.in. słynną tarantulę) uzależniają decyzję o momencie pożarcia partnera od swojej aktualnej kondycji. Jeśli pajęczyce są poważnie niedożywione, to z reguły rzucą się na samca od razu. Podobnie zachowują się samice, które zostały już zapłodnione. Dziewice z kolei zazwyczaj z pożarciem partnera zaczekają do odbycia stosunku.

Samce gatunków, u których występuje kanibalizm seksualny, przy każdej próbie spłodzenia potomstwa ryzykują więc życiem. Na ich niekorzyść działa to, że często stanowią względnie łatwy posiłek (bo nie mają wielkich szans na skuteczną obronę), i to prawie zupełnie darmowy (bo nie trzeba się za nim uganiać – to samce aktywnie szukają partnerek). Samce *M. caffra* są jednak w gorszej sytuacji niż dzielący podobny los samce pająków pogończowatych, bowiem u tych modliszek występuje fakultatywne dzieworództwo. Oznacza to, że samice *M. caffra* wcale nie potrzebują plemników, by wyprodukować zupełnie zdrowe potomstwo (córki, będące ich genetycznymi klonami).

Badania opisane w 2016 r. w „Animal Behaviour" przez Leilani Walker i Gregory'ego Holwella, zoologów z University of Auckland w Nowej Zelandii, dowodzą, że jaja składane przez zapłodnione samice *M. caffra* nie różnią się wielkością od jaj składanych przez samice niezapłodnione. Na różnice w rozmiarach złożonych jaj wpływa za to kondycja matki – te dobrze odżywione składają większe jaja (ponieważ mogą pozwolić sobie na inwestowanie większej ilości zasobów w potomstwo) niż te głodujące. Jak zaś łatwo się domyślić, potomstwo wyklute z większych jaj ma większe szanse na to, by w przyszłości przynieść matkom „zwrot z inwestycji" – czyli by przeżyć (a potem spłodzić własne dzieci).

Miłosne zapasy

Sytuacja samców *M. caffra* jest więc naprawdę nie do pozazdroszczenia – samice częściej muszą myśleć o nich jako o atrakcyjnym posiłku, a nie atrakcyjnym partnerze. Nic więc dziwnego, że samce te muszą się szczególnie pilnować. Gdy w warunkach eksperymentalnych umieści się samca *M. caffra* w jednym pojemniku z samicą, aż w 70 proc. przypadków będzie on ↦

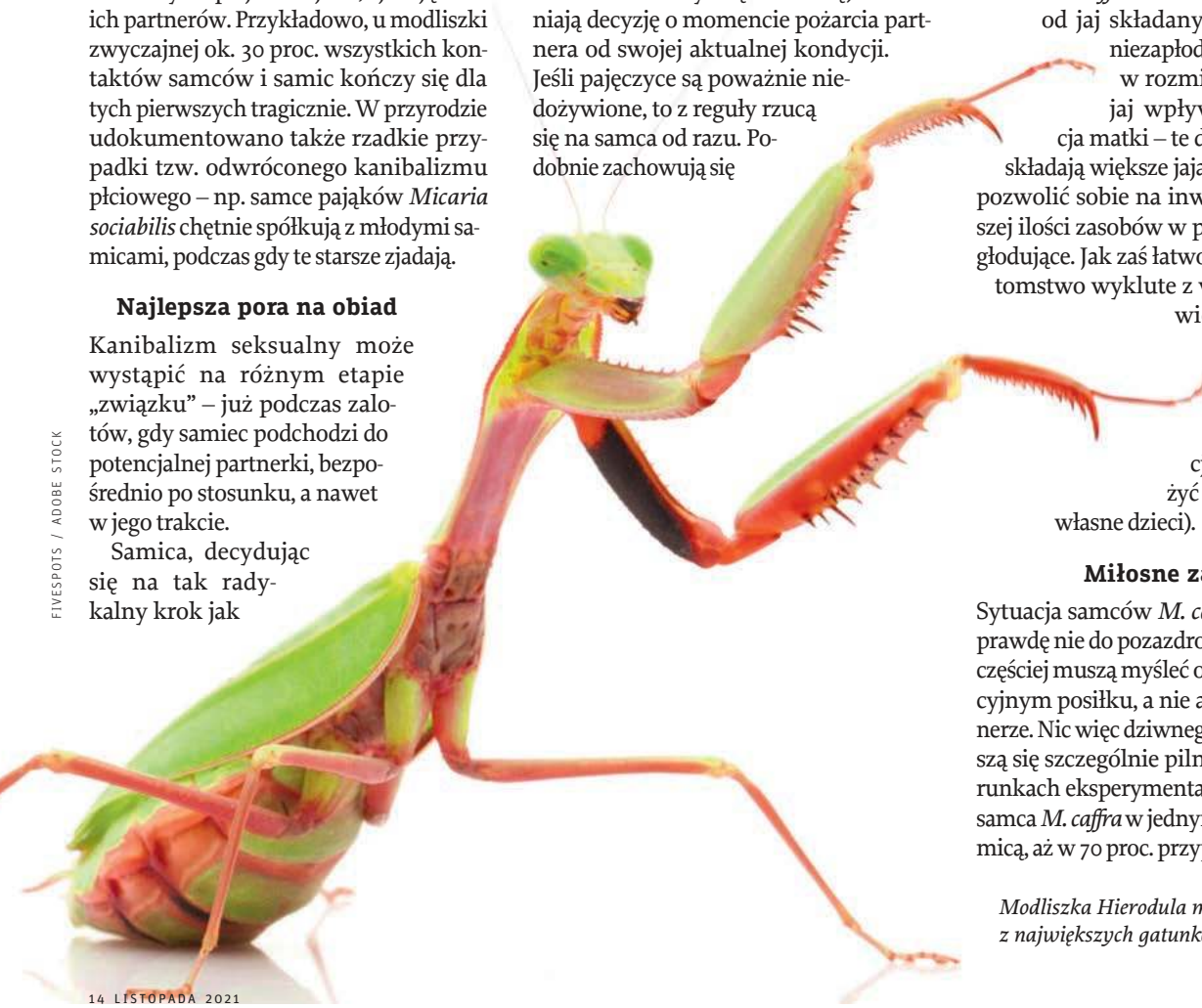

Modliszka Hierodula majuscula – jeden z największych gatunków tego owada.

FIVESPOTS / ADOBE STOCK

unikał jej towarzystwa – podczas gdy u gatunków, u których nie występuje kanibalizm seksualny, postawiony przed taką okazją samiec zazwyczaj natychmiast zacznie zaloty.

Nathan Burke i wspomniany już Gregory Holwell w styczniu tego roku opisali w „Biology Letters" jeszcze ciekawsze zachowanie – okazuje się, że samce i samice *M. caffra* rozpoczynają gody od próby obezwładnienia partnera przednimi odnóżami. Jeśli te swoiste zapasy wygra samiec, ocali życie – będzie w stanie zapłodnić samicę i po wszystkim bezpiecznie się oddalić. Ale jeśli mu się nie powiedzie, natychmiast zostanie zjedzony (dlatego u *M. caffra* do kanibalizmu dochodzi wyłącznie przed stosunkiem). Poddane bardzo silnej presji selekcyjnej samce tych modliszek widocznie wynalazły sposób na to, by dość skutecznie postawić się partnerkom – w opisanym eksperymencie to samce częściej były górą. Z niektórych walk samice wychodziły wręcz poranione – i one w miłości ponoszą więc pewne ryzyko.

Rozlana agresja

W jeszcze nowszym badaniu, z którego raport ukazał się niedawno w czasopiśmie „Animal Behaviour", Holwell i współpracownicy postanowili przyjrzeć się wzorcom zachowań poszczególnych osobników – po to, by przetestować przewidywania jednej z najpopularniejszych hipotez wyjaśniających występowanie kanibalizmu seksualnego. Sformułowana w latach 90. przez badaczy zachowań pająków tzw. hipoteza rozlania się agresji (*agressive spillover hypothesis*, ASH) głosi, że te samice, które w młodości bardziej agresywnie polowały, po osiągnięciu dojrzałości płciowej będą również bardzo chętnie pożerać samców. W duchu ASH, w przypadku tych samic skłonność do kanibalizmu wynikałaby więc z ich agresywnej „osobowości" (ekolodzy używają czasem tego wywodzącego się z psychologii terminu do klasyfikowania osobników przejawiających podobne wzorce zachowania). Również „osobowość" samców może mieć wpływ na ich los podczas kontaktów seksualnych. Np. osobniki, które aktywniej eksplorują środowisko, mogą niezbyt ostrożnie podchodzić do samic – co z jednej strony skutkować będzie częstszymi kontaktami seksualnymi, ale z drugiej – większym ryzykiem śmierci.

Samce często stanowią łatwy i tani posiłek.
Nie mają wielkich szans na obronę przed silniejszymi samicami. I nie trzeba się za nimi uganiać po całej łące.

Badacze, podobnie jak w przypadku wcześniejszych eksperymentów, monitorowali rozwój hodowanych w osobnych pojemnikach modliszek do czasu osiągnięcia przez nie dorosłości i przypisywali im poszczególne typy osobowości. Później łączyli samców i samice w pary. Okazało się, że bardziej agresywne samice stanowią atrakcyjniejsze partnerki – samce częściej i chętniej inicjowały z nimi zaloty. Jedno z możliwych wyjaśnień tego zjawiska jest takie, że agresywne samice są ogólnie życiowo bardziej zaradne – mogą być więc lepszymi kandydatkami na matki.

Okazało się też, że te bardziej agresywne samice wcale nie atakowały samców nadspodziewanie często – a więc kanibalizmu seksualnego w tym gatunku nie da się wyjaśnić hipotezą rozlania się agresji. Wyniki pokazały również, że najchętniej niedoszłych partnerów pożerały młode samice. Badacze spekulują, że samicom *M. caffra* może szczególnie opłacać się rozpoczęcie reprodukcji od dzieworództwa i zmiana strategii rozrodczej wraz z wiekiem. Choć nie wiadomo jeszcze, jakie dokładnie korzyści miałyby z tego wynikać. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle pod sygn. akt I Ns 288/21 z wniosku Gminy Dębowiec toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Bubie zmarłej 29.05.2021 r. w Dębowcu, ostatnio przed śmiercią zamieszkałej w Dębowcu w powiecie jasielskim. W skład spadku wchodzą nieruchomości położone w Dębowcu o powierzchni 1,6506 ha wraz z zabudowaniami i środki pieniężne.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 43/21 prowadzi postępowanie z wniosku Gminy Rzezawa o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Pęcak s. Władysława i Katarzyny zmarłym 5 stycznia 2017 r. w Rabie Niżnej, mającym ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Bratucicach gm. Rzezawa. Zmarły był wdowcem, według dotychczasowych ustaleń nie pozostawił zstępnych.

Sąd wzywa spadkobierców Józefa Pęcak do zgłoszenia się do tut. sądu i udowodnienia swych praw do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 333/21 toczy się postępowanie z wniosku Krystyny Cichostępskiej o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na jej rzecz własności działki ewid. nr 871 o pow. 0,12 ha, położonej w Uszwi gm. Gnojnik.

Działka nr 871 wpisana jest w księdze wieczystej nr TR1B/00012026/4, w której jako właściciele ujawnieni są: Kazimierz Panek, Maria Rozalia Panek, Marja Duśkowa, Wiktorja Smaluchowa, Walenty Wąs, Stefania Cichostępska, Florian Cichostępski i Feliks Cichostępski (wpisy z lat 1918-1961).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

WOLNOŚĆ KOCHAM I ROZUMIEM

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 46/2021

ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA

Parada Świętomarcińska w Święto Niepodległości. Poznań, 11 listopada 2018 r.

Debata nad wolnością

NIKODEM BRZÓZY OP:

Jezus obalił legalizm religijny i państwowy, aby swój Kościół budować z ludzi wolnych, przyłączających się do Niego z własnej, nieprzymuszonej woli.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Uda się w tym roku odzyskać Święto Niepodległości – przynajmniej w Poznaniu?

NIKODEM BRZÓZY OP: Mam nadzieję. W tym celu organizujemy debatę z udziałem takich gości, jak prof. Marcin Matczak, Agnieszka Holland, Aleksander Kwaśniewski, Bronisław Komorowski, prof. Anna Wolff-Powęska, Tomasz Dostatni OP czy ks. Adam Boniecki, którą poprowadzi Karolina Lewicka z radia TOK FM. Chcemy rozmawiać o patriotyzmie, rozumianym przede wszystkim jako obrona demokracji tu i teraz, w Polsce roku 2021.

Bronimy jej od ładnych paru lat...

NB: Znaleźliśmy się w punkcie krytycznym – nie da się już dłużej ignorować tego, że demokracja w Polsce umiera na naszych oczach.

Dlatego wybraliście akurat Święto Niepodległości?

NB: Pamięć historyczna jest oczywiście ważna, ale bez aktywnej troski o współczesną kondycję naszej ojczyzny zamienia się w puste gesty – kuriozalny i pozbawiony znaczenia obrządek. Patriotyzm to przede wszystkim dbanie o teraźniejszość, a nie jedynie celebrowanie przeszłości. Wzięliśmy sprawy we własne ręce. Nie możemy liczyć na obecne władze Polski, bo to przecież one są winne systematycznego niszczenia porządku demokratycznego w naszym kraju.

MICHAŁ MERCZYŃSKI: W Poznaniu od lat mamy już tradycję marszu św. Marcina. Ten rzymski patron, choć żołnierz, bardziej kojarzy się z dzieleniem się chlebem niż z walką, zapewne stąd też nasze słynne rogale. W Poznaniu nigdy nie płonęły samochody transmisyjne ani mieszkania znanych fotografików. Dlatego jestem pewien, że odzyskamy Święto Niepodległości dla wszystkich obywateli tego kraju, a wraz z nim język i symbole patriotyzmu. Aczkolwiek nie stanie się to jednego dnia. To długi proces, który zresztą już trwa. Takie inicjatywy, jak choćby debata, której pomysłodawcą jest o. Brzózy, dodają energii, budzą ludzi ze stuporu i bezsilności, dają nadzieję, że jeszcze nastaną dla naszej demokracji lepsze czasy.

Zwłaszcza że są ciągle w Polsce politycy, którzy nie złożyli broni.

MM: Nasza debata, którą Fundacja Malta organizuje wspólnie z Estradą Poznańską, nie odbyłaby się, gdyby nie wsparcie samorządowców różnych szczebli: prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka, starosty poznańskiego Jana Grabkowskiego oraz marszałka województwa wielkopolskiego Marka Woźniaka. W Poznaniu od dawna cenimy pracę oddolną, organiczną, w co idealnie wpisuje się nasze współdziałanie z samorządem. Chciałbym, aby nasz region stał się przykładem dla reszty kraju.

Ważną częścią debaty będzie rachunek sumienia Kościoła.

NB: Odważyłem się zrobić rachunek sumienia przede wszystkim we własnym imieniu, księdza i zakonnika – ale też instytucji, której jestem częścią. Chodzi o stosunek do demokracji, która jest przecież promocją ludzkiej wolności, a więc w żaden sposób nie stoi w sprzeczności z chrześcijaństwem. Wręcz przeciwnie – Ewangelia to właśnie opowieść o wolności. Jezus obalił legalizm religijny i państwowy, aby swój Kościół budować z ludzi wolnych, przyłączających się do Niego z własnej, nieprzymuszonej woli. A w dzisiejszych czasach jednym z warunków tej wolności jest istnienie społeczeństwa obywatelskiego w ramach demokratycznego państwa prawa.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

MICHAŁ MERCZYŃSKI (ur. 1962) – kulturoznawca i animator kultury, współtwórca i dyrektor Malta Festival Poznań. W latach 2005-2017 dyrektor Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

NIKODEM BRZÓZY (ur. 1961) – dominikanin, doktor filozofii KUL i doktor habilitowany teologii PWTW. Duszpasterz poznańskiej Wspólnoty św. Jacka, wspólnoty Wiara i Światło oraz Stowarzyszenia Pracowników Naukowych im. prof. St. Kasznicy.

PARTNERZY WYDARZENIA:
MALTA FUNDACJA
ESTRADA POZNAŃSKA
POZnań
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO
POWIAT POZNAŃSKI

Będzie z nich dumna

AGNIESZKA HOLLAND

Czy niepodległość może być podszyta strachem? Czy niepodległość to wsobność, egoizm, pogarda dla innego, pielęgnowanie najbardziej wykluczających tradycji?

Czy może raczej niepodległość to mądra odwaga niezależności, poczucie własnej wartości, które wyklucza ksenofobię, szacunek i empatia dla drugiego, innego, radość z wolności i chęć dzielenia się nią? Czy patriotyzm to niechęć do innych, wsobna swojskość, strach przed zmianą, przed otwarciem się, czy poczucie przynależności do wspólnoty, obejmującej nie tylko miejsce urodzenia, lecz także kontynent i planetę, ludzi mówiących tym samym językiem i tych o innym kolorze skóry i innej historii? Czy patriotyzm oznacza podziały, czy łączenie? Czy może oznaczać odpowiedzialność za bliźnich, za inne niż ludzie istoty, za rośliny, pejzaże, budowle, dzieła sztuki?

Polska straciła niepodległość pod koniec XVIII wieku z własnej winy i na własne życzenie. Odzyskała ją po ponad 120 latach, trochę dzięki odwadze i uporowi jednostek, trochę wskutek nieprawdopodobnych, wyjątkowo sprzyjających okoliczności historycznych: jej wszyscy trzej okupanci przegrali pierwszą wojnę światową i powstała przestrzeń do zupełnie nowego układu sił w Europie.

Już po ośmiu latach, w 1926 r., zrezygnowaliśmy z demokracji. Kolejne 12 lat było zsuwaniem się ku przepaści.

Nie czas tu na analizę błędów dwudziestolecia międzywojennego i uzależnień od europejskiego i światowego kontekstu.

Faktem jest, że już wówczas w tym rzekomo chrześcijańskim kraju głównym budulcem politycznym była wzajemna nienawiść i pogarda wobec słabszych, biedniejszych, nieuprzywilejowanych. Mniejszości, kobiet, nędzarzy. A polski Kościół katolicki odegrał kluczową rolę w budowaniu tej twierdzy pychy, strachu i pogardy, którą oblegały najpierw fantomy wrogów, stworzone na użytek zarządzania strachem, a potem już wrogowie prawdziwi. Tylko że przed tymi prawdziwymi nikt nie chciał nas bronić, a rządzący uciekli do Rumunii, pozostawiając ludność na łup najeźdźców.

A przedtem ugruntowana przez XIX wiek sympatia elit zachodnich do Polski, bohatersko walczącej o niepodległość w powstaniach i na frontach różnych wojen, „za wolność naszą i waszą", sympatia wzmacniana obecnością żywej polskiej kultury w obiegu europejskim, powoli rozmywała się przez okres międzywojennego dwudziestolecia. To

WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

prawda: cała Europa stawała się antysemicka, ale to u nas były pogromy i getto ławkowe; to prawda: zachodnie państwa były okrutnymi często kolonizatorami, ale to u nas traktowano Białorusinów i Ukraińców, obywateli Rzeczypospolitej, jak ludzi drugiej kategorii. Wiele pięknych, równościowych praw przyjętych na początku naszej niepodległości stało się wkrótce pustą literą: prawa kobiet, prawa mniejszości, również rzadka wtedy w Europie tolerancja dla mniejszości seksualnych. Tak jak dziś pustą literą stała się idea solidarności, która przyniosła nam wolność, podziw świata i umocowanie w rodzinie demokratycznych państw prawa.

Polska leży między Rosją i Niemcami – tej banalnej prawdy nic nie zmieni. Nasza niepodległość i bezpieczeństwo są zależne od wiarygodności sojuszy międzynarodowych, od tego, czy inni będą chcieli „umierać za Gdańsk". Zarówno wtedy, jak i dzisiaj nikt za Polskę skłóconą z wszystkimi, za Polskę nieszanującą własnego prawa i układów międzynarodowych, za Polskę *liberum veto*, za Polskę szczującą na własnych obywateli umierać nie będzie chciał. Musimy zdać sobie z tego sprawę.

Ludzkość wydaje się zapominać o doświadczeniach totalitaryzmów XX wieku, a obecne zagrożenia, wyzwania i zmiany znajdują ją nieprzygotowaną, gotową w ślepej obronie swego iluzorycznego stanu posiadania do zbrodni, również masowych zbrodni.

Druga wojna światowa była dla ludzkości próbą granic człowieczeństwa, była nią również w okupowanej Polsce. Tutaj taką próbą nie tylko odwagi, lecz także człowieczeństwa – a dla wierzących chrześcijaństwa – był stosunek do mordowanych Żydów. Chcemy dziś czcić Sprawiedliwych, nie pamiętając, że była ich garstka, nie pamiętając, że niektórzy Polacy uczestniczyli w mechanizmie Zagłady, a większość była obojętna lub zadowolona z takiego rozwiązania „kwestii żydowskiej".

Tym, którzy śledzą tragiczne wydarzenia na wschodniej granicy naszego kraju, skojarzenia z tamtymi czasami nasuwają się nieuchronnie.

Przy pompatycznym języku o świętych granicach, wojnie hybrydowej i bohaterskiej obronie naszego bezpieczeństwa odbywa się proceder dehumanizowania przez władze złapanych przez Łukaszenkę w pułapkę nadziei, kłamstwa i manipulacji migrantów, ludzi uciekających przed prześladowaniami, wojną, głodem lub po prostu brakiem perspektyw na sensowne życie w krajach, do których destrukcji również myśmy się przyczynili. Następnie zamyka się ich w kleszczach obustronnych łapanek i wywózek, zwanych dziś pushbackami, co prowadzi do chorób, śmierci z zimna, głodu i wycieńczenia w naszych i białoruskich bagnach i lasach.

I znów nasze lasy pełne są uciekających i kryjących się jak szczute zwierzęta przerażonych ludzi: mężczyzn, kobiet, również ciężarnych, matek, starców i dzieci. Mundurowi dostają nieludzkie rozkazy, a większość miejscowych – nawet jeśli widzi, co się dzieje, nie wierzy już w oficjalną propagandę – boi się pomagać. I znów wyjątkiem są współcześni „sprawiedliwi", którzy ratują nasze człowieczeństwo. Władza otoczyła ten teren kordonem stanu wyjątkowego, nie wpuszczając tam mediów, ↦

↦ medyków, organizacji pomocowych, żeby nikt nie był świadkiem rodzaju eksterminacji, która się tam odbywa.

Nie chcę wiedzieć, jakim politycznym celom mają służyć te śmierci, ale wiem, że dziś znów toczy się walka o duszę Polaków, a również o duszę Europy, tchórzliwej, chowającej głowę w piasek przed perspektywą nadciągających milionami uciekinierów z terenów ogarniętych suszą, głodem, wojnami o wodę, przed tragedią klimatyczną, Europy zupełnie nieprzygotowanej do tych nowych wyzwań.

Jeśli polsko-białoruska granica jest rodzajem laboratorium, które Europa obserwuje z powściągliwą życzliwością, to nie mam złudzeń, że przy kolejnym kryzysie masowa, organizowana przez rządy eksterminacja migrantów na morzu i lądzie może stać się faktem.

A wtedy zapomnijmy o kontynencie demokracji, prawa, praw człowieka. Koniec z rewolucyjną wciąż nauką Jezusa, z chrześcijaństwem Ewangelii. Już dziś głosy biskupów, tak aktywnych w zwalczaniu *gender* i LGBT oraz w obronie martwych i chorych płodów, są rzadkie i nieśmiałe, a kościoły katolickie na terenach, gdzie ludzie umierają w lesie, są dla tych ludzi na głucho zamknięte.

Niepodległość to piękne pojęcie. Ale czy potrzebna nam taka, która ma cementować wspólnotę przez zabijanie niewinnych ludzi? Czy nie jest tak, że dziś to my, niepodlegli polscy obywatele, jesteśmy odpowiedzialni za ich życie i śmierć?

Przeczytałam właśnie wpis jednego z mieszkających w „zonie śmierci", jak już się nazywa to miejsce, współczesnego sprawiedliwego, pisarza i filozofa, Mirosława Miniszewskiego, który przez ostatnie miesiące spędza dni i noce, chodząc z ciężkim plecakiem po lasach i bagnach, niosąc podstawową pomoc potrzebującym:

„Starożytni Grecy mieli dwa pojęcia na określenie życia: dzoe i bios. Pierwsze to czyste, nagie życie z początkiem i końcem. Drugie, od którego pochodzi »biografia«, to życie, które można opowiedzieć. Biografie wielu przetrwały ich dzoe. Eichmann, Hoess, Himmler, Franco, Bierut, Moczar, Jaruzelski, Kiszczak. Byli przekonani, że czynią dobro dla swoich ojczyzn. Jakie my, współcześni Polacy, spiszemy biografie? Dzisiaj dowiedziałem się od jednego znajomego, że jestem zdrajcą Polski. Jeśli dając komuś wodę, jedzenie i śpiwór, zdradzam Polskę, to trudno, tym gorzej dla niej. Sam »piszę« codziennie swoją autobiografię...".

Nie wierzę, nie chcę wierzyć, że Polska może uznać pomoc bliźniemu, jakiejkolwiek byłby wiary, rasy, orientacji seksualnej, narodowości – za zdradę. Może nie teraz, ale kiedyś będzie z tych pomagających Polaków dumna, jak dumę ze Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, tych tak długo przemilczanych bohaterów niemieckiej okupacji, głoszą dziś nawet obecnie rządzący nacjonaliści...

© AGNIESZKA HOLLAND

Kościół i demokracja

NIKODEM BRZÓZY OP

Czy między chrześcijaństwem a demokracją musi istnieć antagonizm? Można by sądzić, że są to różne rzeczywistości, a ich zderzenie jest nieuchronne. Ale przecież Ewangelia opiera się na ludzkiej wolności.

Papież Franciszek nawołuje instytucje Kościoła do nawrócenia społecznego i duszpasterskiego. Oznacza to porzucenie egoizmu oraz ciasnych mentalnych ram. Ten negatywny proces ideologizacji wiary dotyczy niestety polskiego Kościoła. Spróbujmy zatem teraz zrobić rachunek sumienia po to, by odrzucić wszelką ideologię wymierzoną w ludzką wolność.

Rolą chrześcijaństwa jest inspirowanie sumień, a nie panowanie nad nimi. W dzisiejszej Polsce nie zawsze głoszona formuła wiary tworzy wystarczającą przestrzeń dla wolności, przekonań wiernych i społecznej debaty. Ewangelia nie jest gotowym przepisem na życie ani zestawem rozporządzeń, co oznacza, że nie jest ideologią.

W naszym kraju wiara bywa traktowana jako bonus polityczny, a nie jako zobowiązanie moralne, stąd często jest instrumentalizowana. A przecież Bóg nie jest własnością ugrupowania czy partii. Czy Kościół jako instytucja nie stanął zbyt blisko władzy, nie wdał się w wojnę ideologiczną? Taka postawa niszczy zarówno wiarę, jak i demokrację.

Nasze społeczeństwo jest pęknięte i podzielone. Przyczyną tego jest autorytarny sposób sprawowania władzy, któremu niestraszne dzielenie społeczeństwa, niestraszne palenie mostów i wyruszanie w podróż, z której nie ma powrotu. Efektem tego jest społeczny konflikt, bunt i destabilizacja państwa. Wielu z nas doznaje już zawrotów głowy, ogarnia nas coraz większy niepokój. Nie huśtajmy już tym państwem, opamiętajmy się, bo powypadają nity, które je spinają, a wtedy znajdziemy się w otchłani.

W Polsce naruszany jest porządek konstytucyjny, niszczone są podstawy demokracji. Od kilku lat ten destrukcyjny proces narasta. Zanika trójpodział władzy. Zawłaszczone zostały: Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa, Sąd Najwyższy. A utworzona Izba Dyscyplinarna podważa niezawisłość sędziowską. Nie mamy już prawdziwej demokracji, lecz jej autorytarną hybrydę. Dlaczego Kościół nie broni wolnych sądów, niezależnych mediów, pluralizmu politycznego? Czy czasem nie dlatego, że relacje między nim a rządzącymi są zbyt poufałe? Rządzący chyba już przekonali polski Kościół, że jedynie oni są prawdziwymi katolikami i patriotami, a reszta to wrogowie chrześcijaństwa. Ile w tym pychy, ile rozdętego ego, ile szyderstwa, ile biedy duchowej, która szczyci się sama sobą!

Trzeba zapytać o wolne media. Bez nich nie ma demokracji. Niestety, te państwowe zawłaszczył obóz władzy. Nie są to już instytucje publiczne, lecz rządowe. Zamiast rzetelnej informacji mamy propagandę, a kultura jest podporządkowana ideologicznej wizji. Królują disco polo, seriale, żenująca satyra polityczna, kłanianie się władzy i strywializowany przekaz religijny. Wiara powinna przekładać się na kulturę. Jeśli tak się nie dzieje, to jest ona nieautentyczna. Tymczasem widzimy, jak szybko wiarę przekłada się na ideologię i politykę, to łatwiejsze niż tworzenie kultury duchowej i społecznej. Dlaczego Kościół milczy, widząc upolitycznienie publicz-

nych mediów? Może sam ma problemy z wolnością słowa i wolnym dziennikarstwem? Co z katolickimi mediami, czy są one wystarczająco niezależne, opiniotwórcze, odważne, czy prezentują wystarczający poziom merytoryczny, czy jednają ludzi, czy też może ich antagonizują? I co zrobić, jeśli niektóre z nich dzielą, poniżają i oczerniają innych?

Polska staje się państwem autorytarnym. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest mylenie wymiaru religijnego i moralnego z porządkiem prawnym i politycznym. Czynienie z moralnych zasad restrykcji prawnych to właśnie jest autorytaryzm, co stoi w sprzeczności z Ewangelią. Jezus nie unieważnił Dekalogu, ale nakazał go wypełniać w duchu wolności, a nie pod pręgierzem prawa. Ta ewangeliczna opcja na rzecz wolności stała się inspiracją dla wolnościowych idei Europy. Koncepcja demokracji w wydaniu zachodnim wyrasta z tego dziedzictwa. Świat Zachodu musiał się wiele natrudzić, by to zrozumieć. Dlatego walka z wolnościowymi ideami nie jest żadną obroną dziedzictwa chrześcijańskiego, lecz powrotem do legalizmu. Jan Paweł II i papież Franciszek nigdy nie zachęcali do walki z demokracją, lecz do jej upodmiotowienia. Katolicyzm nie może stać w sprzeczności z zasadą poszanowania sumienia i nie może wykluczać politycznego kompromisu.

Obecnie forsowany przez władzę model autorytarnej demokracji niszczy tę podmiotowość. Centralizacja zamiast zasady pomocniczości, ideologizacja zamiast pluralizmu poglądów – to grzechy obecnej władzy. Czy przypadkiem Kościół instytucjonalny nie bierze w tym udziału?

System prawny musi wyrażać przekonania wszystkich obywateli. Mówi o tym preambuła polskiej konstytucji. Tymczasem w Polsce model prawny jest tworzony bez ugody społecznej. Taki stan rzeczy jest zarzewiem buntu i przyczyną podziałów. Dotyczy to takich chociażby kwestii, jak ochrona płodu ludzkiego, *in vitro*, adopcja dzieci czy działanie na rzecz swobód osób LGBT. Czy zatem Kościół przynagla obecny rząd do dialogu i ugody?

Ostatnie orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego, dotyczące obrony życia, nie uwzględnia wystarczająco przekonań obywateli. Nie przeprowadzono żadnej poważnej publicznej debaty. Skutkiem takiego działania jest społeczny bunt i rosnąca radykalizacja przekonań dotyczących aborcji. Wielka szkoda, że wiele środowisk Kościoła tego nie widzi. Co taka polityka ma wspólnego z propagowaniem kultury życia? Zadaniem Kościoła jest formowanie sumień przez przekaz wiary, a nie wywieranie presji na rządzących w celu zaostrzenia prawa karnego. Czy Kościół instytucjonalny nie czynił

ARCHIWUM PRYWATNE

niepotrzebnych nacisków na władzę, by ta bez dialogu ze społeczeństwem rozwiązywała tak wrażliwe problemy?

Dlaczego kobietom do tej pory nie zabezpieczono prawnie warunków do opieki nad dziećmi nieuleczalnie chorymi i niepełnosprawnymi? Czy to nie porażka nie tylko państwa, lecz także Kościoła, że nie mają one wystarczającego wsparcia materialnego i moralnego? Że czują się napiętnowane i zostawione samym sobie? Nie nakładajmy na bliźnich ciężarów nie do uniesienia, zwłaszcza że sami nie mamy zamiaru ich nosić.

Osoby homoseksualne i cała społeczność ludzi nieheteronormatywnych to nasi bliźni. Homoseksualność to ludzka kondycja. Jest ona wpisana w egzystencjalną tożsamość. Czy to nie gorzki paradoks, że we wspólnocie kościelnej są oni osądzani i napiętnowani? Czy to nie porażka Kościoła, że czują się bardziej wolni i kochani poza jego granicami? Jak bardzo musi być przeinaczone głoszenie Ewangelii, jeśli niemało ludzi uważa, że aby czuć się wolnym, trzeba porzucić wspólnotę kościelną? Czy to nie alarmujące, że przynależność do Kościoła może stać się przyczyną lęków i religijnych neuroz? A przecież Ewangelia jest Dobrą Nowiną. I dlatego jej głoszenie zawsze powinno nieść doświadczenie wolności i miłości, a nie odrzucenie, zawstydzenie i lęk. I wreszcie tzw. strefy wolne od LGBT. Obrona wartości rodziny nie może polegać na dyskryminacji osób nieheteronormatywnych. Wszystkie te osoby – również te, które dokonały coming outu – powinny mieć możliwość pełnego uczestnictwa w życiu społecznym i religijnym. Ci nasi bliźni często poszukują Boga i są Jego synami oraz córkami. To nie są dzieci innego Boga, lecz tego samego, wspaniałomyślnego, przenikliwego, który kiedyś odpowie na wszystkie pytania, na każde, „po co?" i „dlaczego?". Nie wchodźmy w rolę Pana Boga. Nasi bliźni potrzebują miłości, a nie moralizatorstwa. Dlatego niczego im nie narzucajmy, zostawmy ich w spokoju, żyjmy tak, by oni sami chcieli nas kiedyś zapytać o Boga. Słuchajmy uważnie papieża Franciszka, wiele możemy się od niego nauczyć.

I jeszcze jeden bardzo trudny temat. Kościół musi się rozliczyć z przestępstw pedofilii. Do tej pory wiele spraw nie ujrzało światła dziennego. Ukrywanie pedofilów pokazuje, jak bardzo w instytucjach kościelnych brakuje empatii dla skrzywdzonych i najsłabszych. Kościół głosi orędzie o Miłosierdziu Bożym, ale niestety bywa i tak, że jest obojętny, a nawet okrutny dla ofiar. Kościół musi przyznać się do każdej winy i zadośćuczynić. Uniżony ton i oględne odpowiedzi na dramatyczne pytania ofiar przemocy nic tu nie dadzą. To tylko słowa, które szybko umierają na ustach. Bez pokuty i zadośćuczynienia Kościół utraci moralne prawo do głoszenia Ewangelii. Bez pojednania się z ludźmi i z Bogiem Kościół nie będzie ani winnicą Pańską, ani zielonym drzewem życia, lecz – mając w pamięci jeden z psalmów – zwałem suchych liści, które wiatr rozmiata. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK
DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 46/2021
REDAKCJA: Michał Sowiński
FOTOEDYCJA: Jacek Taran
SKŁAD: Andrzej Leśniak

DEBATA „WOLNOŚĆ KOCHAM I ROZUMIEM" odbędzie się 11 listopada o godzinie 20.00 w Sali Białej Urzędu Miasta Poznania. Całość będzie transmitowana przez TVN24. Więcej informacji o wydarzeniu, a także treść przemówień wszystkich panelistów na: **malta-festival.pl** albo pod kodem QR.

HANNA

Krall:
W/V, historie rodzinne

Aktor Jan D. gra żydowskie dziecko polskich rodziców. Polacy uratowali go, syn nie wiedział o niczym, nadchodzi czas, gdy wyznają prawdę.

Najpierw tłumaczą, co to jest Żyd. To jest, synuś, bardzo proste, mówi matka. Żyd to Żyd. Inny jest i ma te swoje malownicze atrybuty.

Otwierają tobołek z czasów wojny i wyjmują chałat i jarmułkę. I brodę z pejsami wyjmują, bo w teatrze i takie rekwizyty w wojennych tobołkach są możliwe.

I traumę ma, dodaje matka. Albo przynajmniej problem, bo Żyd po to jest, żeby było smutno.

Następnie pokazują, jak Żyd stawia kroki. Chodzisz, synuś, jakbyś chciał do tyłu iść, ale idziesz do przodu. I głową powinieneś kiwać do góry i na dół, a czasami na skos. I do góry patrz, jakbyś szukał znaków na suficie.

Syn idzie spać, a matce robi się smutno. Bo tacy jak on pana Jezusa zabili, żeby przejąć kontrolę nad światem, przez co mamy wodę zatrutą w kranach.

Aktor lubi swoją rolę i przedstawienie – żartobliwe i poważne na przemian – i chętnie o nim w wywiadach opowiada. Podkreśla przy tym, że urodził się w Wilnie, mieście wielu kultur, w którym nigdy nie było waśni między narodami. A już zwłaszcza antysemityzmu nigdy nie było.

Aktor chce wiedzieć, co piszą w recenzjach, googluje „Jan D..." i ukazuje mu się przedwojenna gazeta „Kurier Grodzieński". I Jan D. ukazuje się, tylko że oskarżony o wyrób materiałów wybuchowych. Do bomby. Którą pod synagogę podłożył.

Wyjaśnia się, że Jan D. od bomby to rodzony brat rodzonego dziadka aktora Jana D. Niewykluczone nawet, że po nim, po wujecznym czy stryjecznym dziadku Jan D. odziedziczył imię.

Rodzina nie była zamożna. Jan D. zapisał się na uniwersytet i poprosił rektora o pożyczkę. Albo o czesne w wysokości dwudziestu ośmiu złotych. Tyle zarabiał w ogrodach uniwersyteckich (siedem złotych za tydzień) i na tyle było go stać.

Studiował chemię. Dlatego wiedział, czym napełnia się butelkę, która ma wybuchnąć: benzyną i dwusiarczkiem węgla.

Miał przyjaciół. Nosili imiona – Oktawian, Modest i Napoleon. Byli lepiej od Jana D. urodzeni i z pewnością nie prosili rektora o pożyczkę na czesne.

Byli członkami Młodzieży Wszechpolskiej. Byli ideowi i pomysłowi. Stawali przed salą wykładową i wpuszczali tylko polskich studentów. Studenci zajmowali miejsca po prawej stronie, po czym wpuszczano Żydów. Mieli po lewej usiąść.

Jan D. i jego przyjaciele bardzo pilnowali stron, prawej i lewej. W obronie prawej strony potrafili się bić, co rektor nazwał uchybieniem godności akademika.

Podczas jednej z bójek Jan D. rozerwał koledze marynarkę. Kolega oświadczył, że rozerwanie było nieumyślne, rektor oświadczył, że udział w bójce miał charakter odruchowy. Jan D. otrzymał upomnienie, najłagodniejszą z kar.

Poza pilnowaniem stron w sali wykładowej Jan D. pilnował stołów. Stały w pracowniach chemicznych. Dzięki Janowi D. i jego kolegom w pracowni chemii analitycznej ilościowej oraz chemii analitycznej jakościowej były oddzielne stoły. Polskie i żydowskie.

TYGODNIK POWSZECHNY
Wolność, równość, siostrzeństwo!
Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet
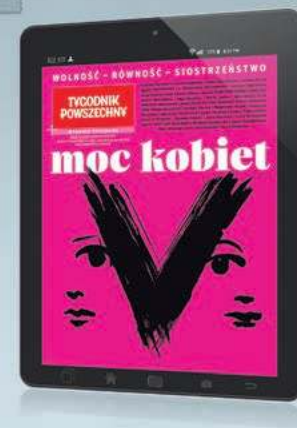

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Jan D. poszedł na wojnę.

Był na zesłaniu, na Zaporożu pracował w zakładzie zbrojeniowym.

Wyruszył do armii Andersa i przeprawił się przez Morze Kaspijskie.

Polski Czerwony Krzyż zawiadomił rodzinę o śmierci Jana D. Pochowany jest w Iranie, w Pahlevi.

Polski konsulat w Londynie zawiadomił, że zmarły zostawił spadek – piętnaście szylingów i dwa dolary.

Rodzina zrzekła się spadku.

Starszy brat Jana D. był ułanem.

Z wojny wrócił dość prędko, spalił mundur i złamał szablę. Przydała mu się później, nawet złamana. Zabijał nią świnie, podobno najsprawniej na całym wileńskim Zwierzyńcu. Robił to szybko i bezboleśnie. Humanitarnie, można powiedzieć.

Młodszy brat był tragarzem.

Miał wielką moc, tak wielką, że pianina przenosił. Dwaj pomocnicy pilnowali z dwóch stron, by nie zawadził o nic, ale niósł pianino na specjalnych pasach sam jeden.

Ojciec aktora był krawcem. Zawodu uczył go stary żydowski mistrz. Dobrze uczył, wszelkie tajniki zawodu mu przekazał. Dzięki temu znali ojca motocykliści w całym Wilnie – tylko u niego spodnie szyli. A kurtkę myśliwską sam prezydent Litwy u ojca zamówił.

Ojciec nie żyje, aktor nie pamięta nazwiska mistrza. Szukamy: Wilno, żydowscy krawcy. Są. Uszyli dwieście mundurów i nie chcieli pieniędzy. Dla powstańców kościuszkowskich.

Prawdziwy stary Żyd, krawiec zwłaszcza, powinien być mędrcem i różne żydowskie mądrości powinien opowiadać.

Kiedy ojciec aktora niecierpliwił się i chciał te spodnie i kurtki szyć trochę szybciej, mistrz opowiadał mu o wilku. Chciał wilk wiedzieć, jak piecze się chleb, i przyszedł do piekarza. Najpierw trzeba zaorać ziemię, zaczął piekarz, potem zboże zasiać... I będzie chleb? – pytał wilk. Nie jeszcze. Trzeba zebrać i młócić. I będzie chleb? Nie jeszcze. Trzeba zmielić, trzeba...

Aktor nie zna puenty. Przypuszcza, że wilk zniechęcił się i sobie poszedł.

Eee tam. Piekarza by nie zjadł?

Mają te same imiona i nazwiska, ale jedna litera ich różni. W nazwisku dziadka jest w, w nazwisku aktora v.

Bo język litewski woli v niż w.

Bo Jan D. utożsamia się z litewskim Wilnem, miastem wielu kultur i wielu narodów. ©

Dokumenty Jana Drawnela dostałam od Natalii Judzińskiej. Sięga do archiwalnych teczek bezbłędnie, jak rodzice teatralni sięgali do wojennego tobołka.

Sztukę „Dawid jedzie do Izraela", której fragment dość dowolnie przytoczyłam, napisali Jędrzej Piaskowski i Hubert Sulima. Sztukę z Janem Dravnelem w tytułowej roli grał Teatr Rozmaitości.

weź, czytaj!

w prenumeracie:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALES manago marketing automation

CZERWONA NIĆ

STEFAN CHWIN, PISARZ:

Rdzeń „polskości narodowej" wykuty w romantyzmie jest odporny na polityczne perturbacje. Obecna władza pokazuje, że można bez problemu łączyć nowoczesne podejście do ekonomii z zupełnie archaiczną świadomością.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Pana nowa książka nosi tytuł „Oddać życie za ojczyznę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku". Wydaje mi się, że pisze Pan o polskiej specjalności. Nikt się tym chyba dotąd nie zajmował.

STEFAN CHWIN: Nie, to nie jest polska specjalność. I już Maria Janion sporo napisała o samobójstwie altruistycznym. Doskonale czuła to, co nazywała „gorączką romantyczną". Ale część badaczy i nauczycieli robiło i nadal robi wszystko, by nie dostrzec bezlitosnego okrucieństwa w tekstach naszych wielkich romantyków, których chętnie zmienia się w anielskie Guru, czyli w Duchy Wielkich Przewodników, w których głosy powinniśmy się nabożnie wsłuchiwać.

Ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Krasiński, ani nawet Norwid nie byli żadnymi aniołami. Mówili i pisali rzeczy różne, także wątpliwe, a nawet groźne i przerażające.

Nic dziwnego, że np. Kazimierz Wyka w swojej kanonicznej interpretacji „Reduty Ordona" nader zręcznie wyminął drastyczną sprawę samobójstwa polskiego protestanta, który wysadził się w powietrze na warszawskiej Woli, a którego Mickiewicz w swoim sławnym wierszu nie dość, że zrobił katolikiem, to jeszcze wzorem dla samego Boga, co już przekraczało wszelkie granice.

Sporo miejsca w tej książce zajmuje „Król-Duch". To klucz do naszej wciąż romantycznej duszy?

„Król-Duch" przepełniony jest filozofią zbawczego okrucieństwa, łącznie z gloryfikacją samobójstwa w ogniu jako potężnej siły historiotwórczej. W pierwszym rapsodzie martwy i równocześnie czujący, świadomy siebie „żywy trup", Her Armeńczyk, leży na stosie, by na nim spłonąć. Z punktu widzenia Słowackiego męczarnie przeobrażenia w ogniu, dumnie przyjmowane przez bohatera, były niezwykle ważnym elementem – nader zresztą niebezpiecznej – wizji polskiej historii. Niebezpiecznej, bo wizja władcy, który sam „w jedną girlandę męki swe wiąże", żeby potem mieć prawo smagać Polaków zbawicielskim okrucieństwem, hartując Polskę tak, by stała się odporna na ból jak skała, może np. prowadzić do pochwały bezlitosnej władzy autorytarnej. Niewykluczone, że właśnie dlatego „Króla-Ducha" tak polubił Piłsudski, który z Polakami raczej się nie cackał.

Z Hera Armeńczyka dosłownie zostają tylko popioły.

I są one kluczowe, zarówno metaforycznie, bo z nich odradza się kolejny władca Polski, jak i lingwistycznie – bo przecież nosi on imię Popiel. Duch Hera Armeńczyka – „straszydło krwawe", które zdolne jest do spalenia żywcem nawet własnej matki – odżywa w kolejnych wielkich ↦

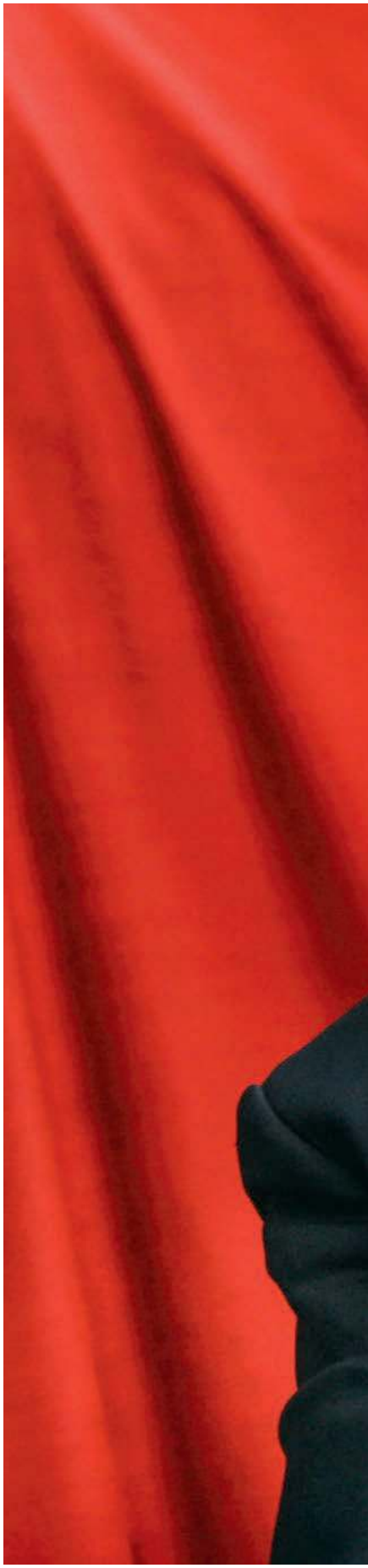

COLIN MCPHERSON / GETTY IMAGES

STEFAN CHWIN (ur. 1949) jest powieściopisarzem, eseistą, krytykiem i historykiem literatury, profesorem na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Gdańskiego.

królach Polski. O tym wiemy, ale rzadko kładzie się nacisk na to, jak dokonuje się to przechodzenie z ciała do ciała. Bo wedle Słowackiego właśnie ostateczny ból i śmierć popychają świat w stronę doskonałości i – w końcu – ku samemu Bogu. Pozytywiści uważali, że jest to dowód na psychiczną nierównowagę Słowackiego.

Pozytywistyczna interpretacja jednak przegrała.

Owszem, „Król-Duch" wciąż traktowany jest jako wzniosły patriotyczny traktat metafizyczny, gloryfikujący męczarnie hartujące Polaków, ale samą scenę samospalenia, która uruchamia cały proces ofiarniczy, zazwyczaj się pomija, a przynajmniej nie przywiązuje się do niej wagi. Ci, którzy gloryfikują ideę patriotycznej ofiary, zwykle nie lubią wdawać się w takie nieeleganckie szczegóły jak choćby to, co się podczas takiego procesu ofiarniczego dokładnie dzieje z ludzkim ciałem.

To tylko kwestia elegancji czy wypieranie tematu?

Widzi pan, starałem się pisać prawdę o duchowości romantycznej, o której część Polaków po prostu nie chce słyszeć.

Bo nie chcą oni słyszeć o jawnej i ukrytej bezlitosności Wielkich Patriotycznych Naganiaczy, którymi czasem bywali wielcy polscy poeci romantyczni, np. kiedy budowali bezlitosny kult owego samobójstwa altruistycznego. Mickiewicz ma na sumieniu wiele istnień ludzkich, które hipnotyczną siłą swojej poezji wypchnął na śmierć. I nie tylko on. Nigdy przy tym nie twierdziłem, że ten kult stanowi centrum polskiej kultury – wręcz przeciwnie, to tylko jedna, czerwona nić, którą wyciągnąłem z bardzo gęstej tkaniny polskiego romantyzmu. Sam Mickiewicz zresztą zdawał sobie sprawę z moralnej dwuznaczności roli poety jako Patriotycznego Naganiacza.

Kogo?

Wygładzamy niewygodne ostrości polskiego romantyzmu w duchu metafizyczno-symbolicznym.

Weźmy np. „Kordiana". Przecież to jest niesłychanie ostra, moralnie drastyczna sztuka o polskim terroryście. Kordian jest bodyguardem przywódcy Rosji, przebywającego z wizytą oficjalną w Warszawie, stoi niczym dzisiejszy BOR-owiec pod drzwiami jego pokoju na Zamku Królewskim i chce go zadźgać bagnetem we śnie. Widzi pan, znowu niewłaściwe słowo. Należy mówić: „chce dokonać zamachu na cara". Wtedy wszystko będzie w porządku.

Cierpieniu człowieka nadano wyraźny sens, ale straszliwe cierpienie miliardów dręczonych zwierząt, które nigdy nie zostaną zbawione? **Po co ono miłosiernemu Bogu?**

Tymczasem dla Słowackiego ważne było, jak on to chce zrobić. A on chce przywódcę państwa rosyjskiego własnymi rękami zadźgać w łóżku bagnetem – nie udusić, otruć czy zastrzelić – i wie, że to będzie równało się również jego śmierci, więc zachowuje się jak rozwścieczony, rozkojarzony, przerażony konsekwencjami swoich działań zamachowiec samobójca, postać dobrze nam dzisiaj znana. Mordując, na dodatek chce się „we krwi ochłodzić", a potem ludzką krwią „podłogę całą" wymyć do białości... Chryste Panie!

Czyli jeden z głównych bohaterów naszej literatury to terrorysta samobójca?

Czy ja coś przekręciłem w arcydziele Słowackiego? Gdy jednak to wszystko kiedyś przedstawiłem na jakimś spotkaniu, podeszła do mnie polonistka: – Proszę pana, przecież ja nie mogę powiedzieć uczniom w szkole, że coś takiego jest w „Kordianie"! Broń Boże! Ja nie mogę tego powiedzieć!

Widział pan kiedyś zadźganie człowieka bagnetem?

Hm, nie...

A Słowacki podpowiada nam, że mamy sobie wyobrazić tę scenę z całą jej krwawą okropnością. Dlatego ciągle powtarza: krew, krwią, krwi, krew... A my słyszymy zazwyczaj: „Nie można romantycznego dramatu sprowadzać tylko do tego, przecież tam jest tyle innych ważnych, wzniosłych, duchowo pożywnych rzeczy!". Oczywiście, ale Słowacki był krwawym, okrutnym poetą, nie można udawać, że było inaczej.

Skąd ta ignorancja?

Odwracamy zwykle oczy od niesłychanie okrutnego obrazu ludzkiego życia. Może przyczyn należy szukać m.in. w ewolucji polskiego katolicyzmu? Weźmy choćby sposób przedstawiania sceny ukrzyżowania. Na XVI-wiecznym obrazie Matthiasa Grünewalda widać straszliwą cielesność tego aktu – krew, ból, agonię poszarpanego ciała. A dzisiaj wolimy, żeby w kościele wisiała ledwie zaznaczona, symboliczna sylwetka Jezusa na metalowym krzyżu. Krwawa cielesność Jego śmierci jest odczuwana jako coś niestosownego. Używamy w kółko abstrakcyjnego słowa „męka", ale broń Boże, żeby wdawać się w jakieś szczegóły męczarni, do których przywiązywali wielką wagę malarze średniowieczni. A przecież krzyż w czasach Jezusa był narzędziem tortur. Miał wydłużać potworność umierania. Być może to przekłada się także na nasz sposób czytania tekstów, które powstawały w innej epoce chrześcijaństwa niż nasza.

Skoro oba te elementy od wieków kształtują polskie imaginarium, to może trzeba coś z tym zrobić.

Tylko kto miałby to zrobić i co? Resztki polskiej inteligencji, które nie mają wpływu na cokolwiek? Ale mamy dzisiaj kogoś, kto się w tych krwawych fantazmatach romantycznych po prostu nurza z rozkoszą, zachwycając się mistyką ciała poddawanego torturom. I wmawia nam jeszcze, że taką drogą powinniśmy podążać ku świetlanej przyszłości. To Jarosław Marek Rymkiewicz. Cóż, jestem niestety zupełnie odporny na rozmaite mistyczne fantazje, które traktują ból „po filozoficznemu", z metafizycznym zadęciem, szczególnie gdy chodzi o ból dzieci palących się żywcem w powstaniu warszawskim, chociaż wiem, że makabryczne wizje Rymkiewicza mają dzisiaj sporo entuzjastów.

Widzi Pan w tym jakąś skrajność polskiej kultury?

Myślę, że każda kultura potrzebuje dwóch skrzydeł. Jedno to skrzydło powagi, dostojeństwa, a nawet sakralnego okrucieństwa, o którym przed chwilą mówiliśmy. Drugie to skrzydło racjonalistycznej ironii, dystansu, żartu, a nawet szyderstwa. Gdybyśmy trwale przechy-

lili się na stronę „Króla-Ducha", groziłby nam obłęd. Z kolei radykalna opcja odwrotna spłaszcza nasze doświadczenie, pozbawia nas czegoś, mimo wszystko, cennego. Dlatego do głowy by mi nie przyszło tępić Rymkiewicza. Wolałbym tylko, byśmy czytali nie tylko jego dzieła, lecz także Gombrowicza i Mrożka. Obok „Reduty Ordona" zalecam „Śmierć porucznika". Dla zachowania psychicznej równowagi.

Ale szkoła jest narzędziem władzy.

A prawica, gdy rządzi, chętnie dokręca śrubę w realizacji swoich pomysłów edukacyjnych. Zresztą lewica to samo. Nauczyciele nie lubią, gdy się im narzuca, jak mają mówić o historii czy kulturze, ale jednocześnie dla wielu z nich ustalona z góry romantyczno-mistyczna dykcja wychowania patriotycznego przynosi ulgę, bo zdejmuje z nich niewdzięczny i niebezpieczny obowiązek wymyślania własnej interpretacji romantyzmu. I tak mamy sytuację paradoksalną – bo z jednej strony słyszymy postulaty większej autonomii nauczyciela w nauczaniu, z drugiej „Redutę Ordona" nauczyciele tłuką wciąż tak samo. A można wymyślić tyle nowych odczytań – choćby przyjrzeć się modelom męskości pokazywanym w dziełach pisarzy romantycznych. Ale powtarzanie tradycyjnych schematów bardzo ułatwia życie. Nauczyciele i uczniowie świetnie się czują, gdy jadą utartą koleiną. Obie strony ziewają – uczniowie otwarcie, nauczyciele w duchu – ale przynajmniej każdy wie, co ma mówić. Pewnie nie chodzi o wszystkich, ale sporej części to najzupełniej odpowiada.

Ta wałkowana w kółko fikcja ma jeszcze ładunek polityczny czy jest już jedynie zakurzonym eksponatem w muzeum narodowych pamiątek?

Psychologiczne atawizmy potrafią trwać przez stulecia. I nie tracą swojej siły. Niektóre sięgają nawet kultury rycerskiej z epoki średniowiecza, która wciąż jest reanimowana przez kulturę masową. To zjawisko globalne.

W kwestii zachowań straceńczych być może ilościowo nie odbiegamy od średniej światowej, jednak w XX wieku na Zachodzie mocno zakorzeniły się idee pacyfistyczne. U nas tego zabrakło... Inne wnioski, o ile w ogóle jakieś, wyciągnęliśmy też z I wojny światowej. Na Zachodzie szybko ujrzano w niej zbiorowe samobójstwo Europy, które nie powinno się powtórzyć.

To prawda, ale dla nas to była wojna, o którą się modliliśmy – wielki światowy konflikt, z którego miała wyłonić się wolna Polska. Dlatego pacyfistyczna narracja się nie przyjęła. Zamienne, że legioniści Piłsudskiego śpiewali: „Na stos rzuciliśmy swój życia los / Na stos, na stos!", co brzmiało jak kontynuacja ognisto-samobójczej tradycji Hera Armeńczyka. Jeśli jeszcze dodamy do tego przeszłość terrorystyczną Piłsudskiego, to już mamy „Króla-Ducha" i „Kordiana" w jednym.

> Ci, którzy gloryfikują ideę patriotycznej ofiary, zwykle nie lubią wdawać się w takie nieeleganckie szczegóły, jak choćby to, **co się wtedy dzieje z nieszczęsnym ciałem.**

Ale nie wszyscy w dwudziestoleciu chcieli się rzucać w ogień.

To nie miało znaczenia, bo tamta narracja wygrała, wspierana zresztą przez państwo piłsudczyków. Często bywa tak, że nieliczni, o ile potrafią stworzyć wystarczająco mocną opowieść, narzucają ton społecznej całości.

Czy nasza kultura nie miała od pewnego momentu szczególnych predyspozycji do „wytwarzania" kolejnych patriotycznych straceńców?

Każda kultura chce mieć swoich altruistycznych samobójców. Szwajcarzy do dzisiaj czczą Winkelrieda. Przykłady można mnożyć, co tylko świadczy o tym, że zapotrzebowanie na takie postacie jest wszędzie.

W ostatniej książce skupiłem się na jednym tylko z nurtów romantyzmu – radykalnym, ale też bardzo atrakcyjnym...

Co w nim atrakcyjnego?

Obraz człowieka, który zmienia się w płonącą kulę ognia, aby odmienić bieg dziejów. Obraz ciała przekształconego w ognisty pocisk, który ma przywrócić światu sprawiedliwość. Bardzo to są kuszące fantazje dla wielu młodych mężczyzn. Szczególnie jeśli trafiają na podatny grunt, czyli na dojmujące poczucie bezsilności. Mit samobójstwa altruistycznego, np. śmierci w patriotycznym zamachu terrorystycznym, oferował bezsilnym Polakom poczucie potężnej sprawczości w przeciwieństwie do racjonalnej kalkulacji, która mogła odbierać nadzieję. Sakralizowany obraz samobójcy altruistycznego, umiejętnie wzmacniany przez polskich artystów na początku XX wieku, nigdy jednak nie zmonopolizował wyobraźni Polaków. Powstanie warszawskie to dobry przykład – jeszcze zanim wybuchło, już miało licznych przeciwników. Zdecydowała o jego wybuchu garstka poszlacheckiej inteligencji z dowództwa Armii Krajowej, a nie – jak chce mit – ludność Warszawy.

A dziś? 30 lat liberalnego kapitalizmu osłabiło w jakikolwiek sposób ten mit?

Nic a nic. Świadczy o tym mitologia „żołnierzy wyklętych", która ma się nadzwyczaj dobrze. Obecna władza doskonale pokazuje, że można bez problemu łączyć nowoczesne podejście do ekonomii z zupełnie archaiczną świadomością znacznej części społeczeństwa. Ale to nie jest nasz wynalazek – np. amerykańska kultura masowa stoi w podobnym rozkroku. Jej najwięksi bohaterowie, zarówno ci historyczni, jak i fikcyjni, są prostą rekonfiguracją postaci rycerza Rolanda czy Winkelrieda, o czym świadczy choćby film „Dzień Niepodległości" z pilotem myśliwca w roli „żywej torpedy". A jeśli chcemy zobaczyć skrajny przykład symbiozy średniowiecza i nowoczesnego kapitalizmu, wystarczy spojrzeć na kraje arabskie, gdzie nie zdarzyło się nic takiego, jak europejskie Oświecenie. W Europie Zachodniej oświeceniowe i rewolucyjne projekty wcale zresztą nie zniszczyły chrześcijaństwa czy konserwatywnych instytucji. Wręcz przeciwnie – wymusiły na nich tylko konieczność modernizacji.

Polski Kościół kiepsko, mówiąc delikatnie, odrobił oświeceniową lekcję.

Dlatego dziś obserwujemy w Polsce wyraźny odwrót od oświeceniowych ↦

↦ porządków. Nie jestem fanatycznym entuzjastą Oświecenia, niemniej przeraża mnie wściekła żądza zrównania z ziemią tej spuścizny. Bo na jej gruzach planowany jest powrót do plemienno-średniowiecznej wspólnoty, opartej na religijno-patriotycznym przywiązaniu do ziemi i narodowym fanatyzmie. Technologia czy gospodarka nie mają tu znaczenia – supernowoczesny internet może być przekaźnikiem skrajnie archaicznych treści.

Na początku lat 90. wielu twierdziło, że nowa rzeczywistość położy wreszcie kres XIX-wiecznym paradygmatom myślenia o narodzie.

Nigdy nie podzielałem tych złudzeń. Rdzeń „polskości narodowej" wykuty w romantyzmie jest odporny na polityczne perturbacje. Weźmy przykład PRL-u. Komuniści bardzo lubili Mickiewicza i Sienkiewicza, a pod koniec lat 80., gdy wszystko się waliło, polska szkoła pozostawała jedną z najbardziej inercyjnych światopoglądowo instytucji.

To się zaczęło od razu po wojnie. Sam pamiętam, jak w socjalistycznej podstawówce zarażano mnie ideą altruistycznego samobójstwa, kultywując mit radzieckiego żołnierza zasłaniającego własną piersią hitlerowskie gniazdo karabinów maszynowych. Przekonywano nas, że tacy właśnie sowieccy Winkelriedowie uratowali świat przed germańskim złem. A to z kolei doskonale rymowało się z Ordonem i innymi polskimi straceńcami z XIX wieku. Tak właśnie w PRL-u formatowano wyobraźnię uczniów. I to nie zmieniło się do dzisiaj. Niektórzy potrafili się z tego otrząsnąć, do innych to jednak mocno przemawiało. Których było więcej, nie wiem.

W poprzedniej książce, zatytułowanej „Samobójstwo i »grzech istnienia«", pisze Pan o ludziach, dla których samo istnienie jest grzechem. Echa tego słychać we współczesnej krytyce antropocentrycznego myślenia, które doprowadziło do katastrofy ekologicznej i wielu innych tragicznych zjawisk.

Idea grzechu istnienia pojawiła się w gnostycyzmie, kiedy to Stwórcy postawiono zarzut, że stworzył świat, w którym człowiek, aby żyć, musi krzywdzić i zabijać inne istoty żywe oraz zadawać rany Ziemi, torturować ją i okaleczać. Zdjęcia kopalni odkrywkowej – obraz wielkiej, głębokiej rany, uczynionej ręką człowieka w ciele Ziemi – to mocne udosłownienie tej metafory.

Ostatnio w mediach widzieliśmy wiele obrazów z kopalni w Turowie.

To jest dokładnie to, o czym mówimy – rana, która zabiera wodę ludziom i zwierzętom. Już nie symbol siły i przedsiębiorczości człowieka ujarzmiającego naturę, tylko zaburzenie naturalnego porządku życia. Dzisiaj wiele elementów myślenia gnostycznego powraca, oczywiście w nowej formie, pośrednio uderzając w fundamenty katolicyzmu, bo kwestionuje opowieść o harmonijnym związku człowieka ze światem stworzonym. O biblijnej idei czynienia sobie ziemi poddaną nie wspominając.

Niektóre pomysły papieża Franciszka próbują coś w tej kwestii zmienić, ale Kościół w Polsce jest na to doskonale impregnowany.

Postawa ekologiczna może być motywowana na różne sposoby. Mnie jest najbliżej do ekologii zbudowanej na empatii także wobec życia nie-ludzkiego. Co jest trudne do przyjęcia dla wielu katolików.

W sumie dlaczego?

Kościół ciągle nie może sobie poradzić z problemem cierpienia zwierząt. Zaleca oczywiście postawę ogólnohumanitarną, ale uznaje za niedopuszczalną rezygnację z hierarchii żywych istnień – ludzkich i nie-ludzkich. Cierpieniu człowieka nadano wyraźny, wyższy sens, ale straszliwe, codzienne cierpienie miliardów chorych, dręczonych i umierających zwierząt, które nigdy nie zostaną zbawione? Po co ono miłosiernemu Bogu? Do czego?

Często powraca w Pana książce sprawa stosunku chrześcijaństwa wobec osób odbierających sobie życie.

Bo ta sprawa w Kościele powraca od wieków i wciąż jest nierozwiązana. Dlatego pojawiały się idee skrajnie odmienne – od pełnego i bezwarunkowego potępienia, aż po odczytywanie ofiary Chrystusa jako samobójstwa altruistycznego właśnie. Część naszych romantyków podchwyciła tę interpretację Ewangelii, co pozwoliło im interpretować śmierć bohaterów narodowych – tak jak np. Norwid pisał o Karolu Levittoux – właśnie w tym duchu. Nie chcę tu niczego rozstrzygać, bo to kwestia dla teologów, ale refleksja o Jezusie samobójcy pojawia się już u Ojców Kościoła. Czy można odczytywać Jego słowa i gesty jako świadome ściąganie na siebie śmierci, bez której zbawienie było niemożliwe? To, co Jezus mówił publicznie o sobie jako Synu Bożym i swoich zamiarach zburzenia Świątyni Jerozolimskiej, oburzało do żywego społeczność żydowską i władze rzymskie, nieuchronnie prowadząc do frontalnego zderzenia. Trudno sobie wyobrazić, że Jezus o tym nie wiedział.

Wciąż obowiązuje wykładnia, że to część „cywilizacji śmierci", którą trzeba jednoznacznie odrzucić.

Dogmatyka katolicka, która, jeśli chodzi o samobójstwo, zatrzymała się właściwie na św. Augustynie, to jedno, a praktyka bywa różna. Spotkałem paru empatycznych kapłanów, którzy zgadzali się odprawić nabożeństwa żałobne przy grobach samobójców. Opór wobec przyzwolenia na samobójstwo, w tym także eutanazję, wciąż jest oczywiście w Kościele stanowczy, ale np. niedawno arcybiskup Jędraszewski powiedział, że Bóg zapewne spojrzy przychylniejszym okiem na samobójstwa więźniów gestapo i NKWD, którzy odbierali sobie życie w obawie, że na torturach wydadzą swoich towarzyszy walki. Co zresztą, dodam, jest dowodem na to, jak silny jest nadal w Polsce kult samobójstwa motywowanego względami patriotycznymi, o którym piszę w mojej książce.

W zeświecczonej rzeczywistości też istnieją silne mechanizmy blokujące samobójstwo.

Świadomość krzywdy, jaką popełniając samobójstwo wyrządzi się własnemu dziecku – albo rodzicom czy innej ukochanej osobie – może działać silniej niż wizja wiecznego potępienia duszy. Problem samobójstwa idzie w poprzek opozycji wiary i świeckości. A pojęcie „cywilizacji śmierci", które rzekomo negatywnie diagnozuje zachodni świat odchodzący od religii, jest jednym z nadużyć w historii chrześcijaństwa. Ogłaszanie się „cywilizacją życia", gdy w centrum wszechświata stawia się Człowieka, który świadomie wybrał straszliwą śmierć, wygląda na terminologiczne nieporozumienie.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

CORINNA KERN / LAIF / FORUM

Dawid Grossman. Mevasseret Syjon, Izrael, sierpień 2020 r.

Tam, gdzie zaczyna się kraj

WOJCIECH ENGELKING

Spytany wprost o śmierć syna na wojnie, Dawid Grossman odpowiedział, że nie pozwolił sobie na odczuwanie rozpaczy. Owo niepozwolenie przenika całą jego nową powieść.

Scena rozgrywa się na początku lat 50. zeszłego wieku na chorwackiej wysepce. Znajduje się na niej łagier, przez tych, którzy go przetrwali, ironicznie przezwany „adriatyckim Alcatraz". Na szczycie obmywanego przez morze klifu, dzień w dzień, stoi 30-letnia więźniarka. Słońce parzy ją w policzki, oszczędza jednak oczy: od przebywania w obozie, który marszałek Tito urządził dla swych przeciwników (i oskarżonych o bycie nimi), zdążyła oślepnąć. Nie może więc zobaczyć tego, czemu – taki jest praktyczny sens tej tortury – swoim ciałem daje cień: sadzonce kwiatu, przywiezionej na wyspę przez jedną ze strażniczek.

W „Gdyby Nina wiedziała", najnowszej powieści Dawida Grossmana (pierwszej po Międzynarodowym Bookerze za „Wchodzi koń do baru"), więźniarka nazywa się Wera. Grossman nie zmyślił tej historii, była udziałem kobiety o innym imieniu. Usłyszał o niej w 1989 r., kiedy izraelska telewizja wyświetliła serial dokumentalny nakręcony przez serbskiego pisarza Danila Kiša.

Serial opowiadał o Evie Panić, urodzonej w 1918 r. bałkańskiej Żydówce. Na początku lat 50. była żoną Radego Panicia, wysoko postawionego jugosłowiańskiego wojskowego i zwolennika prosowieckiego kursu – czyli tego, na który nie zgadzał się Tito. Pewnego dnia Panicia aresztowała tajna policja pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Stalina; w więzieniu popełnił samobójstwo. Wówczas tajniacy odwiedzili jego żonę – i postawili przed wyborem. Albo potwierdzi, że mąż był szpiegiem, albo trafi na Goli Otok – tak nazywa się wysepka na Adriatyku – a jej córeczka na ulicę. Wybrała to drugie.

Grossman był poruszony serialem, a dowiedziawszy się, że po zwolnieniu z więzienia w 1953 r., odzyskaniu wzroku i odnalezieniu córki Panić wyemigrowała do Izraela, zamieszkała w kibucu i wyszła ponownie za mąż – odnalazł ją. Ich spotkanie zaowocowało przyjaźnią, trwającą aż do śmierci kobiety w 2015 r.

„Moja historia nie była dla mnie ważna. Ja nie byłam dla samej siebie ważna" – odpowiada Panić, kiedy w jednej z rozmów Kiš pyta, dlaczego nigdy nie opisała swoich losów. Rozmowy prowadził, bo chciał napisać o niej powieść; nie zdążył, umarł w tym samym roku, w którym historię niegdysiejszej więźniarki poznał Grossman. Ten jednak przez trzy dekady znajomości z Evą Panić stronił od uczynienia jej bohaterką któregoś ze swych utworów. ↦

Doświadczenie

↦ Juan Gabriel Vásquez powiedział kiedyś o Grossmanie, że pozostaje może najbardziej politycznym ze wszystkich współczesnych pisarzy, bo „dostrzega publiczne w prywatnym. Jest i tłumaczem ludzkich serc, i detektywem śledzącym ruchy wielkich społecznych sił". Kto prześledzi jego biografię, może uznać, że był na taką rolę skazany.

Urodzony w 1954 r. w Jerozolimie, w rodzinie emigranta z polskiego Dynowa, w dorosłość wchodził w Izraelu w szczególnym momencie – epoce wojny sześciodniowej (1967) oraz Jom Kipur (1973). Te dwa konflikty radykalnie przemodelowały żydowski sposób autoidentyfikacji. Jeśli wcześniej wśród Izraelczyków panowało przygnębienie, spowodowane sytuacją państwa otoczonego przez liczniejsze i większe odeń kraje arabskie, starcia przełomu lat 60. i 70. obudziły poczucie, że niewielki kraj jest w istocie regionalnym hegemonem. To zaś spowodowało wzrost izraelskiego nacjonalizmu, za którym przyszło osadnictwo na Zachodnim Brzegu.

W 1973 r. Grossman służył w armii. I choć nie brał udziału w walkach, to, co zobaczył w wojsku, zostało z nim – by po dekadzie stać się prozą. Jego debiutancki „Uśmiech owcy" był rozpisaną na cztery głosy opowieścią o Urim, izraelskim żołnierzu stacjonującym na terytoriach okupowanych. Jeśli Uri, urodzony już po 1948 r., reprezentował Żydów pragnących znaleźć z Palestyńczykami porozumienie i niegodzących się na metody, jakimi Izrael prowadzi politykę wysiedleń, to jego dowódca – starszy o dwa pokolenia pułkownik Katzman – był zaprzeczeniem tego podejścia. Ocalały z Holokaustu, wierzył tylko w walkę i budowanie silnego państwa żydowskiego. Współczucie, umiejętność kochania, przebaczenia, zrozumienia drugiego – to wszystko zostawił za sobą, w Szoah.

Czy zatem Grossman zrównywał to, co hitlerowcy zrobili Żydom, z tym, co Żydzi robią Palestyńczykom? Nie. Stawiał jednak tezę, że tragedia, jaka w Europie spotkała jego naród, zatruwa świadomość Izraelczyków. O ile w debiucie zdawał się przejawiać nadzieję, że gdy umrze pokolenie Żydów, które doświadczyło koszmaru, świadomość owa się oczyści – w powieści, która uczyniła go sławnym, było już inaczej.

Jednym z bohaterów „Patrz pod: miłość" (1986) Grossman uczynił przebywającego w obozie zagłady pisarza Anszela Wassermana. Wasserman jest odwrotnością Szeherezady: co wieczór opowiada jednemu ze swych oprawców historie, nie po to jednak, by ocaleć. Przeciwnie: ponieważ pragnie uwolnić się od obozowego piekła, na jego prośbę za każdą z opowieści esesman doń strzela. Bez skutku, więźnia nie da się zabić. Kto jest Żydem – zdawał się mówić Grossman – nigdy się od potworności Szoah nie uwolni.

> Gdy stał się obiektem politycznej nagonki, Grossman nie tylko otrzymał najważniejsze wyróżnienia, ale i po śmierci Amosa Oza **przejął rolę pisarza-sumienia narodu.**

Najbliższa rodzina Grossmana nie doświadczyła Zagłady – ojciec wyemigrował do Palestyny na pięć lat przed II wojną światową, jego matka tam się urodziła. Owa okoliczność była źródłem zarzutów wobec książek Grossmana – niektórzy uważali, że tak jak on pisać może tylko ktoś, kto nie poznał na własnej skórze, z czym jego rodacy zmierzyli się w Europie, i kto nie pojmuje, o jaką stawkę idzie na Bliskim Wschodzie.

Doświadczenie przyszło wtedy, kiedy polityczne zaangażowanie Grossmana osiągnęło apogeum. W końcu lat 80. został zwolniony z pracy – był spikerem w publicznym radiu i, wbrew przełożonym, przeczytał depeszę o Jasirze Arafacie kwestionującym prawo Izraela do istnienia; pryncypałowie nie chcieli, by taki głos w ogóle się pojawił na antenie. Na przełomie stuleci Grossman stał się, obok Amosa Oza, najbardziej rozpoznawalnym adwokatem tych, którzy optowali za pokojową koegzystencją państw żydowskiego i arabskiego.

10 sierpnia 2006 r. obaj wystąpili na konferencji prasowej, domagając się zawieszenia broni w wojnie z Libanem. Dwa dni później, na kilka godzin, nim postulowany rozejm wszedł w życie, czołg, którym kierował syn Grossmana – absolwent jerozolimskiego liceum – wybuchł trafiony rakietą Hezbollahu. Chłopiec miał na imię Uri, jak młodziutki żołnierz-idealista z Grossmanowego debiutu. Spytany wprost przez zagranicznego dziennikarza, Grossman powiedział, że nie pozwolił sobie na odczuwanie rozpaczy. Owo niepozwolenie przenika całą jego nową powieść.

Warunki pamięci

Gdy Uri ginął, Grossman pracował nad „Tam, gdzie kończy się kraj". Bohaterka powieści, Ora, twierdzi, że Izrael to państwo, w którym lęk i nienawiść wysysa się z mlekiem matki. Sama przekazała je walczącemu na wojnie synowi – i w jej żyłach także płyną, wzmagane codziennym oczekiwaniem na wiadomość: żyje? Pragnie się od nich uwolnić, ucieka na izraelską granicę – i w ten sposób porzuca syna.

Opowieść o Orze traktowała o tym, gdzie Izrael ma swój metaforyczny i dosłowny kres, natomiast „Gdyby Nina wiedziała" mówi o jego metaforycznym początku, którego treścią również jest porzucenie. Spotyka ono Ninę, córkę Wery – skazaną na poniewierkę, kiedy jej matka, postawiona przez wyborem takim jak Eva Panić, trafia do łagru. Gdy po kilku latach Nina przyjeżdża wraz ze zwolnioną z więzienia Werą do Izraela, nie jest zwyczajną nastolatką. Przez chłopaków w szkole przezywana Sfinksem („przedrzeźniali jej chód (...). Pewnego razu przyłapała na tym dwóch chłopaków i sprała ich na kwaśne jabłko. W kibucu nie widziano jeszcze nikogo, kto by się tak bił"), Nina najpierw rozkochuje w sobie Rafaela, nowego przyrodniego brata – Wera, tak jak Panić, w Izraelu powtórnie wychodzi za mąż – i pozbawia go dziewictwa, by wkrótce zniknąć i, jak się potem okazuje, pracować w Jerozolimie jako prostytutka.

Kilka lat później wraca do kibucu, płodzi z Rafaelem narratorkę powieści, Gili – i znowu rozpływa się w powietrzu. Gdziekolwiek jednak przebywa, wciąż nie potrafi zrozumieć, dlaczego matka kiedyś ją opuściła. I nie zauważa, że to samo doświadczenie funduje swojej córce. W Izraelu pojawia się znowu dopiero w 2008 r.: Rafael wciąż ją kocha, Gili jest już dorosła, Wera świętuje 90. urodziny. Przywozi straszną wiadomość: dotknął ją alzheimer, zapomni wszystko. Czy jest, pyta bliskich, coś, co powinna pamiętać bezwarunkowo?

Oczywiście – orzeka rodzina. Powinna pamiętać, co spowodowało i jej ucieczki, i to, że jej córka również nigdy nie umiała się ustatkować. Powinna znać przyczyny traumy, która przeniknęła jej życie

i którą w swoich genach przekazała dalej. Ba!, gdy już całkiem straci pamięć, winna mieć to doświadczenie na wyciągnięcie ręki, zapisane na płycie DVD.

Wraz z córką, Rafim oraz Werą Nina jedzie na Goli Otok. Tam mają nagrać film, w którym matka opowie, dlaczego ją opuściła – i co się z nią działo, gdy to zrobiła.

Uwolnienie

Wycieczka na Gali Otok posiada w dzisiejszym Izraelu oczywisty odpowiednik. To wyprawy do miejsc Zagłady, na jakie izraelscy licealiści wyjeżdżają, by zobaczyć nie tyle to, co spotkało ich przodków (ci mogli wszak urodzić się w Mandacie Brytyjskim), ile – naród. Wyjazdy te mają swych przeciwników: dwie dekady temu, gdy dyskutowano wprowadzenie ich obligatoryjności (nie wprowadzono), była lewicowa minister edukacji Shulamit Aloni stwierdziła, że budzą w niej wstręt, bo pod płaszczykiem humanitaryzmu stały się sposobem na przekazywanie traumy, skutkującej u Izraelczyków kłopotami psychicznymi. Podobnie w 2020 r. argumentował socjolog Idan Yaron, który wziął udział w kilku takich wyprawach i stwierdził, że efekt wizyt w obozach jest jeden: wzrost instynktów nacjonalistycznych.

Gdy na Golim Otoku Wera opowie już koleje swego cierpienia, przechodzi do tego, które stało się udziałem jej rodziców, zgładzonych w Szoah – i milknie w pół słowa. „Możemy jej w ogóle opowiadać o Auschwitz?" – pyta Ninę. Ta nie rozumie: „jej"? Wera tłumaczy: tej, którą się staniesz. Żydówką, lecz taką, która wszystko zapomniała. „Wyobraź sobie (...). Szansa zapomnienia o Auschwitz. Jakiż to dar" – mruczy Rafael do ucha Gili. Choć bohaterowie Grossmana go nie zauważają, czytelnik prędko dostrzega absurd pytania Wery. Czemu Nina powinna wiedzieć, co stało się na wysepce w pobliżu Chorwacji, oszczędzona ma zaś jej być wiedza o Auschwitz? Jaka jest różnica?

Różnicy, powiada Grossman, nie ma żadnej. To jednak Auschwitz obrosło w jego ojczyźnie mitem, który sprawia, że – pisała w „Polanim" Karolina Przewrocka-Aderet – „producenci leków przeciwlękowych i antydepresantów znajdują w Izraelu spory rynek zbytu. Trauma ocalałych z Zagłady jest transgeneracyjna". I Auschwitz, i „Hawaje Tity" – kolejne z ironicznych określeń Otoku – to miejsca, z których pochodzi to, czego Grossman wyrzekł się po śmierci Uriego: rozpacz. We wnętrzu ludzkiego ciała z rozpaczy rodzi się nienawiść i lęk, którego nie chciała przekazać synowi Ora – ale przekazała, bo w Izraelu nie dało się inaczej.

Tak Grossman twierdził w powieści z roku 2008, ale w „Gdyby Nina wiedziała" już nie twierdzi. Tytułowa bohaterka będzie od nich wolna. W pewnym bowiem momencie chwyci kamerę, na której nagrano opowieść Wery, i z klifu, na którym wystawała matka, zrzuci ją do morza.

Takie sumienie

Ayelet Gundar-Goshen, z młodej generacji hebrajskich pisarzy, stwierdziła niedawno, że w Izraelu nie sposób tworzyć najsubtelniejszą nawet psychologiczną prozę, która by nie miała znaczenia politycznego. W przypadku „Gdyby Nina wiedziała" to znaczenie jest szczególnie istotne, podobnie jak moment, w którym Grossman przełożył historię Evy Panić na fikcję, dając jej córkę i wnuczkę związane ze swoim krajem (córka Evy, Tiana, z Izraela wyjechała dawno temu). Prawdziwe dzieje więźniarki Tity poznał wkrótce po tym, jak Jasir Arafat ogłosił powstanie Autonomii Palestyńskiej i zaczynało stawać się jasne, że pokojowa koegzystencja obu krajów nie jest możliwa. Nową powieść napisał za panowania Beniamina Netanjahu, który nie tylko nadzwyczaj często angażował się w konflikt z Palestyńczykami, ale też polityczną pozycję budował na prezentowaniu Żydów jako narodu, który doświadczył tylu krzywd, że jedyne, co może robić, to wydzierać innym swoje terytorium.

Próbował przy tym uciszać przeciwników. W 2019 r. minister kultury w rządzie Likudu oznajmiła, że państwo nie będzie dotować przekładów dzieł Grossmana, gdyż przedstawia on Izrael w złym świetle. Pisarz oparł się naciskom, a w czasie, gdy był obiektem politycznej nagonki, nie tylko otrzymał najważniejsze wyróżnienia w karierze, ale po śmierci Amosa Oza w 2018 r. przejął rolę pisarza-sumienia narodu.

Nową powieścią zdaje się Izraelowi mówić: dosyć. Jeśli, powiada, ktoś będzie mógł w nim pamiętać tylko jedną rzecz, niech się nią nie okaże wyznanie matki o potwornościach, które spotkały ją dekady temu. Narodu nie powinna kształtować, stwierdza, spirala przekazywanych z pokolenia na pokolenie traum. Niny w istocie też nie ukształtowało porzucenie, ale – jak mówi Rafiemu w finale powieści – „cała miłość, jaką miałeś do mnie... Wiesz o tym, prawda? To największy dar, jaki dostałam w życiu od kogokolwiek". By to zrozumieć, jego bohaterka musi jednak najpierw zgodzić się na zapomnienie.

© WOJCIECH ENGELKING

Dawid Grossman **GDYBY NINA WIEDZIAŁA,** *przeł. Magdalena Sommer, Znak, Kraków 2021*

TYGODNIK POWSZECHNY

Zareklamuj swoje wydarzenie w najciekawszym przewodniku „Tygodnika"!

„Włóczykij kulturalny"

Już w środę 24 listopada w „Tygodniku" jesienny dodatek, a w nim: rekomendacje teatralne, przegląd wystaw, najciekawsze festiwale oraz czytadło: włóczęga po małych bibliotekach w niewielkich miasteczkach.

Uwaga! Specjalne ceny dla instytucji kultury – szczegóły pod adresem **reklama@tygodnikpowszechny.pl** lub nr. tel. **602 33 17 91** i **602 590 416**

Zapraszamy na łamy i do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ucieczka od wolności

DOROTA KOZIŃSKA

W dobie pandemii jedyna opera Beethovena stała się manifestem przetrwania, wyjścia w światło po nocy lockdownu, nadziei na lepszy świat po kryzysie.

Nazajutrz rano spotkaliśmy się w parku. Rzekł: »Piszę teraz operę. Główna jej postać jest we mnie, przede mną; cokolwiek czynię, mam ją przed oczami. Nigdy nie wzniosłem się jeszcze do tej wyżyny. Wszystko jest światłem, czystością, jaśnieniem. Dotąd byłem jak owo dziecko z bajki, co zbiera kamyczki, a cudnego kwiatu, który rozkwitł na jego drodze, nie widzi«" – wspominała Therese Brunsvik, uczennica i przyjaciółka Ludwiga van Beethovena, przez pewien czas identyfikowana z jego „nieśmiertelną ukochaną". Autorką odrzucanej dziś hipotezy była Ida Lipsius, niemiecka pisarka muzyczna, która opracowała pamiętniki węgierskiej arystokratki i wydała je w 1909 r. pod tytułem „Beethovens unsterbliche Geliebte. Das Geheimnis der Gräfin Brunsvik und ihre Memoiren" (tutaj w przekładzie Malwiny Garfeinowej-Garskiej).

Rewolucje i katastrofy

Opera okazała się jedyną w spuściźnie kompozytora. Nazwana pierwotnie „Leonora, albo triumf miłości małżeńskiej", choć już przed pierwszym wykonaniem anonsowano ją pod tytułem „Fidelio", kosztowała Beethovena niemal dziesięć lat pracy: nad trzema wersjami całości, czterema wersjami uwertury i nieustannym doskonaleniem tekstu, przy którym dłubało ogółem aż trzech librecistów. Na wiedeńskiej prapremierze w 1805 r. położył się cieniem splot okoliczności historycznych, o których jeszcze będzie tu mowa. Nad późniejszą o rok prezentacją drugiej wersji – kłótnia o wysokość tantiem między zarządem Theater an der Wien a kompozytorem, który wycofał operę ze sceny po zaledwie dwóch przedstawieniach. Wersja trzecia ujrzała światło dzienne dopiero w roku 1814, znów w dość szczególnej sytuacji politycznej, i spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem – co tym bardziej warte podkreślenia, że głuchnący Beethoven „asystował" dyrygentowi z krzesła ustawionego na scenie Kärntnertortheater, co niemal skończyło się katastrofą.

„Fidelio" ruszył w podróż po Europie jeszcze za życia twórcy, docierając m.in. do Pragi, Budapesztu, pruskiego Wrocławia, Rygi i Petersburga. Publiczność nie ustawała w zachwytach, Beethoven najchętniej poprawiałby swoją operę w nieskończoność. Schindler, sekretarz i późniejszy biograf kompozytora, miał ponoć usłyszeć od Beethovena, że „Fidelio" jest mu najdroższy ze „wszystkich dzieciąt natchnienia" – właśnie dlatego, że rodził się tak opornie.

Od premiery wersji ostatecznej minęły przeszło dwa wieki, przez które „Fidelio" obrósł mnóstwem kulturowo narzuconych znaczeń. Muzykolodzy, zamiast doszukać się przyczyny maniakalnego perfekcjonizmu kompozytora, wyciągnęli jednostronne wnioski z jego dłubaniny przy partyturze i uznali „Fidelia" za arcydzieło pęknięte, wątłe dramaturgicznie, rażące dysproporcją między nieprzekonującym librettem a muzyką niebiańskiej chwilami piękności. Mimo to „Fidelio" nie schodził z afisza.

Po II wojnie światowej dostał wręcz nowe życie. Okrzyknięty metaforą rewolucji francuskiej, muzyczną apoteozą wolności, głosem w obronie praw człowieka – ruszył szturmem przez świat. We wrześniu 1945 r. zabrzmiał w Berlinie, na scenie jedynego ocalałego ze zniszczeń Theater des Westens. Dziesięć lat później zainaugurował powojenną działalność wiedeńskiej Staatsoper. Tuż przed upadkiem muru berlińskiego zbratał demonstrantów z widzami nowej inscenizacji w Dreźnie i wszystkich wyciągnął na ulice. W kilku najnowszych ujęciach „Fidelia" małżeństwo głównych bohaterów przeistoczyło się w związek zaangażowanej feministki z więźniem politycznym.

W dobie pandemii, która przerwała zaawansowane już przygotowania do obchodów 250. rocznicy urodzin kompozytora, opera zyskała nową warstwę symboliczną. Stała się manifestem przetrwania, wyjścia w światło po nocy lockdownu, nadziei na lepszy świat po kryzysie. Teatry na gwałt dostosowywały wstrzymane produkcje do obowiązujących rygorów sanitarnych. Premierę w Garsington (2020) – z orkiestrą zredukowaną do granic absurdu i nagranymi wcześniej chórami – publiczność oklaskiwała ze łzami w oczach. Późniejszą o kilka miesięcy półinscenizację z Leeds można było obejrzeć tylko w internecie, a i tak jeden z krytyków wyznał, że słuchając słynnego Chóru Więźniów w I akcie miał wrażenie, jakby wraz z nimi zaczerpnął powietrza po długim pobycie w lochu.

Idee zamiast ratunku

Współczesny odbiorca jedynej opery Beethovena staje przed nieoczywistym wyborem. Może przyjąć rozpowszechnioną interpretację i uznać, że to, co do niej nie pasuje, jest koronnym dowodem ułomności dzieła, po czym i tak czerpać radość z muzyki oraz budującego przesłania. Może też zadać sobie pytanie, o jaką to mianowicie wolność chodziło samemu Beethovenowi. Wtedy nagrodą

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TW-ON

„Fidelio" w reżyserii Johna Fulljamesa w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. Warszawa, październik 2021 r.

będzie odkrycie, że „Fidelio" jest utworem ze wszech miar doskonałym, ale wynikający z niego morał zjeżyłby włos na głowie niejednemu piewcy nowocześnie rozumianych swobód obywatelskich.

Zaczęło się niewinnie. Beethoven postanowił zmierzyć się z formą operową w modnym, „rewolucyjnym" podgatunku francuskiej opery z dialogami mówionymi, w polskim piśmiennictwie zwanym „operą ocalenia" lub „operą ratunkową". Schemat był prosty i pod pewnymi względami zbliżony do współczesnego kina akcji: szlachetna jednostka pada ofiarą tyrana, który wtrąca ją podstępnie do lochu. Ratunek nadchodzi w ostatniej chwili, kiedy widz siedzi już na brzeżku krzesła, przekonany, że jego ulubiony bohater nie zdoła się przeciwstawić morderczym zapędom sadystycznego łotra. Wszystko dobrze się kończy, sprawiedliwość triumfuje, kurtyna. Beethovenowi przypadła do gustu nie tyle sama konwencja, ile pewien utwór podziwianego przezeń Cherubiniego: wystawiona w 1791 r. w Paryżu trzyaktowa „Lodoïska", dziś uważana za jeden z wzorców późniejszej opery ratunkowej.

Po „Lodoïsce" kompozytor zainteresował się innymi działami scenicznymi Cherubiniego, a także dorobkiem jego librecistów, m.in. Jeana-Nicolasa Bouilly'ego. Wybór Beethovena padł na tekst Bouilly'ego „Léonore, ou L'Amour conjugal", wykorzystany już w operze Pierre'a Gaveaux, za którym ustawili się w kolejce dwaj inni twórcy francuscy. Wersję niemiecką libretta dla Theater an der Wien przygotował Joseph Sonnleithner, Beethoven wziął się do pracy wiosną 1804 r. Kto wie, jak potoczyłyby się dalsze losy opery, gdyby mistrz nie ślęczał nad partyturą aż rok. Zaczynał jeszcze jako umiarkowany bonapartysta, kończył jako zajadły przeciwnik zdrajcy republikańskich wartości, który w grudniu 1804 r. koronował się na cesarza Francji. Dosłownie na tydzień przed premierą „Fidelia", 13 listopada 1805 r., wojska Napoleona zdobyły Wiedeń bez walki. Dlatego właśnie pierwsze wystawienie zakończyło się klapą – muzycy grali i śpiewali do świecącej pustkami widowni.

Beethoven przez następne osiem lat gruntownie przerabiał libretto. „Fidelio" z sensacyjnej opery ratunkowej przeistaczał się w coraz wyrazistszą operę idei – żarliwą pochwałę oświeconego absolutyzmu i patriarchalnej instytucji małżeństwa. Ziarno trafiło na podatny grunt: do bezwarunkowej abdykacji Napoleona doszło niespełna półtora miesiąca przed premierą trzeciej wersji w 1814 r. Triumf „Fidelia" stał się symbolem odbudowy austriackiej potęgi. Kolejne spektakle towarzyszyły wrześniowym obradom kongresu wiedeńskiego: rozparci w lożach królowie Prus i Danii oraz car Rosji z aprobatą kiwali głowami na tak wyrafinowaną apologię swych rozumnych rządów. Jeśli Beethoven chciał jeszcze coś poprawiać, to tylko po to, by wzmocnić ów wydźwięk.

Akcja „Fidelia" toczy się w niemożliwym do zidentyfikowania więzieniu pod Sewillą, w Hiszpanii, którą nie tylko Austriacy uważali za kraj dziki i przeżarty korupcją. Twierdza łączy najgorsze cechy wszelkich ówczesnych systemów penitencjarnych. Nigdzie nie pojawia się choćby sugestia, że Florestan jest więźniem stanu albo sumienia. Wiadomo tylko, że jest w posiadaniu informacji, które mogą zniszczyć karierę Pizarra, gubernatora więzienia. Pizzaro jest najczarniejszym z czarnych charakterów, bo załatwia z nim własne porachunki – poza obowiązującym systemem, poza wolnością definiowaną jako bezwzględne podporządkowanie woli bożego pomazańca, który nakazuje, co jest słuszne, a zakazuje tego, co niesłuszne, zezwala na rzeczy dobre, wzbrania zaś rzeczy złych.

Pozostali bohaterowie nie wyłamują się z systemu i czynią rzeczy słuszne, które w żadnym razie nie mieszczą się w naszym rozumieniu godności i swobody jednostki. Dozorca Rocco tylko dlatego odmówi zabicia więźnia, że „odbieranie życia nie jest jego obowiązkiem". Leonora, wierna żona Florestana, rozkocha w sobie nieszczęsną Marcelinę, by spełnić swój obowiązek małżeński. Źle się czuje w męskim przebraniu Fidelia: zrzuci je natychmiast, kiedy wypełni zadanie. Złoczyńca zostanie przykładnie ukarany, ale nie ma pewności, czy opera – jak próbuje się nas przekonać – kończy się jakąkolwiek amnestią. Bardziej prawdopodobne, że *happy end* polega wyłącznie na zaprowadzeniu chwalebnego ↦

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

↦ porządku w twierdzy. Kurtyna spadnie, więźniowie wrócą do swoich cel. Być może wraz z Florestanem, ale już bez kajdan i zbędnego cierpienia. Marcelina wyjdzie za mąż za niekochanego Jaquina – upokorzona, wystrychnięta na dudka, odarta z marzeń o prawdziwej miłości.

Muzyka i kłody

Po kompletnie chybionej inscenizacji „Fidelia" w paryskiej Opéra Comique spodziewałam się zadośćuczynienia w postaci przeniesionego z ubiegłego sezonu spektaklu w reżyserii Johna Fulljamesa – pierwszej jesiennej premiery w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej. I poniekąd się nie zawiodłam, choć ratunek przyszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony. Największym bohaterem warszawskiego „Fidelia" okazał się dyrygent Lothar Koenigs, który zrezygnował z forsowania tempa i efekciarskich kontrastów na rzecz mądrej i wyważonej analizy wszystkich zawartych w tej partyturze gestów retorycznych. Z rewelacyjnym skutkiem, co doceniam tym bardziej, że dostał pod pieczę solistów zróżnicowanych pod względem biegłości technicznej, muzykalności i obycia ze stylem wokalnym Beethovena.

Reżyser John Fulljames jak mógł, tak rzucał mu kłody pod nogi. Jego niby abstrakcyjna, a w gruncie rzeczy mocno uwspółcześniona koncepcja wiązała się z koniecznością drastycznych zmian w partyturze, na czele z całkowitym usunięciem dialogów mówionych i wprowadzeniem głosów kobiecych do Chóru Więźniów, nie wspominając o kolejnych cięciach i roszadach materiału muzycznego, wkomponowaniu w akt II wolnej części z późnego Beethovenowskiego Kwartetu a-moll op. 132 (piękna to muzyka, ale w swej osobliwości tak pełna wyrazu, że rozsadziła właściwą narrację) i poprzedzeniu całości nijak niepasującą do tej hybrydy pierwotną uwerturą z 1804 r.

Poza współcześnie obowiązującą wykładnię „Fidelia" Fulljames jednak nie wyszedł. Nad sceną krążyło widmo totalitaryzmu, Pizarro znów okazał się wulgarnym alkoholikiem, a na koniec wszyscy wyszli z więzienia. I tylko Marceliny szkoda.

© DOROTA KOZIŃSKA

CLAIRE MATHON / FORUM FILM POLAND

Kristen Stewart jako księżna Diana w filmie „Spencer" w reżyserii Pabla Larraína

Kobieta do zjedzenia

ANITA PIOTROWSKA

Ta „baśń zrodzona z tragedii" płynie sobie elegancko, nieśpiesznie, wręcz onirycznie, lecz pod jedwabną podszewką, tkaną z szeptów i krzyżujących się spojrzeń, skrywa autentyczny koszmar.

W masowej wyobraźni zapisała się po prostu imieniem, na dodatek zdrabnianym arystokratyczno-familiarną zbitką „Lady Di". Była przecież własnością tłumów: ulubienicą mediów, ikoną stylu, „królową ludzkich serc". Chilijski reżyser Pablo Larraín w filmie „Spencer" już na wejściu tytułuje ją panieńskim nazwiskiem i tym samym wyciąga księżną Dianę z popkulturowego kontekstu. Działa trochę na przekór jej filmowym, czy serialowym, przedstawieniom, nie interesują go więc dworskie intrygi ani śliskie tajemnice alkowy. Czyli cały ten tabloidowy przemysł, gdzie najlepiej sprzedaje się splendor i skandal.

Zamiast tego dostajemy studium kobiecej obcości – w królewskiej scenerii Bożego Narodzenia, a zarazem w niedogrzanych wnętrzach wiejskiej posiadłości Sandringham, w otoczeniu ludzi, którzy wyglądają niczym z gabinetu woskowych figur, i wśród wykwintnych potraw, na które brak apetytu. Oraz pomiędzy duchami, bowiem ekranowa fantazja na temat trzech dni z życia Diany Spencer-Windsor to przede wszystkim transowa, intensywna emocjonalnie metafora świata zakonserwowanego w przeszłości. Reżyser i jego scenarzysta Steven Knight opowiadają historię wiecznej dziewczynki, która desperacko pragnęła dorosnąć, żyć „bliżej krwiobiegu" i jakoś wychynąć w przyszłość. Pewnie dlatego tak bardzo nie chciała zostać królową.

Brytyjska *royal family* niby jest w obiektywie, ale schodzi na dalszy plan. Mamy rok 1991 i najbliżej Diany są ci, którzy uczuciowo coś dla niej znaczą: dwaj małoletni synowie, na poły fikcyjna postać garderobianej Maggie

(Sally Hawkins) czy... Anna Boleyn, druga żona Henryka VIII, stracona ongiś pod zarzutem zdrady, teraz będąca dla osamotnionej księżnej Walii ostrzegawczym zwierciadłem. Całą resztę stanowią ludzie nie do końca żywi, kustosze monarchii, zakładnicy protokołu. Już na początku filmu Diana próbuje wyłamać się z jego reguł. Rezygnując z szofera i ochrony siada za kółkiem, żeby błądzić po angielskiej prowincji, śladami swych rodzinnych korzeni, i spóźnia się na przygotowania do Wigilii. Przepraszające „ups!" będzie towarzyszyć jej przez cały okres pobytu na wsi, wywołując irytację strażnika ceremonii, majora Gregory'ego (Timothy Spall), milczącą dezaprobatę księcia Karola (w tej roli Jack Farthing) i z trudem powściągany gniew jego matki (Stella Gonet). Warto dodać, iż filmowi royalsi swą powierzchownością czy ekspresją nie imitują na siłę oryginałów, odtwarzają po prostu ich opatrzone ikoniczne sylwety. Inaczej jest w przypadku Diany, którą Kristen Stewart mimo doskonałej charakteryzacji również nie stara się ślepo naśladować. Próbuje raczej, zgodnie z literą scenariusza, odsłaniać to, co z dużą dozą prawdopodobieństwa zakrywał jej publiczny wizerunek. Właśnie owe przesunięcia i pogłębienia okazały się w filmie najbardziej fascynujące.

Widzowie „Spencer" znają prawdziwe zakończenie, lecz prawem poetyckiej licencji twórcy igrają z przeznaczeniem. Co by było, gdyby Diana – notorycznie lekceważona, traktowana jak fotogeniczna maskotka, doprowadzona przez hipokryzję dworu na skraj załamania nerwowego – zrezygnowała w porę z roli królewskiej męczennicy? Przez cały film niewiele wskazuje na alternatywny finał. Historia toczy się wzdłuż równi pochyłej czy raczej spirali, która wciąga bohaterkę w szaleństwo. Ten, kto pierwszy nazwał obraz Larraína klaustrofobicznym thrillerem, trafił w punkt. Celebrowane na ekranie rytuały (kulinarne, ubraniowe, myśliwskie) nie potrzebują karykatury, by osaczać. Kreacje noszone podług ustalonego harmonogramu czy naszyjnik z pereł, który okazuje się upokarzającym kagańcem, współtworzą opresyjny porządek. Gastronomiczny poligon pracujący non stop na pałacowym zapleczu i czysty *porn food* konsumowany przy smyczkach dopełniają obrazu świata, w którym króluje przerost formy i najmniej znaczą czyjeś psychiczne udręki. Stąd nawet stara poczciwa tradycja, polegająca na obowiązkowym ważeniu się gości przed i po świętach (należy przytyć trzy funty!), wydaje się okrucieństwem. Zwłaszcza w odniesieniu do zaburzeń odżywiania, z którymi Diana zmagała się od początku swojego małżeństwa.

Larraín obserwuje ów skansen oczami kosmitki. Czytaj: osoby zaszczutej, nawiedzonej przez własne demony, chorej z niemiłości. Reżyser, który przed pięcioma laty w podobny, impresjonistyczny sposób portretował z bliska owdowiałą „Jackie" Kennedy, wszystkie elementy świata przedstawionego: kostium, scenografię, topografię pałacu, muzykę, podporządkowuje cierpieniu swej bohaterki. W tym filmie suknie ciążą, kotary izolują, ściany mają uszy, jedzenie rośnie w ustach, a ekspresyjna ścieżka dźwiękowa Jonny'ego Greenwooda rozregulowuje świąteczny nastrój. Raz dźwięki wiją się barokowo, by za chwilę uciekać w niespokojne jazzowe frazy, czasem zaś brzmią zgrzytliwie niczym strojenie instrumentów przed koncertem. To wszystko sprawia, iż przestajemy rozróżniać, co rozgrywa się naprawdę, a co dzieje się w skołatanej głowie Diany. Zwłaszcza że zjawy, wizje dzieciństwa, rozmowy ze zwierzętami czy przedmiotami coraz bardziej wypierają realność. I paradoksalnie wyglądają bardziej prawdziwie niż dworskie życie zamienione w sztywny ceremoniał. „Musimy grać podwójne role" – przypomina małżonce książę Karol.

Larraín widzi w Dianie luksusową „kobietę do zjedzenia", jakkolwiek metafora bażanta, hodowanego po to tylko, by go kiedyś ustrzelić i oporządzić, potraktowana została zbyt dosłownie. Kobiecą wrażliwość czuje się szczególnie w pracy kamery, balansującej między „angielskim" dystansem a maksymalną bliskością – w końcu Claire Mathon odpowiada za zdjęcia do takich filmów, jak „Portret kobiety w ogniu", „Atlantyk" czy „Mała mama". Na zewnątrz pyszni się *haute couture*, pod spodem są samookaleczenia i wymioty. Przed nami rzecz o rozpadzie osobowości, na tyle jednak sugestywna, że łatwo dopatrzyć się w niej zawoalowanej społecznej krytyki. Filmowa Diana w swojej tęsknocie za normalnością i desperackiej walce o siebie demaskuje absurdy anachronicznego systemu, opartego na sukcesji, celebrytcie i grze pozorów. ©

SPENCER – *reż. Pablo Larraín. Prod. Niemcy/Wielka Brytania/Chile 2021. Dystryb. Forum Film.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Ukraina!

Przegląd, 11-21 XI, MOJEeKINO

Szósta edycja festiwalu filmów ukraińskich będzie się odbywać równolegle w kinach i online, a otworzy ją głośny „Nosorożec" Ołeha Sencowa. Prócz nowego kina fabularnego, dokumentalnego i animowanego w programie znajdzie się klasyka, w tym twórczość Kiry Muratowej czy urodzinowa retrospektywa aktora Bohdana Stupki.

2. Jestem Greta

Dokumentalny, reż. Nathan Grossman, Szwecja 2020, Canal+ Premium, 15 XI, 21.00, Canal+ 1, 15 XI, 22.00

Jak to się stało, że szwedzka piętnastolatka ze spektrum autyzmu stała się ikoną eko-aktywizmu, uwielbianą, ale też hejtowaną na całym świecie? Twórcy filmu towarzyszą Thunberg od pierwszego strajku klimatycznego aż po jej zagraniczne podróże, ukazując zarówno publiczny fenomen Grety, jak i jej bardziej prywatne oblicze.

3. Niefortunny numerek lub szalone porno

Komediodramat, reż. Radu Jude, Rumunia i inne 2021, Nowe Horyzonty VOD

Amatorskie nagranie „dla dorosłych", przaśna satyra obyczajowa, miniencyklopedia rumuńskiej duszy i duszna kronika pandemicznej rzeczywistości – tyle (co najmniej) odnaleźć można w najnowszym filmie twórcy „Aferim!", triumfującym na tegorocznym Berlinale. Co najciekawsze, polska rzeczywistość przegląda się tu jak w zwierciadle.

4. Gunda

Dokumentalny, reż. Viktor Kosakovskiy, Norwegia/Hiszpania/USA 2021, VOD

Wbrew pozorom to nie jest naturalistyczna „Babe, świnka z klasą" czy manifest wegetarianizmu kręcony w warunkach hodowli przemysłowej. A jednak obserwacja codziennego życia tytułowej maciory z wolnego wybiegu przynosi emocje i refleksje największego kalibru. O doznaniach estetycznych nie wspominając.

JAN

Klata:
Żonglujący buldożer

Bohaterem ostatnich tygodni jest inflacja oraz zegarek do góry nogami. Inflacją nie ma się co parać, inflacja jest oczywista, oczywiście dobra, co wyczerpująco wyjaśnił Premier, natomiast zegarek... Podziwiam sokole oczy, które wypatrzyły anomalię położenia cyferblatu Zegarka Prezesa, dzięki temu coś pozostanie po konferencji Min. Błaszczaka, który długo, ale to bardzo długo wyłuszczał wizjonersko przełomowy brak konkretów w zakresie obronności Ojczyzny. Może w całej konferencji chodziło o leczenie Prezesa, który cierpiał na bezsenność, były to Wariacje Błaszczakowskie z udziałem kamer? Inny sens trudno dostrzec, jakichkolwiek konkretów brak. *Nota bene*, nie wróżę sukcesu jakimkolwiek antyrządowym demonstracjom, nawet bardzo masowym: kiedy przyjdzie co do czego, w ostateczności Prezes wezwie nie tyle wojsko, ani nawet nie ruchawki Bąkiewicza, wezwie Min. Błaszczaka, który zacznie spicz... i po kilku minutach uśpi rozsierdzony tłum.

Odwrotny Zegarek Prezesa z pewnością jest tajemnym znakiem skierowanym do tych, którzy wiedzą, o co biega. Najgorsze, że nie wiemy, czy Zegarek chodził, czy się spieszył, czy się spóźniał, w jakiej strefie czasowej się obracał. Jeśli ktoś dysponuje wiedzą – proszę o wskazówki. Ale może do głosu doszła starannie dotąd skrywana *sprezzatura* Prezesa, dotąd jakże mylnie brana za żenujące niechlujstwo? Mnożą się scenariusze, wołając o prof. Zybertowicza. Co najważniejsze, na szczęście wiemy, że Chronometr Prezesa był tani, w przeciwieństwie do czasomierza karygodnego kułaka Lewandowskiego. Z drugiej strony: istnieje ewentualność, że Prezes nosi również drugi zegarek, ukryty – na przykład wyżej na ręce, dajmy na to?

Co to za zegarek? O co w nim chodzi?

Życie w listopadowej Polsce Anno Domini 2021 jest pełne sennych zagadek, którymi żongluje buldożer władzy przetaczający się przez wszystkie możliwe struktury z wdziękiem przysłowiowego Terleckiego. Zaraz Święto Niepodległości, żonglowanie się ożywi. ©

Lektor:
Zoologia alternatywna

▪ *Michał Komar*
BESTIARIUSZ
Ilustracje: Paweł Kowalewski
Luna House, Warszawa 2021, ss. 88.

Nadzwyczaj smaczna to książka. Nie tylko dlatego, że przeczytać w niej można o pożytkach płynących ze spożywania jąder bobra, gotowanych z lubczykiem bądź suszonych i sproszkowanych – w każdym z tych przypadków pożytek jest inny. I nawet nie z powodu jej nadzwyczajnej urody oraz uderzająco szlachetnej prostoty ilustracji, by wspomnieć tylko te, które przedstawiają Skorpiona, Mocz Wilka albo Zapach Czarowny. Współpraca Pisarza, którego na tych łamach nie trzeba przedstawiać, i Artysty, niegdyś założyciela sławnej Gruppy, przy wsparciu Adama Żebrowskiego, projektanta kształtu całości, zaowocowała przedmiotem pięknym. Ale i pouczającym. Ileż bowiem nadzwyczajnych wiadomości o świecie zwierzęcym kryją pisma starożytnych i źródła historyczne! Ileż gatunków, które zdecydowały się ukryć przed naszym wzrokiem albo przemieniły się, jak Mrówkolew, w swoją karykaturę! Oto groźny Katoblepon, być może chudy i niewielki, być może zaś wielkości byka, być może zabijający wzrokiem, a być może trującym oddechem, na pewno jednak z wielką głową, w której składuje mnóstwo myśli, dlatego jest bardzo ciężka i opada w dół. Oto Jednorożec, obecny nawet na kartach Wulgaty. Oto Ryba Biskup i Ryba Mnich – obie w wieku XVI pojawiały się w okolicach Gdańska. Żmiję i rybę murenę możemy i dziś zobaczyć – czy jednak wiemy, jaka łączy je namiętność? I jak surowe obyczaje ma Bocian, karząc nieporządek moralny zarówno we własnym gnieździe, jak i wśród bliskich mu ludzi? A cóż powiedzieć o Psiogłowcach, którym wiele miejsca poświęcają i antyczni pisarze, i średniowieczni kronikarze? „Słusznie mówią – pisze autor – że aby zrozumieć, kim jest człowiek i jakie jest jego miejsce w planie Opatrzności, trzeba koniecznie zająć się Psiogłowcami”. I zajmuje się nimi obszernie, podobnie jak niepozorną Kuropatwą, przypominając jej związek z historią Dedala i Ikara... Poznawajcie więc zapomniane dzieje zwierząt, szczególną zaś uwagą obdarzcie pouczający rozdział ostatni, zatytułowany „O pożytku z przyglądania się zwierzętom i reszcie świata”. Ja zaś na koniec zacytuję w całości krótki i jakże słuszny tekst „O Kotach”: „Przyglądając się różnym rodzajom dzikich zwierząt, bydła i wszelkim zwierzętom pełzającym po ziemi oraz mężczyźnie i niewieście, Stwórca rzekł: »Niech tajemnica mądrości i piękna Kotów pozostanie niezgłębiona na wieki wieków, amen«”. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Prywatne środki

Siedemdziesiąt litrów wody potrzeba przeciętnie, by wyhodować jeden owoc awokado. Że to relatywnie dużo, widać w porównaniach – z pomarańczą np. (ok. 20 litrów) czy pomidorem (5 litrów). Między 50 a 100 litrów wynoszą dzienne „podstawowe" (według klasyfikacji WHO) potrzeby człowieka traktującego stały dostęp do świeżej i podgrzanej wody jako warunek konieczny życia godnego i zgodnego z normami higieny.

Chcesz się chlapać pod prysznicem i beztrosko spuszczać wodę, to wywal awokado z diety, przynajmniej wyjdzie na zero: chętnie udostępniam to hasło każdemu, kto podziela moją niechęć do tego owocu. Ze wszystkich elementów stylu życia skopiowanych z Zachodu ten jest akurat zbędny, bo jego podstawowa zaleta, czyli przydatność dla wegan w roli smakowitego zamiennika masła i wszelkiej „maślanej" tekstury, jest łatwo zastępowalna przez inne półprodukty – głównie uzyskane ze strączków, z bobem i groszkiem na czele. Jak kto ciekaw pomysłów, niech na Instagramie wrzuci hasztag #noavocado.

Na szczęście patrzę na to wciąż jak na tzw. problemy pierwszego świata. Jeszcze do niego nie należymy, potwierdził to nawet nasz suwerenny rząd, zapisując Polskę na szczycie w Glasgow do grupy zacofanej, której wolno dłużej palić węglem. Świat ludzi, których kwestia śladu ekologicznego awokado nie zajmuje ani przez chwilę, jest tuż – nawet nie obok, tylko wokół. Moje krakowskie ścieżki niemal codziennie przecinają jedną z kolejek stojących rano na ul. Smoleńsk do ojca Pio po kanapkę i kawę, czy po obiad w Caritasie na Plantach Dietlowskich. Mam wtedy odruch dociekania, czym i jak karmimy naszych wewnętrznych uchodźców z dobrobytu.

Grzebię raczej w dokumentach, bo wstyd mi zaglądać przez okienko do kotłów. Trwają ciągle prace nad nową siedmioletnią perspektywą unijnych funduszy. Przeglądam szeleszczące nowomową papiery (z ciekawym przejściem semantycznym: w żargonie brukselskim biedny i głodny to „*most deprived*", czyli najbardziej ogołocony, na polski się to tłumaczy bardziej miękko, jako „najbardziej potrzebujący"), ciekaw jestem, kto fizycznie ustali np. listę produktów do darmowej dystrybucji dla rodzin. Już kiedyś, może to pamiętacie, próbowałem pytać, gdzie w tych wszystkich wykazach i recepturach sól, przyprawy i tym podobne dodatki, które np. wypadły kiedyś z dotacji dla barów mlecznych.

W rozdawanym przez zeszłe siedem lat „europejskim" zestawie był u nas przynajmniej koncentrat pomidorowy, żeby fasolka, wydawana w ilości 40 kg rocznie, wchodziła łatwiej (ale już nie ocet, więc keczupu się nie da zrobić). Policzcie we własnych szufladach, ile korzeni i przypraw traktujecie jako absolutnie bazowe (dla ułatwienia odłóżmy na bok mieszanki). Mi wyszło osiem, plus drugie tyle jako potrzebne tylko trochę mniej.

To zresztą problem wcale nie typowo polski. Wręcz częściej się go podnosi w krajach protestanckich, gdzie nędzarz uchodzi za ofiarę własnej moralnej słabości, wspólnota mu zatem pomaga, ale tak, by ta pomoc była też formą dyskretnej kary. Damy ci miskę kaszy, żebyś nam nie umarł z głodu na placu, ale będzie mdła, żebyś przy tym nie odczuł radości życia, na tę bowiem zasłużyli ci bez grzechu i skazy, w pierwszej ławce kościoła. A tak przy okazji: w niedzielę dzień święty, więc stołówka nie działa.

Zawracam głowę niszowymi sprawami i „niech się tym zajmą eksperci"? Jednak poczucie lepszości wobec bliźnich wyłazi każdą szparą naszego dobrego i dobrze przyprawionego życia. Okrutne, ślepe i usypiające chęć do działania: ile razy słyszeliśmy, że rząd nie chce zarządzić potrzebnych restrykcji dla nieszczepionych, bo się boi swoich wyborców z Podlasia? Skądinąd całe szczęście, że „ci z Podlasia" mają skórę i rysy takie jak inni Polacy, bo w głosie wielu swoich znajomych słyszę jakby akcent wprost z Alabamy. Policzmy teraz, ilu mamy niezaszczepionych znajomych w swojej banieczce. Pewnie to garstka, ale jednak. Mniejsza o powody (wśród moich znajomych widzę głównie wiarę w newage'owe gusła). Czy przyszło nam do głowy wprowadzić wobec nich prywatne restrykcje? Nie przyjdziesz do nas na kolację, nie idziemy razem na piwo, nie weźmiemy twoich dzieci na nocowanie... Bądźmy lepsi – nie od ludzi, ale od rządu. Mamy w garści te same środki nacisku. ©℗

PAWEŁ BRAVO

Łatwo mi piętnować awokado, bo go nie lubię, tymczasem nie wyobrażam sobie kuchni np. bez bakłażana. Nie wiem, ile pochłania wody, mam nadzieję, że niewiele, ale w zimie pochodzi z daleka. Niedawno dokonałem jednak ekologicznego „offsetu", biorąc do makaronu alla Norma krajowy, podeschnięty nieco, półtłusty twaróg zamiast sycylijskiej suszonej ricotty. Ale to nie była jedyna modyfikacja, wyszła mi w efekcie inna potrawa, którą musimy nazwać na cześć jakiejś polskiej opery. Makaron Halka? Sami oceńcie. Kroimy w ok. centymetrową kostkę dwa małe bakłażany, podsmażamy na oliwie na średnim ogniu ok. 5 minut, aż ładnie się zrumienią, podlewamy 100 ml białego wina, kiedy odparuje, dodajemy szklankę przecieru pomidorowego, sypiemy sól i oregano, i dusimy jeszcze ok. 10 minut, gdyby gęstniało za bardzo, rozprowadzając wodą. Na osobnej patelni szklimy małą, drobno posiekaną cebulę, dodajemy ok. 200 g mielonego mięsa z indyka, obsmażamy starannie 5 minut, solimy, przyprawiamy mocno pieprzem, podlewamy paroma łyżkami wody, dusimy kolejne 5 minut i łączymy z sosem bakłażanowym. Makaron (krótkie formy albo np. tagliatelle) przerzucamy z wrzątku wprost na patelnię, łączymy z sosem na ciepło. Posypujemy twarogiem (musi być lekko zeschnięty, można go zostawić poza lodówką na parę godzin) tartym na grubej tarce.

ZMYSŁY

WSZYSTKIE ZAPACHY CIEMNOŚCI

Niewidomi i niedowidzący „słyszą” doskonale przestrzeń, potrafią poczuć ją dotykiem, a teraz uczą się jej także przez zapach.

MARIUSZ SEPIOŁO

Marek Jakubowski w podziemiach dawnego klasztoru przy kościele św. Jana Chrzciciela. Owińska, sierpień 2021 r.

Gdy Marek Jakubowski ogłasza na Facebooku swój pomysł, nie spodziewa się, że odzew będzie tak duży. Do Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niewidomych w Owińskach pod Poznaniem, gdzie jest pedagogiem, zaczynają przychodzić stosy paczek. Łącznie uda się do dziś zebrać sześć tysięcy próbek zapachowych. Złożą się na Bibliotekę Zapachów – autorski pomysł Jakubowskiego, z którego już dziś korzystają niewidome i niedowidzące dzieci uczące się w Owińskach.

Otwieram drewniane pudełko z próbkami zapachów. Wyciągam fiolkę na chybił trafił. Na etykiecie czytam: „wołowina”. Wącham: ciężka, słodkawa, wwiercająca się w śluzówkę woń, dziwnie przypominająca... gorzką czekoladę.

– Zapachy są przeróżne, czasem bardzo osobliwe. Facet z Wolsztyna, emerytowany kolejarz, przysłał słój ze smarem do lokomotyw – mówi Jakubowski. – Śmierdzi to jak cholera. Ale czy poza bocznicami i warsztatami jest na świecie miejsce, w którym można powąchać kolejowy smar?

Najpiękniej pachną książki

Siedzimy w gabinecie Jakubowskiego. Nowoczesnym, przeszklonym pomieszczeniu wewnątrz budowli pamiętającej Napoleona.

– Był rok 1806. Cesarz wizytował Owińska w towarzystwie generała Dezyderego Adama Chłapowskiego – opowiada Marek Jakubowski. – Stoi pan dokładnie w miejscu, w którym wtedy stał Napoleon.

Do XVII w. w budynkach, w których mieści się dziś ośrodek, żyły siostry cysterki. Były zamożne – posiadały na własność kilka okolicznych wsi. Po kasacie zakonu posesja przez dziesięć lat stała pusta i niszczała. W 1839 r. utworzono tu szpital psychiatryczny.

– Wówczas reklamowano go jako zakład, w którym pacjentów „mało się bije” – opowiada Jakubowski. Najpierw szpital mógł pomieścić kilkuset chorych, ale zapotrzebowanie było tak duże, że w okolicznym parku wybudowano kilka kolejnych budynków. Stoją do dzisiaj.

Historia szpitala skończyła się tragicznie. W 1939 r. pacjenci stali się ofiarami hitlerowskiej Akcji T4, mającej na celu eksterminację chorych psychicznie. Część została rozstrzelana, część otruta: naziści wprowadzali przedłużoną rurę wydechową ciężarówki do szczelnie zamkniętej naczepy, w której siedzieli pacjenci. Nieżywych transportowali do Fortu VII w Poznaniu, gdzie mieściło się krematorium.

Gdy już wymordowano chorych, w Owińskach powstała szkoła oficerska. Po korytarzach, po których biegają dziś dzieciaki, jeszcze kilka dekad temu chodzili żołnierze w mundurach Wehrmachtu. Po wojnie władze PRL stworzyły tu ośrodek dla niewidomych.

Dziś w Owińskach uczy się i mieszka w internacie 170 dzieci – wszystkie w różnym stopniu dotknięte problemami ze wzrokiem. Nikt jednak nie posługuje się tu laską,

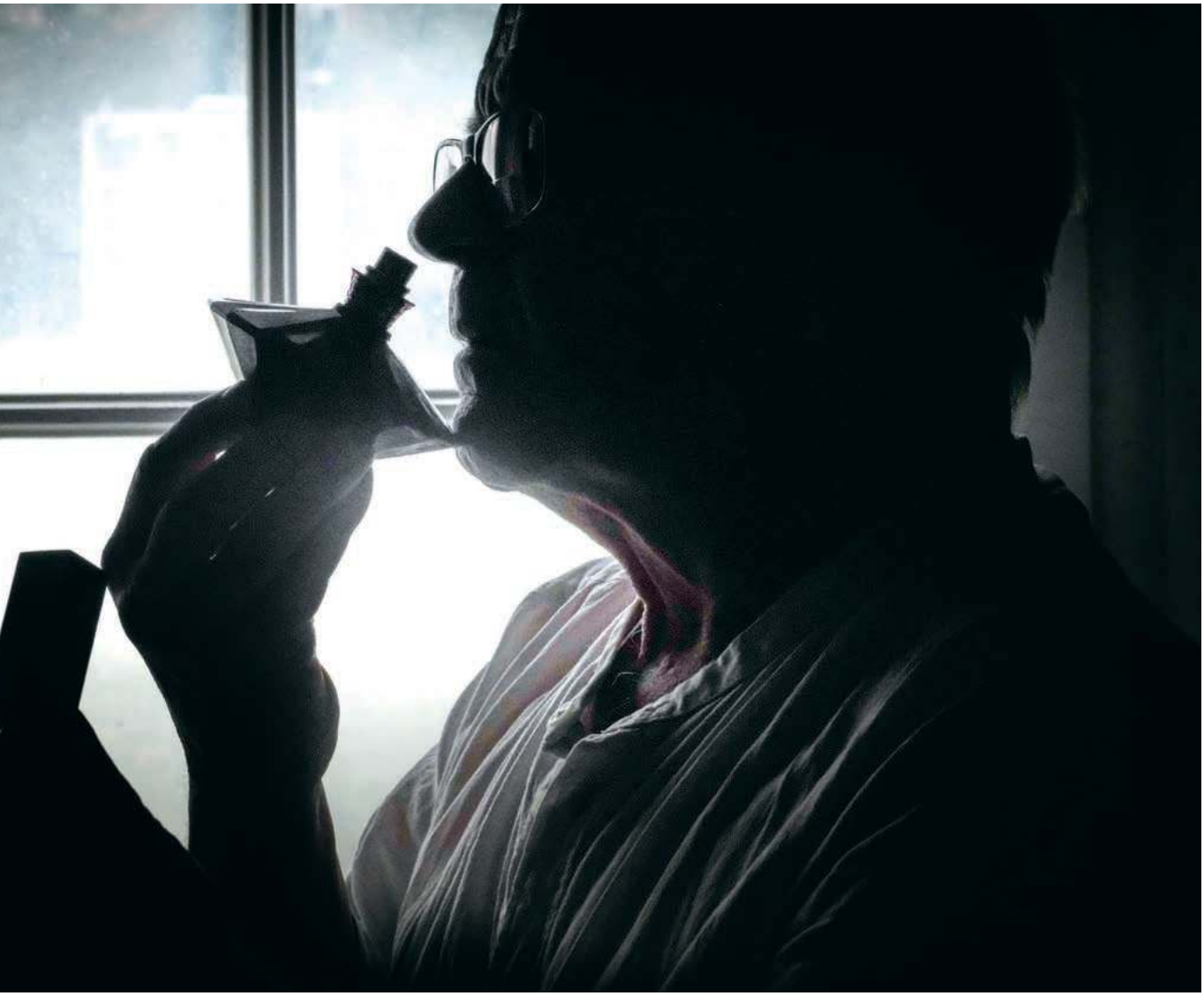

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA

a przewodnika zastępują im własne uszy i ręce. Każde nasze słowo, pociągnięcie nosem, tupnięcie butem – roznosi się tu dalekim echem. Niewidomi i niedowidzący słyszą to o wiele „bardziej". Dzięki wyostrzonemu słuchowi potrafią wyobrazić sobie przestrzeń i doskonale się w niej odnaleźć.

Wychodzimy do parku otaczającego ośrodek. Starannie przystrzyżone trawniki, wypielęgnowane alejki, małe jeziorko, minizoo ze zwierzętami gospodarskimi, rzadkie gatunki roślin, kręte uliczki pośród drzew. Jak odnajdują się tu dzieci niewidome i niedowidzące?

– One ten teren znają jak własną kieszeń. One go słyszą – mówi Jakubowski.

– Jak można słyszeć przestrzeń? – dopytuję.

– Można. Jeśli zamknie pan teraz oczy i przejdzie obok drzewa, nie będzie pan wiedział, że właśnie mija pan drzewo. A niewidome dziecko to drzewo usłyszy. I poczuje. Bo my, widzący, nie zwracamy uwagi na detale. Dla niewidomego z wyostrzonymi innymi zmysłami wybijają się one na pierwszy plan. Na przykład szum liści albo zapach kwitnących kwiatów.

Hubert Jankowski: – Jestem studentem trzeciego roku filologii polskiej na Uniwersytecie w Białymstoku. Jestem również założycielem strony na Facebooku „Oczami Niewidomego". Zamieszczam na niej teksty o swojej niepełnosprawności. Gdy miałem sześć lat, wykryto u mnie nowotwór – glejaka struktur wzrokowych. Czy pamiętam zapachy sprzed choroby? Wątpię. Wiem jednak, że od dziecka nie lubiłem zapachu pomidorów i zostało mi to do teraz. Nawet gdy czytam o nich w książce, mam dreszcze.

Hubert potrafi po zapachu rozpoznać piekarnię, którą mija zwykle rano podczas marszobiegu. Umie również „dostrzec" pobliską szkołę podstawową po zapachu... zapiekanek, który tam się unosi.

– Uwielbiam zapach książek – wyznaje. – Pachną wyjątkowo: świeżym drukiem, tuszem. Gdy czuję ten zapach, to mam wrażenie, że przenoszę się w inne, magiczne miejsce. Tak na mnie działa księgarnia.

Hubert nie lubi za to zapachu rozgrzanego asfaltu. W upalne dni jest tak intensywny, że kręci mu się od niego w głowie: – Mam wrażenie, że to zapach brudu. Wszystkiego, co zostawiły po sobie przejeżdżające samochody.

700 śladów na mapie

W czasach PRL systemem opieki objęte były tylko osoby niewidome (niedowidzące już nie). Za zwieńczenie skutecznej ↦

↦ rehabilitacji uznawano wtedy podjęcie zatrudnienia. I mimo całej swej siermiężności gospodarka centralnie sterowana miała dla niewidomych całkiem sporą ofertę. Niewidzący pracowali w co najmniej kilkunastu zawodach, najczęściej rzemieślniczych, niektórzy w zakładach pracy chronionej, niektórzy chałupniczo. Wyrabiali koszyki, szczotki, pracowali w przemyśle tapicerskim, metalowym, w warsztatach tkackich. Zdarzali się także specjaliści, np. od strojenia fortepianów. Niewidomi stroiciele należeli do najlepszych. Byli niezwykle wyczuleni na najdrobniejszy nawet fałsz.

Marek Jakubowski, jako świeżo upieczony absolwent pedagogiki specjalnej, przyszedł do pracy w Owińskach w 1980 r.: – Byłem przekonany, że umiem wszystko, skończyłem studia, miałem dyplom. Wtedy koleżanka, pracująca w ośrodku od jakiegoś czasu, pyta mnie: „A na drutach umiesz robić?". No, nie umiem. „Ale na szydełku to cię uczyli?". Też nie. Okazało się, że nie umiałem nic. To znaczy: nie to, co wtedy było ważne i potrzebne.

A potrzebne jest też usprawnienie rąk niewidomych dzieci.

– Żeby mogły poznawać świat przez dotyk, ale też dobrze pisać, czytać i posiadać predyspozycje do wykonywania „ręcznych" zawodów, koszykarstwa czy wikliniarstwa – mówi Jakubowski. – Dziś wiele takich zawodów wymiera, ale niewidomi pracują w innych, dostępnych po studiach wyższych. Są nauczycielami, wykładowcami. Pracują w tapicerstwie, a my tu niedaleko, w Swarzędzu, mamy tapicerskie zagłębie. Nasi absolwenci zatrudniani są, jak to się mówi, od ręki.

Jego koleżanka, a kiedyś uczennica, to dziś wzięta prawniczka. W pracy korzysta z aplikacji w telefonie i komputerze, ale także z pomocy klientów – to oni pomagają jej w poruszaniu się po sądzie. Nie przeszkadza im jej niepełnosprawność. Liczy się zaangażowanie, z jakim broni ich spraw.

Inne wykonują na szydełkach cudowne rękodzieło: – I śmieją się z tej mojej nauczycielskiej pensji. Bo one na tych firanach zarabiają dwa, trzy razy więcej.

A co z tymi, którymi się nie powiodło?

– Takie historie też mamy – mówi Jakubowski. – Najczęściej są to dzieci z dodatkowymi problemami, np. niepełnosprawnością intelektualną. Im w Polsce jest bardzo ciężko o pracę. Czasem przeszkodą są też rodzice. Mamy bywają tak nadopiekuńcze, że nie pozwalają, by ich dzieci czegokolwiek się nauczyły. Gdyby miały sześć rąk, to tymi sześcioma rękami chciałyby to dziecko do siebie przytulać.

Marek Jakubowski pokazuje szklane gabloty pełne eksponatów. Jest tu prawdopodobnie największa na świecie kolekcja map dotykowych.

– Do pewnego momentu wszystkie je czyściłem. Teraz już tego nie robię, bo ten brud ma urok. To przecież ślady rąk dzieci, które dzięki mapie chciały się dowiedzieć, jak wygląda świat – mówi Jakubowski. Kiedyś przeprowadzili w ośrodku badania: okazało się, że każda z map ma na sobie ok. 700 niepowtarzalnych śladów genetycznych.

Są książki, pomoce dydaktyczne, drukarenka Kleina – ponad 200-letnie urządzenie, na którym niewidomi pisali, zanim wynaleziono i rozpowszechniono alfabet Braille'a. To niewielka ramka, do której wkłada się papier, a w nim odciska kształt liter – zawsze od prawej do lewej. Po to, by niewidomy mógł je odczytać już jako właściwe pismo – od lewej do prawej. Są kubarytmy – proste liczydła, dzięki którym niewidomi mogli wykonywać każde równanie matematyczne.

Jak to wszystko się tu znalazło?

– Kiedy zaczynałem pracę, to strych w ośrodku był zawalony różnego rodzaju szpargałami. Kiedyś podpadłem dyrektorowi i kazał mi ten wielki strych posprzątać – opowiada Jakubowski. – Znajdowałem różne przedmioty. Zrobiło mi się ich żal i zacząłem je przenosić do piwnicy. Taki był początek mojego zbierania, które trwa do dziś.

Każdy świerk czują oddzielnie

W latach 80. młody pedagog zbiera nie tylko przedmioty, ale też doświadczenia. Chodzi z dzieciakami po górach, na pobliskim polu uprawia ziemniaki, hoduje świnie i krowy. Po to, żeby można było wykarmić dzieci. Dzisiaj jest to dużo łatwiejsze. Dzięki wsparciu powiatu, dla którego ośrodek w Owińskach jest oczkiem w głowie. Także tym PR-owym, bo można się na nim promować.

Jakubowski twierdzi, że to głównie od dzieci uczył się swojego zawodu: – Pamiętam, jak odrabiały w internacie lekcje. Szedłem korytarzami i słyszałem charakterystyczny dźwięk. Coś jakby szuranie po papierze i „pykanie". To był dźwięk brajlowskiego dłutka, przyrządu do pisania dla niewidomych. I chociaż byłem pełen ideałów i miałem dyplom, to nie miałem zielonego pojęcia, jak się czymś takim posługiwać. To dzieciaki nauczyły mnie alfabetu i specyficznych symboli.

Dzisiaj zamiast dźwięku dłutka słyszy dźwięk mowy syntetycznej.

– Wszyscy mają smartfony. Dziecko może zrobić telefonem zdjęcie strony w książce i aplikacja odczyta tę stronę na głos. Wystarczy, że coś podyktuje i za chwilę będzie miał to wydrukowane na brajlowskiej drukarce – mówi Jakubowski. – Ten medal ma jednak drugą stronę. Kiedyś niewidomy mógł czytać tylko książki brajlowskie. Dzisiaj drugoklasista nie chce takich książek czytać, bo „paluszki bolą". Zupełnie inaczej przebiega rozwój kogoś, kto czyta wzrokiem lub dotykiem, od tego, który tylko słucha.

Pomysł na Bibliotekę Zapachów pojawił się w pandemii. Zajęcia odbywały się wyłącznie zdalnie. A przez komputerową kamerkę niewidome dzieci niewiele można nauczyć.

– Wymyśliłem, że wyślę dzieciakom po dwanaście pudełek i różne próbki zapachowe. Miały układać parami: mięta do mięty, szałwia do szałwii. A potem gotowe odsyłać do nas. Bardzo im się to spodobało. Zacząłem myśleć, jak by ten pomysł jeszcze bardziej ubarwić – opowiada Marek Jakubowski. Usiadł do komputera, napisał post na Facebooku. Zaczęły przychodzić przesyłki.

– Świeża rzecz – mówi Jakubowski i wyciąga czarny foliowy worek z beżowym proszkiem. – Wie pan, co to jest? Pył bursztynowy. Przysłał facet z Gdańska. Pan powącha, nic nie czuć. Ale jak się go rozgrzeje albo podpali, to pachnie bardzo specyficznie.

Zaczęły przychodzić sierści zwierząt, a poznańskie zoo przysłało kupę słonia. Firmy przysyłały próbki najdroższych perfum. Przyszły też perfumy niszowe, ostatnio coraz bardziej modne, o specyficznych zapachach: piwnicy albo małego dziecka.

Zaczęły przychodzić sierści zwierząt, a poznańskie zoo przysłało kupę słonia. **Firmy przysyłały próbki najdroższych perfum.** Pewien stolarz nadesłał trociny i zapewnił, że świeżą porcję może dostarczać regularnie.

MAREK ZAKRZEWSKI / PAP

Park Orientacji Przestrzennej na terenie ośrodka dla dzieci niewidomych w Owińskach.

Pewien stolarz nadesłał trociny i zapewnił, że świeżą porcję – bo zapach trocin szybko ulatuje – może dostarczać regularnie.

– To są trociny z różnego rodzaju świerków – mówi Jakubowski. – Wącham to i nie czuję różnicy. Ale stolarz twierdzi, że trociny każdego świerku pachną inaczej. I wie pan co? Zaczęły je wąchać dzieciaki i dla nich każdy rodzaj też ma inny zapach. A więc my pełnosprawni chodzimy po lesie i zachwycamy się, jak ten las pachnie. A niewidome dzieci w tym samym lesie każdy świerk czują oddzielnie.

Pewna firma zaproponowała, że wykona dla ośrodka w Owińskach „zapachowe logo". W całym ośrodku będą zamontowane dystrybutory z tym samym, określonym wcześniej i stworzonym przez firmę zapachem. Zostanie on również dodany do wszystkich środków chemicznych używanych w ośrodku – tak, by jednakowo pachniały sale i korytarze.

Dzieci z ośrodka wymyśliły, że ma to być zapach „starej biblioteki".

Smutni ludzie pachną ciężko

Jola: – Nie widzę od urodzenia, czyli od prawie czterdziestu lat. Węch, słuch, dotyk to są moje jedyne „oczy". Może to dziwnie zabrzmi, ale ja po zapachu mogę wyczuć, czy ktoś jest szczęśliwy, czy nie. Smutni ludzie pachną ciężko, gorzko, kwaśno. Często za bardzo używają perfum, aż nos zatyka. Szczęśliwi perfumują się oszczędnie, bo niczego nie muszą przykrywać.

Jola jest wyczulona na zapach alkoholu. Jej tata był alkoholikiem i dlatego smród trawionej wódki może wyczuć z kilku metrów w zatłoczonym tramwaju. Najczęściej czuje go rano. I najczęściej z tyłu wagonu, bo tam siadają wszyscy „wczorajsi".

Pochodzi z małej miejscowości. Czasem odwiedza rodziców i kiedy jadą z mężem samochodem, otwiera okno i potrafi wyczuć, kiedy mija hurtownię budowlaną, a kiedy myjnię samochodową. Hurtownia pachnie... pustakami. Takim budowlanym pyłem – suchym i ciężkim, osadzającym się na tyle gardła. Myjnia pachnie mydłem i trochę amoniakiem, bo ścieki ze studzienek też oddają swój zapach. Te zapachy to jest osobista mapa Joli, jej GPS.

Które z sześciu tysięcy próbek dzieci z Owińsk lubią najbardziej?

– Starsze lubią te zapachy, które kojarzą z czymś fajnym z dzieciństwa – mówi Jakubowski. – To one najczęściej próbują te zapachy jakoś opisać. Na przykład: „O, a to pachnie dokładnie tak, jak wtedy, gdy jechaliśmy z mamą na wycieczkę". Potrafią się spierać. Jeden mówi: „To pachnie jak u mojej cioci na strychu". A drugi: „W życiu, jak u taty w warsztacie".

Przychodzą do gabinetu Jakubowskiego i eksperymentują: – Mieszają różne zapachy i tworzą swoje, wcześniej nieistniejące. Trochę jak w książce i filmie „Pachnidło". Czasem od tych zapachów nie można tu długo wysiedzieć. Wkrótce wejdziemy na wyższy poziom, dzieci będą miały zajęcia z aromaterapii. To wszystko nie tylko dla zabawy, ale po to, żeby dzieciaki tworzyły, eksperymentowały, rozwijały kreatywność. A zresztą, kto powiedział, że nie można się uczyć przez zabawę?

Idea biblioteki jest taka, jak cały ośrodek w Owińskach – ma pomóc niewidomym lepiej doświadczać świata. Rozwijać zmysły, wyobraźnię, a przez to budować pełniejszy obraz rzeczywistości. Być może nawet bogatszy w doznania niż w przypadku widzących.

O tym, jak bardzo zapachy są dla człowieka ważne, Jakubowski dowiedział się nie od niewidomych dzieci, ale od pewnego starszego człowieka, który przysłał prawie pustą fiolkę tanich perfum i trochę kremu.

– To były najtańsze kosmetyki, wie pan, takie z kiosku – ówi Jakubowski. Do przesyłki był dołączony list. Pan pisał, że przysyła nam kosmetyki swojej żony. Bo „jej już nigdy nie będą potrzebne".

© MARIUSZ SEPIOŁO

STANISŁAW

Mancewicz:
O duchowości

Od wielu dekad – na własny rzecz jasna użytek – rozgryzamy istotę i sens tutejszej polityki. Szczerze mówiąc, nie mamy żadnego dobrego objaśnienia jej specyfiki i wciąż daleko nam do opracowania jakiejś esencji czy definicji zjawiska. Polska polityka – popatrzmy – jest tak specyficzna, że w zasadzie nie da się jej porównać do żadnej innej, uprawianej przez jakiś inny kraj znany nam z nazwy bądź z widzenia. Polscy politycy są tak bardzo inni od polityków z innych krajów, że doprawdy kiedyś – wstyd się przyznać, bo nie na trzeźwo – zrobiliśmy sobie taką oto zgaduj-zgadulę: wskaż, dobry człowieku, polityka polskiego na fotografii z obrad plenarnych dużej międzynarodowej organizacji. Specjalnie nazwy tej organizacji tu nie umieszczamy, bowiem nie o nią chodzi. Otóż zadanie to okazało się prostsze niż wszystko, cośmy sobie w życiu zadali. W polskim polityku jest coś tak mocno emanującego, że zaiste nie jest owa emanacja do przeoczenia, nawet jeśli pulsuje na czarno-białej fotografii przedstawiającej wieloetniczny tłum ludzi, jakoś jednak podobnych, bo przecież człekokształtnych. Ktoś tu powie, że przesadzamy, że ze zdań tych krzyczy nakolanny kompleks niższości. Nie krzyczy. Nigdyśmy na kolanach niczego nie oceniali, bo od zawsze uważamy tę pozycję za szalenie niesprzyjającą analizowaniu rzeczywistości. Ktoś powie: to proste – poznałeś ich, wyższościowy chytrusie, po strojach, po butach albo po fryzurach, po kokach, po wąsach albo po posturze, albo po zawsze osobliwie bladych licach. Śmiechem można by zakisić każdego, kto wygłasza podobnie bezrefleksyjne, wręcz prostackie i niegrzeczne opinie.

Otóż poznać polityka polskiego można tylko po emanacji. To pulsujący blask, światło pomieszane z ciemnością, słowem, jest to sygnalizacja jakby emitowana przez latarnię morską. Coś ta błyskanina zawsze znaczy, ale co? A, to wie tylko latarnik i nieliczni wtajemniczeni. Reszta siedzi jak na tureckim kazaniu. Bo też nikt poza naszymi nie zajmuje się żadną emisją. Wszyscy stoją prosto, wciągają brzuchy, wypinają na tych fotkach piersi i się uśmiechają. Sztucznie, bo co w takim pozowaniu może być śmiesznego? Oni to są znakomitym, bo nijakim tłem dla polityków polskich przebywających chwilowo za granicą RP. I doprawdy, nie trzeba mieć żadnego dziwnego czujnika, by wyłapać naszych w tłumie. Co do jednego, bo każdy z nich emituje totalnie. Ktoś zapyta: cóż nasi poza blaskiem i ciemnością tak emitują? Dwutlenek węgla? Metan? Parę wodną? Kwas solny? Rzec trzeba poważnie, że wszystko to oczywiście tak, ale przede wszystkim ducha.

Można nie wierzyć w duchy, można się śmiać i przedstawiać opinię materiałoznawczą, że duchy nie istnieją. Wolna droga, ale gdy spojrzy się na dowolne ciało plenarne, gdy w nim uczestniczy ktoś z naszych, to automatycznie widać i też czuć ducha. Jak to?! – ktoś zakrzyknie. Widać ducha? Czuć go? Można go dotknąć? A owszem. I tym właśnie różni się polityk polski od niepolskiego, a właściwie duchowość polska od niepolskiej. Że jest do dotknięcia i do obmacania. Polityk niepolski, tego już dodawać nie trzeba, duchowością nie szasta, a w każdym razie nie jest ona jedyną ofertą, z jaką przekroczył granice swego kraju, z którą wszedł do Unii Europejskiej bądź NATO, a nasi owszem, bowiem duchowość polska jest jedynym naszym towarem eksportowym.

Można w tej sytuacji rzec, że skoro tak, to i cała polityka polska jest materią najgłębiej duchową. Ktoś zaraz, na koniec, poprosi o przykład. Mamy dwa. Pierwszy to zdjęcie ilustrujące przypadkowe zagraniczne spotkanie, na korytarzu, p. Morawieckiego z p. Bidenem, drugi to nagranie, na którym p. Terlecki mówi do przypadkowo spotkanej kobiety „jest pani kretynką". Oba przykłady znakomicie ilustrują specyficzną duchowość polskiej polityki, zagranicznej i krajowej, i jest to – łatwo zgadnąć – duch przypadku, bowiem – to już proste – obaj politycy są darem przypadku. Każdy przyzna, że to kapitalna teza wyjściowa, z gigantycznym potencjałem do dalszych badań nad tutejszością. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

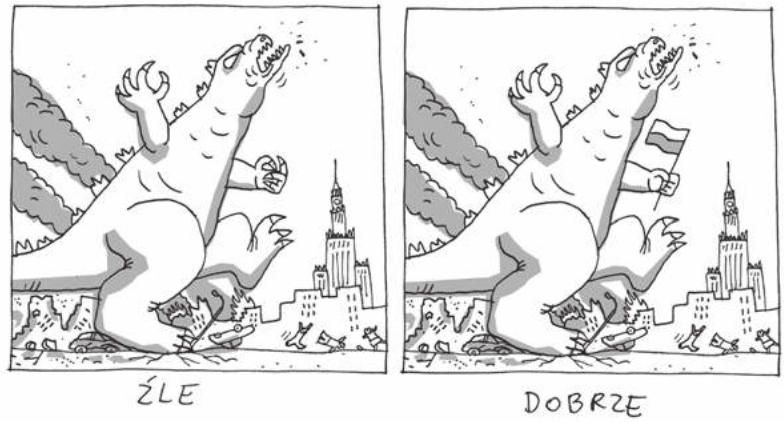

REKLAMA

TEATR WIELKI
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
W POZNANIU

KONCERT POŚWIĘCONY PAMIĘCI

GABRIELA CHMURY

JUSTIN BROWN
DYRYGENT

ANDRZEJ SEWERYN
PROWADZENIE

AULA UNIWERSYTECKA
wtorek
23 XI
2021
godz. 19.00

INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Enea
MECENAS TEATRU

www.opera.poznan.pl

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

REKLAMA

16. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL SZTUKI OPOWIADANIA
17-21 LISTOPADA 2021

studnia o.

MITOLOGIE

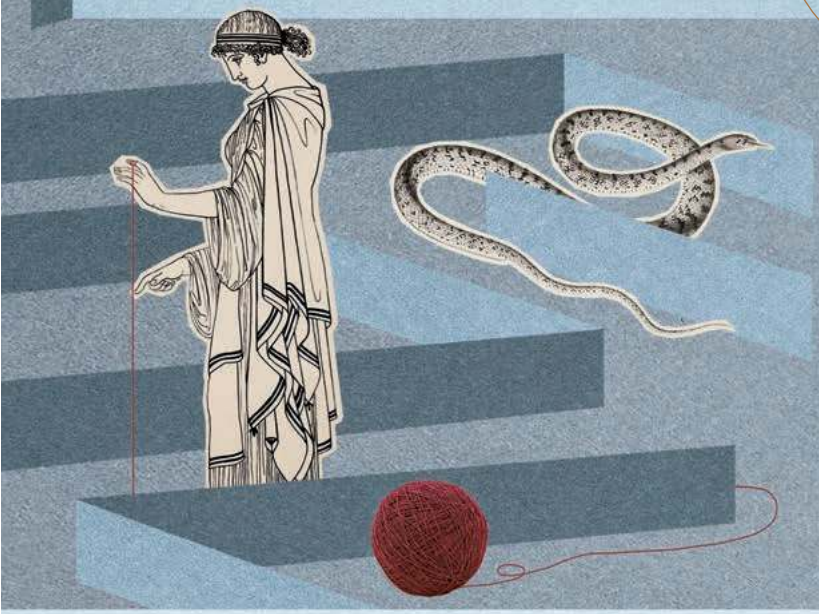

5 DNI 40 ARTYSTÓW 20 SPEKTAKLI
7 WYDARZEŃ TOWARYSZĄCYCH, W TYM 3 ONLINE

NAJLEPSI OPOWIADACZE Z FRANCJI, NIDERLANDÓW, IRLANDII, KANADY, SZWECJI I POLSKI

Szczegółowy program festiwalu, cennik, noty o artystach i spektaklach na stronie:

WWW.FESTIWALOPOWIADANIA.PL

ORGANIZATORZY:
STOWARZYSZENIE „GRUPA STUDNIA O.", MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

MIEJSCE WYDARZENIA:
MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY, WARSZAWA, UL. ELEKTORALNA 12

WWW.MIK.WAW.PL

ORGANIZATORZY: studnia o., MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY, JEDNOSTKA SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO, Mazowsze serce Polski

PARTNERZY STRATEGICZNI: Projekt finansuje m. st. Warszawa, Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu, INSTITUT FRANÇAIS Pologne, Kingdom of the Netherlands

PATRONI HONOROWI: UNIWERSYTET WARSZAWSKI, INSTYTUT KULTURY POLSKIEJ, Canada, Dom Literatury

PATRONI MEDIALNI: e-teatr.pl, TVP KULTURA, CzasDzieci

WSPÓŁPRACA REDAKCYJNA: RMF Classic, MSCDN MAZOWIECKIE SAMORZĄDOWE CENTRUM DOSKONALENIA NAUCZYCIELI

REKLAMA

V Festiwal Tradycji Literackich

Baczyński / Norwid

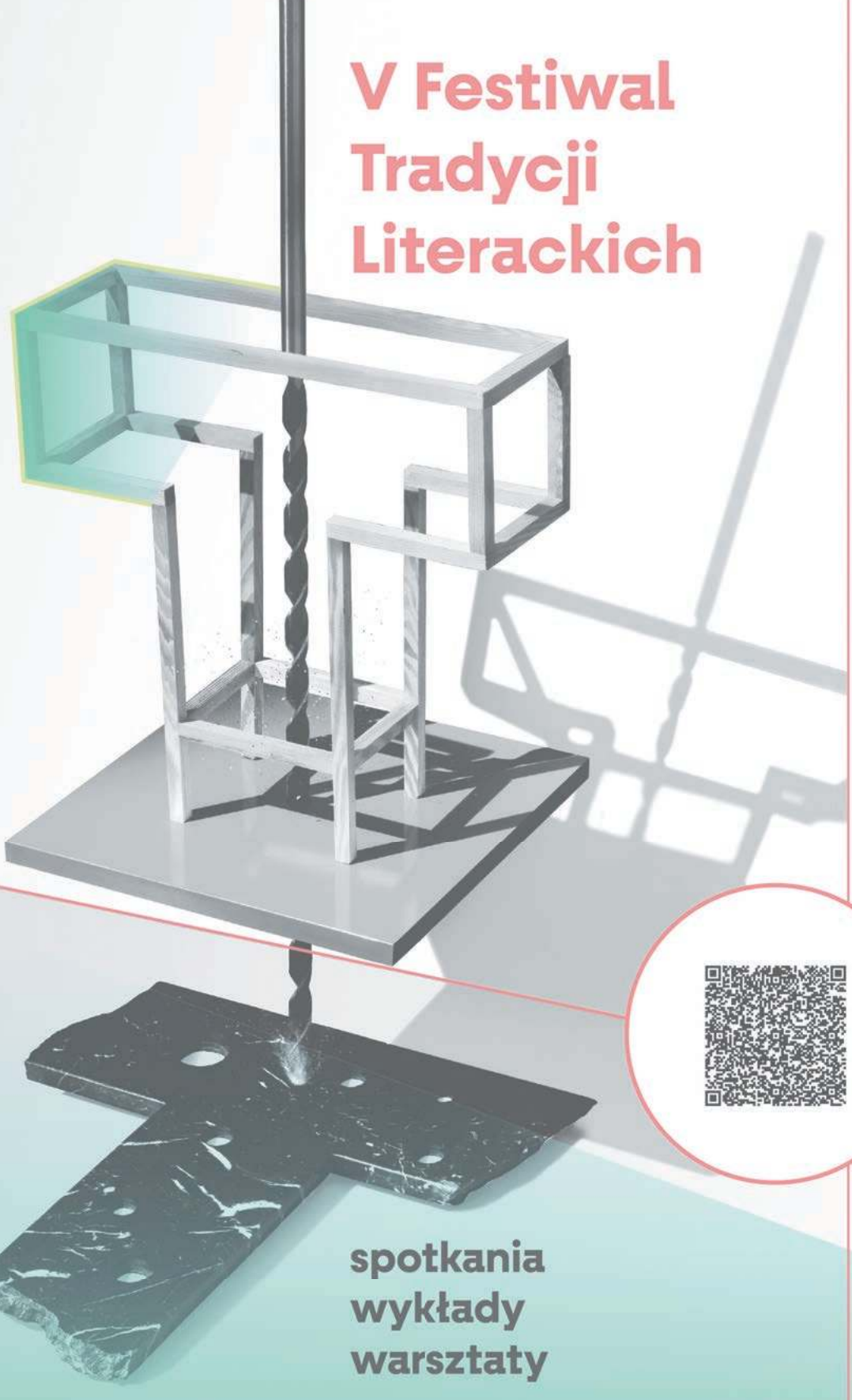

spotkania
wykłady
warsztaty

OSSOLINEUM
Zakład Narodowy im. Ossolińskich

MUZEUM PANA TADEUSZA
OSSOLINEUM

Muzeum Pana Tadeusza
Zakład Narodowy im. Ossolińskich
Kamienica Pod Złotym Słońcem
Rynek 6, 50–106 Wrocław

www.muzeumpanatadeusza.pl

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury